

POST scriptum  
Antologia 1/2010(4)

Copyright © POSTscriptum – 2010/2011  
<http://postscriptum.net.pl>

Prawa autorskie do wierszy są własnością autorów.

Redakcja:       Elżbieta Borkowska  
                  Lidia Kowalczyk  
                  Zygmunt Marek Piechocki  
                  Leszek Wlazło

Projekt okładki i słowo wstępne: Elżbieta Adamczyk

Skład i łamanie: bezet@o2.pl

Wydawca: Leszek Wlazło

Wydanie pierwsze  
Nakład: 300 egz.  
Gliwice 2010

Wydanie pierwsze poprawione  
Nakład: 80 egz.  
Gliwice 2011

ISSN 1899–8356

# POST scriptum

**Antologia 1/2010(4)**

Gliwice 2011



Drogi Czytelniku!

Książka, którą trzymasz w dłoniach, to już czwarta antologia forum literackiego *POSTscriptum*.

Forum PS istnieje od trzech lat. Dokładnie od szesnastego września 2007 roku, od godziny 10.06, kiedy Marcin Dydyna założył je i oficjalnie otworzył w „cyberświecie”. Od tego momentu historia *PS* pisze się niejako sama, oczywiście przy czynnym i nieodzownym udziale wielu twórców.

Trochę statystyki.

W chwili, gdy powstaje niniejsze *Słowo Wstępne* – użytkownicy forum napisali: 144 609 postów, 11 773 tematów, a liczba zarejestrowanych dusz to 262 osoby.

Czy to dużo, czy mało? Prosimy, sam osądź Czytelniku.

Grono rezydentów *PS* ciągle się zmienia. Jest tu jednak wiele osób, które publikują swoje utwory od samego początku istnienia Forum. Różnorodność gatunków, tematów, a do tego możliwość wypowiedzi w innych formach artystycznych sprawia, że każdy – czy to twórca, czy czytelnik – może tu znaleźć coś dla siebie. Poza literaturą *PS* publikuje fotografie artystyczne, grafiki, zdjęcia obrazów, linki do utworów muzycznych – autorstwa użytkowników. Mamy *POSTkawiarenkę*, w której można po prostu porozmawiać lub napić się wirtualnej kawy i Hyde Park, gdzie można dyskutować na najróżniejsze tematy.

W poprzednich antologiach, poza tekstami literackimi, pokazaliśmy przegląd graficznych prac naszych autorów, jednakże w niniejszej publikacji wróciliśmy do klasycznego formatu poezji i prozy, ponieważ to właśnie one dominują na stronach *PS*.

Znajdziesz tu Czytelniku wiersze rymowane, świadczące o tym, że poezja rymowana żyje i wbrew pozorom ma się dobrze, a jej twórcy poszukują wciąż nowych form, a także wykorzystują uświęcone poetyckie tradycje, ulubione przez tych, którzy kochają rymy.

Na stronach antologii znajdziesz także poezję białą, bez rymów, różnorodną, czasem kontrowersyjną, nowatorską lub tradycyjną – jeżeli istnieje coś takiego, jak tradycyjna biała poezja.

W części prozy zamieściliśmy kilka krótkich opowiadań, a także utwory, które trudno zaszufłakować ze względu na użytą w nich stylistykę.

Mamy nadzieję, że niniejsza antologia zaciekawia Cię, zachęci do dalszych spotkań z *PS*. A może odwiedzisz nasze forum przy okazji wędrówek po „cyberświecie”? Serdecznie zapraszamy!

Dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do publikacji czwartej antologii *PS*: twórcom, redakcji, drukarni, a także Tobie Czytelniku, bo gdyby nie Ty? ...

Ciekawe, kiedy ukaże się piąty tomik?  
Jak myślicie?

## Spis autorów – wiersze

<b>Paweł Artomiuk /Arti/</b> .....	<b>17</b>
samotność I–VII demon i róża wszyscy jesteśmy bogami	
<b>Elżbieta M. Będkowska-Adamczyk /Elżbieta/</b> .....	<b>23</b>
my i dziewiąty obłok śpią we mnie wiersze po długim spacerze jestem z przeszłości... maszkaron wielki mały świat do późnosierpniowego pamiętnika	
<b>Elżbieta Borkowska /el/</b> .....	<b>29</b>
Z cyklu: zapiski prowincjonalnej świątkary wymiślam zakola czasu bywa że palę lampę do świtu noc jest do spania dzień dobry – przyszedłam na koronację Z cyklu: minimalnie porządki nierozważne a miałeś być a co mi tam – zakwitnij słowem na wiosnę śniegi topnieją w górach – czas się zbierać na marginesie jest trochę tlenu powoli – obok siebie – dochodzimy do razem	
<b>Mirosław Chodynicki /Mirek/</b> .....	<b>35</b>
Naiwna jak dziewczynka z zapalkami Przechodzę przez smugę cienia Pustka Potrzeba wyciszenia ... po pajęczej nici na ziemię Leniwe popołudnie Imię drzewa * * * (plaża słońce) Moja muzyka Patykiem pisane	
<b>Andrzej Deryło /AnDante/</b> .....	<b>41</b>
Nieuleczalni Moja litania Piosenka banalna Autopodnieta Sen wierszoklety Maestro	

<b>Hanna Dikta</b> .....	<b>47</b>
koncertowe memento Mori kalki kochała tylko van Gogha mam na imię Lisa i mieszkam w Bullerbyn Ikarowi welcome K gipsowa panienska z L. siostra Marta od aniołów najładniej ci w czapce niewidce kiedyś po ciebie wrócę z cudzych miseczek	
<b>Danuta Duszyńska</b> .....	<b>53</b>
W szybę zastukała purpurowa jesień Wiatr i marzenia Suknia barwy zielonej A ja tak Cię chciałam Wyszepnij proszę Myśli nieucztesane Ptasie trele Stara lampa	
<b>Marzena Frączek /Dafne/</b> .....	<b>59</b>
spacer mlecznym traktem aby do... podkradając chwile antrakt krzyk synogarlic choć za kotarą już inne poranki lunatycznie przesilenie krok po kroku w sepie pośrodku jubel	
<b>Ferdynand Głodzik /Fred/</b> .....	<b>65</b>
Kanikuła Karzeł Rzewień Poranek Na jutro Czas zauroczeń Wspólny początek Przez chwilę Truskawki	
<b>Elżbieta Grzegorzczak /eliza/</b> .....	<b>71</b>
odcienie zachowana ciągłość didżiridu dwa poziomy postawa	

rozchwiane  
błądząc myślą  
przyszłość  
noc  
rozterka  
przywiane ale skąd  
a oczy patrzą w dal

**Bolesław Grzyb /dobry czas/ ..... 77**

pani jesień  
Zapatrzeni w siebie  
lepsza strona lustra  
listopadowo  
motyle  
ogień  
tajemnica  
Bez granic

**/jarek669/ ..... 83**

Bezsensowność  
Świeczka  
Sezam  
Ofiara  
Obietnica  
Kay  
Fakir  
Autokracja  
Feniks  
Wyprawa ratunkowa  
Bohun

**Robert Kadej ..... 89**

Olga  
Pani Róża 2  
Mamo Janek jest marynarzem  
Polskie kino  
W tawernie  
Jantar  
Tajemniczy budowniczy katedr  
Wszystko o Ewie  
W starym kinie  
Siklawa, siklawica, wodogrzmoty Mickiewicza  
Piersi i róże

**Jan Kiczor ..... 95**

Samotność  
Retrospekcja  
Zdarzy się  
Senne widma  
Ulica Wysoka.  
Wszystko  
Erotyk  
Nasz bieg  
Mane, tekel, fares

- Beata Patrycja Klary /Indianeczka/ ..... 101**  
 drzwi, które nigdzie nie prowadzą  
 z cyklu wierszy o umieraniu  
 Tren V  
 Tren VI  
 Tren VII  
 Tren VIII  
 z cyklu SAMPLE • RIFFY • DEMA  
 dzieli nas przestrzeń pięćdziesięciu milionów kilometrów  
 maska  
 kultura. higiena gwarantowana  
 pokoił na Hożej  
 płamę we śnie zobaczyć. szczęście murowane
- Lidia Kowalczyk /amandalea/ ..... 107**  
 to nie ostatni raz  
 wczoraj  
 z Małego Księcia  
 bez nacisków  
 tenorzy  
 poza mrokiem  
 wrastanie  
 pomiędzy  
 w oknie  
 w strugach deszczu
- Magdalena Gabriela Krytkowska /Gabryśka/ ..... 113**  
 anioły nie umierają od nadmiaru dobra  
 dość  
 koraliki  
 niezapominajki  
 świerszczy  
 szuflada św. Anny  
 rzep  
 za starymi akacjami  
 samotne ławki  
 dom w utraconym raju
- Lila Kucfir ..... 119**  
 współczesny anioł  
 znów kwitną astry  
 nie można zajrzeć –  
 pecha zostawiam za drzwiami  
 bezsilność  
 dalie  
 maria nie magdalena  
 \* \* \* (w górach wśród świerków kapliczka w lesie)  
 w tobie nadzieja
- Ewa Kudła /eva\_14/ ..... 125**  
 Chroń mnie  
 A ty śpij  
 Mój Bóg wyjechał

Dżoker Przed udarem Ulica widoczna Beż żalu	
<b>Kamil Kwidziński /gamin/</b> .....	<b>131</b>
Martwa Listwianka	
<b>Lucyna Mamczur /Lucy/</b> .....	<b>133</b>
* * * (drażnięta tobą i dzikością głogów) miałam jesienienie zapisane w gwiazdach nie pokochał mnie poeta choć nie kołyszysz mnie przed snem * * * (mówisz że w barwie odlotów hosanna) * * * (kiedy nie wrócisz w gwałtowności wrzosów) * * * (obiecałam że przyjdę szelestem pończoch) * * * (listopad gubi się w nastrojach) czułością bez retuszu * * * (pytasz gdzie bywam)	
<b>Czesława Milezko /anastazja/</b> .....	<b>139</b>
Kolczaste wspomnienia Wiejski raj Kiedy stąd pójdę Beniamin Wątpliwość Moja mama Prowadzisz mnie na złotej smyczy Domino życia „Mendacem memorem esse oportet” Bez przymusu	
<b>Monika Nowosad /Cathriona/</b> .....	<b>145</b>
* * * (stary i tępy scyzoryk ojca) Gdyby tak... Spowiedź córki Koryntu polana szanta sztormowa Żar Wróciłeś Czarna wyliczanka	
<b>Aleksander Osiński</b> .....	<b>151</b>
słowa są sprawiedliwym rodzajem kłęski nie stoisz przy mnie chociaż trzymam twoje ramię niewierność chwili dom opuszczają światła spalenie Józka koza Merkury zielona kula archeologia	

zausznicy przyjemność rysownika	
<b>Zygmunt Marek Piechocki</b> .....	<b>157</b>
Cyprysy Van Gogha Pustka w głowie Spacer z Nią Jest obok Ono Pytasz jak minął dzień Wysokie PSA	
<b>Maria Polak</b> .....	<b>163</b>
Szepty z daleka... ja przepraszam to pomyłka... Cicho nie budźmy Dokąd prowadzisz... Życzę barw ciepłych Przywiął mi wiatr Och, życie!	
<b>Bożena (A) Przybysz</b> .....	<b>169</b>
Wigilijne przemyślenia Z perspektywy życia Testament Tytuł pisze życie * * * (Poeta jest jak wada) Kadr z życia Czy masz przyjaciół Tym którzy odeszli	
<b>Monika Rechla /Moonsee/</b> .....	<b>175</b>
Zaćmienie Jestem tylko echem Prolog Animozje Pożegnanie Jak anioł Noc się za nas wstydzi Moknąc	
<b>Kamil Jakub Rousseau /justyna/</b> .....	<b>181</b>
Przesilenie Psychomachia Gdzie jesteś Mały Książę Drugie ja, czyli jak pisać wiersze Bar w oparze (z cyklu „Znikające obrazki”) Aż do końca Testament bestii – czyli mój W pustce utraconego czasu	

**Janina Barbara Sokołowska ..... 187**

^w objęciach^  
^handlarze starociami^  
^ostatnia noc chochołów^  
^w rytmie czardasza^  
^muszel^  
^z ostatniej chwili^  
^dzisiaj^  
^królewna śnieżka się budzi^  
^kontury^  
^przyzwyczaj się do zgonów^  
^w cztery oczy^  
^dźwięk-płacz^

**Wojciech Szczurek /pasikonik/ ..... 193**

nuda na kolację raz proszę  
zawieszono modlitwy o koniec  
słowo – cząstka elementarna  
jaki aktor taka rola  
wierszokleta zapomniął po co i dla kogo  
przybądź  
iluzja  
\* \* \* (czasami ptaki)  
zwierzenia niedzielnego wierszoklety  
mimo ciemniej bądź

**Julia Natalia Wasielewska /jestem\_Julią/ ..... 199**

Nie wrócisz  
Ty  
Dowód  
Motyl  
Anioł  
Przed końcem  
Zawierzyłam życie nadziei  
Filiżanka  
Rozstanie  
Motylu  
Prozę  
Gdzie sens

**Leszek Wlazo ..... 205**

w omszałej  
za parawanem  
rozgrywka  
rozmowa z cieniem  
antidotum  
szczególna pora  
niezwykajnie  
niespójne  
niestrawne  
kamień węgielny  
diapozytywy

<b>Danuta Zasada /nuta niepokorna/ .....</b>	<b>211</b>
bez odwrotu	
u podnóża wieży Babel	
Noc	
zawiłości	
Tylko nie wydaj	
z włosiem pod wiatr	
scenka z listkiem	
<b>Irena Zborowska /Irena/ .....</b>	<b>217</b>
Niecały świat	
Otwieranie przymarzniętego	
Wyrzeźb mnie wzorem mistrza	
Zamarzanie	
Na miarę czasów	
Zatwierdzono	
Narkoza z tuberozy czy jakoś tak	
Po drodze	
Niefrasobliwy	
Najzdrowszy przed północą	
Gorzko zapisane	

## Spis autorów – proza

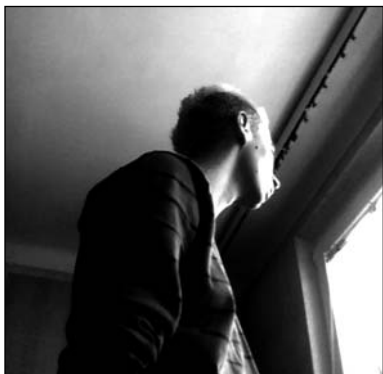
<b>Elżbieta M. Będkowska-Adamczyk /Elżbieta/ .....</b>	<b>224</b>
Spodziewamy się	
Niedokończone podróże	
<b>Elżbieta Borkowska /el/ .....</b>	<b>233</b>
Szkice jednodniowe	
Nie tak łatwo pójść do piekarni	
Malarz pustych miejsc	
Co widziała Marianna	
Jak to w czwartek cisza na wieży nastąpiła	
<b>Ferdynand Głodzik /Fred/ .....</b>	<b>241</b>
Pan na Łośniach	
<b>Kamil Kwidziński /gamin/ .....</b>	<b>244</b>
Rozpięcia i rozpiętości: Witold Gombrowicz	
<b>Zygmunt Marek Piechocki .....</b>	<b>248</b>
Śnieżnie, 11 czerwca 2010.	

POST scriptum \_\_\_\_\_

# WIERSZE

\_\_\_\_\_ POST scriptum





## Paweł Artomiuk

/Arti/

Ur. 18. 10. 1984 w Pruszkowie. W latach 2005–2007 studiował w Wyższej Szkole Dziennikarskiej im. Melchiora Wańkowicza w Radomiu (porzucił naukę na szóstym semestrze). Swoje wiersze i reportaże drukował m. in. w gazetach lokalnych: *WPR*, *Głosie Brwinowa*, a także *Podwarszawskim Życiu Pruszkowa* oraz *Antologiach* (*Postscriptum*, *Oazy Szeptów*, *Ogrodu Ciszy*).

Jest założycielem i administratorem Forum Poetyckiego – ARTICITY. Mieszka i pracuje w Warszawie.

### samotność

I

w samotności najgorsze są noce  
jeden wielki płomień  
puste miejsce straszy  
widmem byłych kobiet

w samotności najwięcej złego  
w chichoczących ścianach  
dla nich to komedia  
dla poety dramat

w wazonie kwiatów uschniętych  
brudnych w zlewie talerzach  
powraca by zmienić w mętnik  
każdą strofę pacierza

najgorzej przed lustrem  
gdy oczy puste  
stają się własnym katem

II

Ojczy Nasz,

wielu tak zaczynało i nie mogło skończyć,  
zmiłuj się nade mną, zmiłuj się nade mną

czemu jest tak ciężko, dokąd to prowadzi?  
pomóż mi odnaleźć ten jedyny azyl

czemu nie potrafię z żadną żyć na dłużej,  
wszystkie mi się nudzą, bez nich nie mam złudzeń

zmiłuj się nade mną – pobłogosław dziecię,  
które nic prócz seksu nie ma na tym świecie

które wciąż odlicza do nowej soboty,  
a z dniem kolejnym chce zapomnieć o tym

cóż mogę poradzić, że nie jestem stały,  
znów pewnie się znudzę, takie tam morały

III

w samotności najgorsze są noce  
od żalu do nienawiści  
i na odwrót

samotność to bydle które co dzień zżera  
aż nic nie zostanie  
aż człowiek  
umiera

to pokarm wrogów  
to udręka matczynych ust

to kakofonia przerywająca ciszę  
to stado zwiędłych mniszek

to zakon franciszkanów  
to moje odbicie rano

to pierdolona poezja  
to udawany majestat

to zima na ciemnym dworcu  
to krew znaleziona w stolcu

to górnik przysypany w kopalni  
to kwintesencja matni

to śnieg na nagrobkach w marcu  
hospicja i domy starców

#### IV

mój miły, czekam na ciebie dzierżąc Meyer w dłoni  
mój ty wampirze,  
mój ty wyjebany w kosmos,  
mój ty Romeo, będę twoją Julią,  
– coś z tego, że jestem najzwyczajszą kurwą?

nie przyszedł, mój Boże, co zrobię, coś powiem?  
a może przyjdzie. poczekam, się dowiem.  
a może jeszcze wpadnie w me ramiona?

coś począć, gdy stoję tu taka spodlona?  
napiszę na blogu że to pedał stary,  
tymczasem śmigam wciąż sama – bez pary

#### V

w samotności najgorsze są noce  
trzeba gdzieś uciekać  
stawiać stemple miasta

ponieważ samotność ponieważ  
ona  
jest tylko bzdurą wyssaną z palca  
trzeba tylko otwierać  
drzwi

## VI

samotność to stara kurwa przy drodze  
 proteza  
 schizofrenia  
 czołgi wjeżdżające do miasta  
 karabin maszynowy – egzekucja pod murem  
 to nasza ojczyzna, hymn nasz  
 biurokracja!

samotność to zdzira  
 rzęsy doklejone  
 paznokietki bajery  
 papieros w kącikach ust –

to impotencja  
 to zebranie o dotyk  
 ostatnia nędza  
 schowany pod obrus narkotyk

to heroina to amfa to kwasy  
 to brud na ustach  
 sperma obcej rasy

to psy pod drzwiami  
 i zrywka przed psami

## VII

samotność to szloch wszystkich matek  
 idących za trumną  
 to szatan w każdej postaci  
 obłąd  
 ostatni krąg piekła  
 ostatnia kromka chleba  
 ostatni złamany grosz  
 ostatni spazm wiary

samotność to chwila w której ginie papież  
 w której ginie prezydent  
 w której drugi Katyń

to nasze znicze  
nasze flagi  
kwiaty

*Warszawa, kwiecień 10*

### **demon i róża**

okrutny stworze ukryty pod moim łóżkiem  
zostaw tę miłość – ścieleć ci dzisiaj w szafie...

zbudzony ze snu znowu widzę ciebie  
wyciągam ręce śmiejesz się tak słodko  
już trzymam rękę twoją w swojej dłoni  
a drugą głaszczę twarz nad życie droższą  
lecz się rozplywasz a ja wnet po tobie  
łzy wściekle płyną po miłości grobie

ty ciągle wracasz choć to niepojęte  
tak dzień kolejny mknie w objęciach żalu  
przeklęte lustro w którym obok stoisz  
łez pełne morze wojna dana ciału  
a pod poduszką zapach twych włosów schowany

– dziś znowu przyjdiesz znęcać się przed snem  
wypełnisz pokój szeptem rwącym rany

...a rankiem (o naiwności!)  
dyskretnie wytrę oczy  
i przy twym zdjęciu postawię świeżą różę...

2002

**wszyscy jesteśmy bogami**

*twoje modlitwy są dla mnie wiatrem  
rozkładam skrzydła  
skaczę*

wszyscy jesteśmy bogami  
tylko kto w nas uwierzy

kto nam kościoły postawi  
wspomni ostatnią wieczerzę

komu krew zmienić w wino  
komu kawałek ciała

komu być kokainą  
kto mi dziś świecę stawiał

\*\*\*

wszyscy jesteśmy bogami  
przez chwilę lub dłużej  
tak mocni aż słabi  
w pogniecionej skórze

*Warszawa, czerwiec 10*

## Elżbieta M. Będkowska – Adamczyk

/Elżbieta/



Urodziłam się pewnego dnia w kraju, którego już „nie ma”. Mieszkam w kraju, który ciągle się zmienia. Piszę, maluję, fotografuję – tworzę. Opowiadam świat.

Czy to, co robię jest warte chwili czasu innej osoby? Mam cichutką nadzieję, że tak.

Kraina PeeS – jak nazywam *POSTscriptum* – dzięki jej mieszkańcom, jest miejscem szczególnym. Cieszę się, że któregoś dnia tu dotarłam. Zapraszam do wspólnych wędrówek po czwartej już antologii PeeS. Serdeczności z JanElla

### my i dziewiąty obłok

kropki naszych ciał  
na palecie pól  
utrwalone szybkim gestem  
nostalgia nieobecna usprawiedliwiona

bo jakże tak  
ciągle zamykać się  
w pamięci kolory błędną  
lub przeciwnie  
gdy wpatrujesz się w jasność  
zostaje negatyw

przychodzą same sarny  
bo kóż nie zgubi się oprócz  
jeśli zostaniemy tu dłużej  
skowronki obok uwiją misterium  
wyszepeczemy od nich jeden spokój i dla nas  
będzie nam bliżej  
do dziewiątego obłoku  
so much closer to the cloud nine

28 VI 2010

## śpią we mnie wiersze

splątane  
 przebiegłe słowa  
 rymy i białe wstążki  
 pieszczoty metafor  
 przenośnie ponad nieboskłon  
 szeleszczą onomatopeje  
 miękną pod językiem

dzisiaj przyśniła mi się siwa czapla  
 w szuwarach przebłykający szmer  
 przesuwanego falami krajobrazu

budzą mnie strofy uwikłane  
 fantasmagorią wyobraźni

*30 III 2010*

## po długim spacerze

pytasz  
 tak zwyczajnie  
 czy się boję śmierci

– nie ma się czego bać  
 my nie umieramy

odchodzimy tylko  
 schodzimy z oczu  
 z codzienności widoku  
 za przerywaną linię  
 wykresy pamięci  
 ponad krzyk niemych dłoni  
 tam gdzie światło przenika  
 dochodzi dojrzewa

stajemy się  
 szeptem  
 .....szeptem  
 .....szeptem

*16 II 2010*

### jestem z przeszłości...

z abecadła które rozsiewa *chrząszcz brzmi*  
 po kaligrafowanych językiem kartach  
 pożółkłych od wylegiwania się na wymyślonym słońcu  
 w ciągle otwartej książce

jestem ze słowiańskiej chandry  
 z dni przykrótkich zimowych  
 zziębniętych i w przemakających butach  
 na przystankach *czterdziestki*  
 w której najlepiej stawać przy wyjściu

jestem z tłumy  
 w kolejce po pomarańcze  
 po mięso gdzie niech pani nie krzyczy  
 i tak szybciej nie przyjdzie ciężarna pobiła obcą babcię  
 uczyły mnie topografii przetrwania  
 wyrażeń zabloconych chodników

jestem z *latarników i przedwiośnia*  
 z *leśniczówki Pranie i zrób to sam*  
*misia z okienka i Jacka i Agatki*  
 dobranocek oszukujących głód  
 przylepką z powidłami

jestem z sierpniowej porodówki  
 --  
 na świat podpisany gęsim piórem  
 z jogurtem za łapówkę

jestem z niecierpliwości marzeń  
 otwartej duszy i wiary  
 że gdzieś bezsprzecznie jest miejsce  
 i nikt nikomu nie przeszkadza  
 w paradzie codzienności

jestem z *american dream*  
 w kolorze stereo i dawnych zazdrości  
 świata wyobrażeń bez określenia  
 – *musisz tu pobyć żeby pojąć* – inne prawdy i kłamstwa  
 dlatego w Las Vegas zostają tajemnice

jestem z przemijania  
niewidocznej sieci rysów i skaz  
w teraźniejszości której nie rozumiem  
wieczorami pod lupę biorę przyszłość  
łamię łódkę z nieuchwytnym zakończeniem

jestem z przeszłości

2 III 2010

## maszkaron

są takie słowa które nie przechodzą przez gardło  
czają się wpinają w tkankę w spazmach strachu  
obawiają się światła dźwięku że ogłuchną  
i tak się skończy ich niedoszły żywot  
więc zostają na dnie albo tuż pod skórą  
pulsujące skronie gdy poruszasz zuchwą  
albo zaciskasz dłonie na kolanie na udzie  
do bólu żeby nie umknęły żeby się nie narodziły  
bo jakże tak pozwolić się pokonać słowom  
upaść przed nimi zgiąć w pół kłonić się  
poddąć ciosom bez ciała  
nie przechodzą przez gardło zostają  
i duszą dławią obecnością niechcianą  
bękartami miłości sentymentów radości  
szczęścia tak niepodobne do ciemni w której  
tworzysz swój obraz na podobieństwo  
nie dopuszczając jasności zamykasz drzwi  
okna zapuszczasz czarnym winem  
szczelnie coraz szczelniej  
i tylko czasem podobno przez nieuwagę  
pożyczasz *Love Story* to setny raz już  
prawda i płaczesz i zazdrościsz słów  
które tak łatwo przechodzą przez gardło

i znaczą

11 V 2010

## wielki mały świat

co mogę otworzyć  
poza nocą jak na skrzydłach  
w indygo  
wykraść przemijaniu gładką skórę za uchem

wyspę usypaną z grających konch  
z uspioną pamięcią oceanu  
spływające po klifie perły

dzień  
prostolinijny do końca świata  
spodziewany zaskoczeniem  
że to już

mów do mnie  
póki rozróżniam tembr  
niedokręcone krople  
wodospad czarnej rzeki  
wchłania w płynną ciszę  
niemy wir

zegar bez ciebie gubi się  
w drobiazgach  
nie boli  
samotność po przymiarkach  
przylega do ciała  
układa się w fałdach  
wykreślanych dat

co mogę ci dać  
poza nocą w indygo

i sobą

3 VII 2010

## do późnosierpniowego pamiętnika

plówiące grzywy uwalnia już lato  
przetarte upałem płócienne popołudnia  
iluminacja gasnących słoneczników  
schną pestki na szarość wieczorów

w okolicy i dalej winnice dojrzewają  
lepką toczy się w beczki czas  
nieutrudzone kolibry esami  
i floresami kaligrafują świt  
we mgle wątki promienie  
a kończąc dzień ciągną za sobą  
smugi zachodów  
w zmrok

w przytulny szal  
owijamy się nim i sobą  
bluszcz dłoni ramion  
z miejscem na skrzydła  
co urosną

przecież najpóźniej pojutrze  
odrodzimy się ptakami  
papużki nierozłączki  
albo  
nieśmiertelne w zapomnieniu  
w locie pod słońce feniksy

a w dole tętniące  
plówce grzywy lata

*30 VIII 2010*

# Elżbieta Borkowska

/el/

## Z cyklu: zapiski prowincjonalnej świątkary

### wymyślam zakola czasu

bo tak łatwiej astmatyczny dzień  
raz wtóry otwierać perfekcją ramy –  
żony matki wrednej kochanki

jestem – uśmiechem bezmyślnej ewy  
a dla równowagi krzykiem spod latarni

świtem na budziku ćwiczę siłę perswazji –  
by potem opaść dychawicą na krzesło

jestem –  
kroplą na własnym czole

### bywa że palę lampę do świtu

przyszedł na czas chociaż zawsze się spóźniał  
dziwnie gadatliwy a przecież gardził słowami  
bo wołał pogrożenie laską i zmrużenie oczu

brakiem podparcia zdziwił potomnych –  
pamiętali chrome kolano i zapach kamfory  
nie umknął też uśmiech niepasujący  
do wkraczania w spiralny tunel

mimo że był pierwszy – tym razem czekał  
i skinieniem głowy potakiwał kolejnym  
jeden za drugim w bieli – pochylali głowy  
przed trzeba i nie ma wyjścia

teraz krok za nimi bo ciężko samej  
zbierać łupki po nocnym koszmarze

### **noc jest do spania**

wolna wola – skończona dziwka robi co chce  
podnosząc kieliszek łyka przegniły toast  
za tych których nabrała kolejną jesienią

nocami pęka łeb i metafory  
rośnie przestrzeń między słowami

piękne wersy zawsze przegrywają z kacem  
skurczem mięśni nad ranem i opadłą powieką

### **spowiedź natychmiastowa**

jak dobrze być i przeminąć bez huku i wrzawy  
ot tak – przejazdem nie odpowiadać na wiersze

jutro odetchnie pustką bo to kłamstwa samotnika  
miłość kupiona za parę strof tylko chwilową strugą –  
madonna i dziwka na zatracenie twojej oleistej nudy  
niby tango w zimnym deszczu ze złamanym obcasem

niech cię szlag

a teraz papieros lampka taniego wina  
i palce czerwone ze wstydu

## **dzień dobry – przyszłam na koronację**

dwa lata temu w sierpniu zabiłeś świerszcza  
trzy minuty szukałeś na niego haka  
a potem otwartą dłońią  
rozmasałeś między koniczyną a bóg wie czym –  
małe ścierwo z podwiniętymi nóżkami

łąka nie zadrżała ohydą – nic z tego  
nawet niepylak roześmiał się z ulgą  
bo polowałeś i na jego trzepot

maki zapulsowały czerwienią  
a z traw na przekór wylęgła się cisza –  
taki pełzacz zdziwienia i faktu

wycierając ręce rzuciłeś – *powodzenia*  
*w bredzeniu o wyższości miłości nad mierzwą*

o celności mowa bo korona z dzwonkiem  
to spazm niespójnych przemilczeń

---

## Z cyklu: minimalnie

### porządki nierozważne

ploną małe świątki z lipowych klocków  
nie tak miało być – krzyczą pośród dymu  
no cóż  
wiele zmieniło się od wczorajszej litanii

(tu lekkie westchnienie pe – elki)

### a miałeś być

chcesz to zaśnij nawet na prawym skrzydle  
najwyżej rozbolą cię lotki i będziesz marudny

szelest piór jestem w stanie znieść spokojnie  
wytrzymam też udawanie świerszcza i stróża

tylko rozwiąż problem znikania nad ranem

### a co mi tam –

zmieniam się w owoc i o nic nie pytam  
pulsując sokiem obok ciebie – z dłoni  
czynię kołyskę co zaśpi zmęczenie

nie przemijam bo nocą rodzę wiosny –  
i pamiętam tylko o falach przypływu

### połonina pienińska

po linii dźwięku i plamce słońca  
poszłam za tobą jak zwinka

tylko madonna drzewiasta  
błogosławiła zmartwychwstanie

## **zakwitnij słowem na wiosnę**

*Markowi*

wyobraźnia nada kształt i znajdzie źródło  
żywej wody zagadanej z tęsknotą zieleni  
tam schowamy czego nie warto oglądać:  
planowany kompostownik lub rozpasane  
śmietnisko myśli – gdzieś muszą pełzać

jeszcze trejaż z groszkiem lub dziką różą  
choć bez wnętrza – zwiłokrotni uboczne  
a prostota zasłoni odmienność przestrzeni

na koniec  
szlachetność kamienia bądź zwykłej glinki  
i koniecznie dużo miejsca na leniwą trawę  
lub nagłe kaprysy stokrotek

## **śniegi topnieją w górach – czas się zbierać**

niech znowu chwila szeroko rozłoży ramiona  
i zagryzie tylko na pozór gorzkie źdźbło traw

jeszcze ty – koniecznie na wyciągnięcie dłoni –  
słabość tłumaczona niedorzecznością pagórków

możemy do przodu – w cieniu kapryśnej sokolicy

### **na marginesie jest trochę tlenu**

za stołami zasiedli złotouści – mnie zostało  
honorowe miejsce pod i obok zaszczytnych

nie że za ciasno ale z perspektywy klepek  
podłogi ciężko sięgać po kruchość filizanki  
a co dopiero marzyć o eleganckim wyglądzie  
i prezentacji marsowej zmarszczki na dumie

może zaryzykować wychylenie bezczelnej  
gęby – przynajmniej poprosić by myli nogi  
zanim je wsuną pod obrus udający białość

na górze poetka bawi kołowrotnym słowem  
ten rozczochrany zakorzeniem w kręgach  
głośno zapija reńskim gronowy komplement

na czworakach obieram kierunek drzwi  
dobre drzwi – takie otwarte na powietrze

### **powoli – obok siebie – dochodzimy do razem**

krok po kroku pleciemy bajdury zagryzane malinową czerwienią  
i niespiesznie wyglądamy ciszy – w oczach jeszcze pada deszcz  
niby wiosenny a jakoś wąpimy w kwitnienie kolejnych groszków

cisza  
gładzi włosy i rozpina następne srebro które chwilami zamartwia  
albo bawi pośpiechem – na zmiany kolorów też nie mamy czasu

jakie takie proste – nie musimy nic – to wszystko przez nas i w nas  
jutro (z rutyną) przekropimy mrzonką że warto spalać przyrzeczenia

# Mirosław Chodynicki

/Mirek/



Witam. Nazywam się Mirosław Chodynicki i... piszę wiersze. Piszę od dawna. Pierwsze próby czyniłem żakiem jeszcze będąc, i nimi umilałem sobie długie i co tu dużo gadać, nie do końca pasjonujące lekcje w jednej z poznańskich uczelni. Owszem, bardzo solidnych instytucji, o murach z czerwonej cegły. Ale to dawno było. Obecnie mieszkam w Terespolu nad malowniczą rzeką Bug i oczywiście smaruję na kartkach, to co wena szepcze do ucha.

I to już chyba wszystko, co mogę rzec o sobie. Zapraszam więc do lektury moich wierszy.

## Naiwna jak dziewczynka z zapalkami

otworzyła serce  
i rozlała miłość na  
kamienne płyty korytarza

gruba woźna wytarła plamę  
brudną szmatą

święta na niby  
sączyła jad kropla po kropli  
schowana na marginesie  
polerowała aureolę z napisem Made in China

kto odważny i  
kochaj bliźniego swego  
ogrzeje płomieniem zapalki

## Przechodzę przez smugę cienia

po drugiej stronie  
rozfałowanej granitową kostką ulicy  
mieszka pszczoła

złotymi skrzydłami zamiata  
okruchy czasu  
lepi samoloty i  
rozsypuje po niebie

patrz to nie deszcz  
to słowa  
osiadają na czarnych skrzydłach parasolowych  
nikną  
w labiryntach ulic

poczekam tu  
może wrócą

ułożę z nich nowe miasto  
z dachami pokrytymi śmiechem  
tańcem na chodnikach  
a w oknach  
zamieszkają pelargonie i rozbłyskane szyby  
napętnione niebem

## **Pustka**

próżnia idealna  
czarna  
ślepa

uczucia wędrują po kosmosie  
dla odpoczynku  
przysiadają  
na złotych krążkach księżyców

zmienione w ciągi algebraiczne  
długimi łańcuchami przeczesują  
pustkę

kiedyś wróć  
zdziwione  
leśną zieloną ciszą doprawioną  
werblem dziecięcia

usną wreszcie spokojnie  
pod stateczną sosną  
na miękkim rudym igliwiu

## **Potrzeba wyciszenia ... po pajęczej nici na ziemię**

popołudnie ubrane  
w zapach kawy i  
nudę

nuty rozsypane na podłogę z fortepianu  
toczą się ku oknu  
odlatują  
na skrzydłach firanki

upijmy się dziś  
i w tonacji rubinowej popłyńmy

może trochę dalej  
niż za linię lipowej zieleni

## **Leniwe popołudnie**

sen nie sen  
po ogrodzie  
kwiatom ptakom zagłada w oczy

opowiada  
opowieść zieloną  
ze szczyptą wiatru

o smaku lemoniady landrynkowej  
przez tęczową słomkę  
i koniecznie kapelusz kremowy  
z szerokim rondem  
bo do opowieści pasuje

kiedy sen nie sen

## **Imię drzewa**

brzmi siłą  
szepciem  
i trwaniem mimo wszystko

jestem drzewem

piję księżycę z głębin zakrytych  
wyciągam ramiona  
obejmuję  
kolory i powietrza

próżnię wypełniam samotnością  
o zachodzie słońca

**\* \* \* (plaża słońce)**

plaża słońce  
gdzieś tam

na gorącym bruku  
w stukocie kroków zgubiony  
szukam sensu  
uciekających minut

dzień noc  
noc dzień

muzyki zakłętę  
w klawiaturę schodów  
zbiegających  
niżej  
niżej  
aż na

a potem w tunel zdarzeń  
na drugą stronę lustra

**Moja muzyka**

o północy zrodzona  
ze światła gwiazd  
trwała chwilę

trzy nutki  
tańczące w smudze

leżą teraz na niedzielnym obrusie  
obok wazonu z liliami  
skupiającymi  
arystokratycznie całą uwagę

trzy martwe nutki  
niezauważone  
po kraniec niedzieli

## Patykiem pisane

mam wszystko

muzykę  
papier  
pióro

naręcza słów pasą myśli rozbiegłe

samotności  
zaśpiewaj przestrzeń  
i ptaków  
kręgi swobodne

I można iść. Prosto. Swobodnie. Nie pytaj o cel. Sam się znaj-  
dzie. Tam za zakrętem, za górką. albo za krzewami w dolinie.  
Cisza. Nikt nie mówi swoich spraw.

Czasem tylko deszcz.

Krople trącają źdźbła jak struny, i jest granie. Granie nie zapisa-  
ne w żadnym śpiewniku. I jest modlitwa zapachu deszczu, lasu  
i ciszy przednocnej godziny zamyślonej.

Wyrzuć buty. Poczuj ziemię. Gorącą miękkość,

dotyk pierwotny.

A teraz słuchaj. Mówi. Usłysz. Jesteś dzieckiem. Poczuj idealną  
miłość i spij spokojnie w jej zielonych ramionach.  
Śnij.

pobiegnę modlitwą  
w równiny  
deszczem splotkane

pijany słowem  
tańczę  
kocham

słyszycie kocham  
i nic mnie nie obchodzi

## Andrzej Deryło

/AnDante/

Ot i problem.

Mam coś napisać o sobie , przedstawić się... Nadmiernie (jak to często bywa) rozwinięte EGO nakazuje się pochwalić, wrodzona (mam nadzieję) SKROMNOŚĆ podpowiada coś wręcz przeciwnego, zaś schowane najczęściej gdzieś w kąciakach pomieszczenia na szare komórki resztki ZDROWEGO ROZSĄDKU nakazują znaleźć złoty środek.



No i to jest problem, z którym nie bardzo potrafię sobie poradzić, a skoro tak, to powtórzę to, co napisałem we wcześniejszej antologii:

**AnDante** – to ja, osobnik w wieku „z górki” obdarzony przez matkę naturę skromnymi zdolnościami układania zdań w rymy, a przez świetnego i oddanego swej pracy polonistę w liceum – pewnymi umiejętnościami w miarę zrozumiałego łączenia liter w wyrazy, a wyrazów w zdania. Te dwie w umiarkowanym stopniu posiadane umiejętności zachęciły mnie do klecenia wierszy, przez co niektórzy nazwali mnie wierszokletą, a wyjątkowo pobłażliwi – poetą, do którego to miana nie czuję się absolutnie powołany, a to z racji chociażby niezupełnie lirycznego usposobienia oraz skłonności do złośliwości , przeplatanej niekiedy mniej lub bardziej udanymi żartami. Czasami tylko bywam nieco poważniejszy.

Takie też różnorodne są moje „wiersze”.

### Nieuleczalni

Pędzisz za sławą, chwałą, pieniądzem,  
gwiazdy doganiasz i galaktyki,  
myślisz, żeś wszystko urządził mądrze,  
bo masz majątek, pracę, wyniki.

Lecz po cóż sława, zaszczyt, kariera  
i golf sobotni, czy msza niedzielna,  
kiedy twe ciało choroba zżera  
co zwie się „życie”, zawsze śmiertelna.

## Moja litania

Rozmyślam sobie czasem nad ranem  
– od wątpliwości trudno się ustrzec,  
czyś Boże mądrym, wszechmocnym Panem,  
czy tylko pochwał łaknącym bóstwem

Z ręką na sercu powiedz mi Panie  
chcesz Ty modlitwy z książki czytanej?  
klepane lubisz słuchać litanie?  
im tylko łaski otwierasz bramę?

Inteligencji Twojej nie rażą  
te czołobitne hymny pochwalne  
w krąg mamrotane z kamienną twarzą  
równie bezmyślnie jak i nachalnie?

Oglądasz chętnie brudnych pątników,  
co z twym imieniem snują się drogą,  
za dnia z pomiętych chrypiąc śpiewników,  
nocą parami gniotąc się błogo?

Lubisz, gdy pasterz w purpurze, w złocie,  
w gmachu ogromnym w marmury strojnym,  
w Boga imieniu udziela pociech:  
błogosławieni ubodzy, skromni.... ?

Drogowskaz dałeś, gdzie prawda leży,  
wolność – bym drogę sam do niej tyczył,  
po cóż mi legion Twoich pasterzy  
chcących do prawdy wieść mnie na smyczy

Cóż, jak to człowiek, zbłądzą niekiedy,  
lecz gdy przewinień mych listę długą  
przyjdzie czas odkryć, to swoje grzechy  
Tobie chcę wyznać, nie Twoim sługom

Więc daj mi Boże tylko nadzieję,  
nieważne – w domu, czy w zagajniku –  
podtrzymać wiarę, co wciąż się chwieje  
sam na sam z Tobą, bez pośredników.

Tak, wiem – zaszczują, zgnębią, zakraczą,  
że to herezja, ułomna wiara,  
odpowiem krótko groźnym krzykaczom:  
krzyż chcę mieć w sercu, nie na sztandarach.

### **Piosenka banalna**

Poezja ci prawdy nie powie,  
uczucie nakaże ci skrywać,  
poezja wciąż gardzi tym słowem,  
to zbrodnia go w wierszu używać.

Bo słowo to śmierdzi banałem,  
a w rymie – ech, wręcz Częstochowa,  
tylekroć to tutaj słyszałem,  
od bredni tych boli mnie głowa.

Ach, biedni, nieszczęśni ludziska  
już za was żal serce mi ściska,  
nie wiecie, cóż to za radocha,  
gdy mówię dziewczynie, że KOCHAM!

A potem, gdy wchodzę do łóżka,  
a ona już chce się wycofać,  
cichutko jej szeptam do uszka,  
że tylko ją jedną tak KOCHAM

Zaś rankiem, gdy wstaję z pościeli  
a ona wciąż pyta nachalnie  
czy kocham, to mówię: aniele,  
dziś KOCHAM to takie banalne

## Autopodnieta

Zapraǳnę! Autor doznać podniety,  
pieczenia w dołku z weny dotykiem.  
Pomyślał – wpadną w zachwyty kobiety  
Kiedy porażę je erotykiem.

Tak pobudzony cnych uczuć chórem  
powstał erotyk, by mistrza piórem  
z delikatności subtelnym tchnieniem  
nurtem pieścizoty wlewać spełnienie

Ach – zapiszczała z zachwytem pierwsza  
Och – wzdycha druga już w pąsach cała  
Ech – trzecia skończyć nie mogła wiersza,  
ekstazą ścięta, padła omdlała.

Już piąta, siódma i osiemnasta,  
każda się wierszem wzrusza niewiasta,  
aż wśród tych „ochów” i „achów” sieci  
Autor nareszcie sam się podniecił

## Sen wierszoklety

Coś mi się śniło,  
tak, śniło mi się,  
bo to nie mogła przecież być jawa.  
słońko na niebie  
ślicznie świeciło,  
a w dole ogród, kwiaty i trawa.

W ogrodzie domek  
zgrabny, nieduży,  
a przed nim... – mocniej zabiło serce –  
przed nim ławeczka,  
na niej trzy muzy..  
Toż to Kalliope, a z nią Euterpe.  
A trzecia ? – trzecia  
barwna jak lato,  
muza miłosnej pieśni – Erato.

– Muzy, boginie, błagam was, proszę,  
zwróćcie mi wenę – płakałem rzewnie,  
– dajcie pomysłów, choćby za grosze...  
– Dostyc !  
Kalliope krzyknęła gniewnie,

– dość, wierszokleto! dość, grafomanie!  
o czym chcesz pisać, co chcesz obwieszczać  
wierszem skrobanym wprost na kolanie,  
zamknętym w rymu i rytmu kleszczach?

Czy wiesz kim jesteś, wiesz kim się stałeś?  
Ty – wypalony świeczki ogarek!  
Coś tam pisałeś, tekściki małe,  
śmieszne, nieważne, niemodne, stare,

frazy bez treści, słówka banalne,  
płaskie, bezbarwne, jak do sztambucha,  
jakieś laurki okazjonalne.  
Ktoś to przeczytał?, Ktoś tego słuchał?

Komuś w pamięci choć jedno zdanie  
dłużej zostało niż przez minutę?  
Wzbudziłeś radość swoim pisaniem,  
chwilę zadumy, czy może smutek?

Po cóż więc skamlesz, czemu nas nudzisz,  
na co ci wena, na co pomysły,  
popatrz dokoła, idź między ludzi,  
tam znajdziesz wenę.  
Nadzieje przysły...

Coś mi się śniło,  
tak, śniło mi się,  
bo to nie mogła przecież być jawa,  
ale mi wcale  
nie było miło,  
zakiełkowała w sercu obawa,  
że to już koniec,  
cóż mi zostanie,  
tylko czytanie,  
tylko czytanie?

## Maestro

Patrzył w chmurkę, gdy pod górkę  
wolno kroczył,  
nagle w główkę dostał piórkiem  
między oczy,  
rany boskie słowo gorzkie  
się wymknęło,  
gdzieś posiałem moje całe  
arcydzieło

może w ramy gdzieś u mamy  
się upchało,  
może wyszło w niezawisłość  
nazbyt śmiało,  
nie daj boże, w lesie może  
gdzieś się skrywa,  
a gdy przy tym lekko spite  
będzie zgrywa

ech, cholera wściekłość szczerza  
już mnie wzięła,  
będzie ściema, że ja nie mam  
arcydzieła,  
no więc siadam gdzie popada  
z piórem w ręce,  
i tak sobie dzieło skrobię  
jak najprędzej

skaczę piórem jak kangurem  
po papierze,  
wizja nowa, nadbudowa  
w sukces wierzę,  
potem jętki, szmelc, baretki,  
w dzieło włożę,  
ujdzie w tłumie, nie zrozumie  
nikt, a może,  
że łatwizna nikt nie przyzna  
tak ze strachu,  
bo rzecz jasna, każdy z nas ma  
lęk obciachu

## Hanna Dikta



Nauczycielka, laureatka wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich i literackich. Debiutowała w „Migotaniach, przejaśnieniach”. Jej wiersze ukazały się także w antologiach forów poetyckich, almanachach pokonkursowych oraz lokalnych pismach literackich i kulturalnych. Mieszka wraz z mężem i dwoma córkami w Piekarach Śląskich.

### **koncertowe memento mori**

obsiedli mnie jak ptaki. stado wyliniałych kruków  
w nieświeżych marynarkach i mokasynach sprzed półwiecza.  
dziarską miną maskowali załężki parkinsona  
albo zdiagnozowanego miesiąc wcześniej raka,  
o którym wciąż nie potrafią powiedzieć rodzinie.  
zapach butwiejących pod lodem trawników.

pomyślałam, że staruszkowie powinni chodzić  
najwyżej parami. drobić chleb na starówce  
albo machać zza szyby domku na wsi,  
do którego zjeżdżamy tylko wtedy,  
kiedy świeci słońce.

## kalki

siadają przede mną co rano.

jedenastoletni właściciele porsche,  
uśmiechnięte żony alkoholików,  
miłośnicy totolotka.

opatruję im kolana pytaniami przypadków  
albo psotami pajacyka z lektury.

najtrudniej oswoić  
sfrustrowaną rozwódkę spod okna.  
już piątą lekcję pisze pod ławką  
listy do ojca,

którego podobno nienawidzi.

## kochała tylko van Gogha

nie lubiła nas uczyć. rozczarowana ścianami  
bez płócien, ciasnym gorsetem pani od polskiego.  
proszkami, po którym myśli wcale nie były niebieskie,  
a palce nadal nie potrafiły utrzymać ołówka.

mówiła, że nie powinnam marnować talentu.

wczoraj spotkałam ją w autobusie.  
nuciła pastorałkę i malowała *słoneczniki*  
śliną na kasowniku.

## **mam na imię Lisa i mieszkam w Bullerbyn**

na naszych podwórkach nadal bujają się huśtawki,  
skrzypią furtki. dróżnik opuszcza szlaban,  
wygania spod schodów bezdomne kocięta.  
a wariatka z domu przy kaplicy  
kołyszże się uparcie w rytm śpiących pociągów.

na oblodzonym moście siedzą aniołowie.  
jeszcze nie mają twarzy, jeszcze mnie nie boją.  
rozpuszczam pod językiem ślazowe cukierki.  
gram w klasy na torach.

## **Ikarowi**

najtrudniej zapomnieć palce zsuwające wstążkę,  
liście pod butami. gorzkie pestki ssałeś jak landrynki  
i śmiałeś się tak, że milkły łabędzie.

naprawdę wierzyłam, że mnie uratujesz.

dziś wyplątuję stopy z pocałunków.  
zszywam rozcięcia w wełnianym płaszczyku.  
Dedał rzeźbi lipowe anioły. pada śnieg.

## welcome K

na mojej ulicy po staremu. pięćdziesięcioletni  
chłopiec bawi się pistolecikiem na wodę. pyta o godzinę.  
chowa twarz z niedopałkiem w matczynej spódnicy.  
kobiety kiszą żur, stroją krzyże, zamiatają asfalt.

komuś zdechł kot. ktoś wypatrzył sójkę składającą jaja,

a kaleka z domu przy cmentarzu, idąc po gazetę,  
jak co dzień szerokim łukiem omija skrzyżowanie,  
na którym przed trzydziestoma laty  
zabił swoje dzieci.

## gipsowa panienka z L.

postawił ją na parapecie. obok podwiązek  
i spinek, ukradzionych z hotelowej toaletki.  
czasem układa przy niej kwiaty, pali świece.  
częściej zuchwale zdrapuje gips z podbródka.  
draży niebieską sukienkę.

we śnie bierze ją naprawdę. ma ciepłe łono,  
drobne piersi i ufne spojrzenie dziewczynek  
z obrazów Balthusa.

### **siostra Marta od aniołów**

kiedy zostaje sama, wyjmuje je z kosza.  
zawija w haftowaną chusteczkę lub kocyk.  
to zależy, czy mieszczą się w dłoni.

korytarz jest zbyt krótki,  
by opowiedzieć im wszystkie baśnie,  
więc wybiera tylko te z dobrym zakończeniem.

każdy malec powinien znać Andersena.

nie, kobietom, którym poprawia poduszki,  
nigdy nie mówi, że biały dym za oknem  
to skrzydła ich dzieci.

### **najładniej ci w czapce niewidce**

sosna nadal opiera się o szybę, tylko kartki z kalendarza  
mniej szare. i myśl wreszcie przesiąkła cegłą.

w deszczowe przedpołudnia kawa smakuje kawą,  
jest ciepło i nigdzie się nie spieszę. nie wróżę już  
z koloru zaston. nie szukam zapachu w wyblakłych gazetach.

jedynie łąki bez tramwajowych przystanków  
czasem bolą tak mocno, jakby istniały naprawdę.

## **kiedyś po ciebie wrócę**

w czasie ostatniej podróży byliśmy nierozłączni.  
nawet kiedy paliłam papierosa, siedziała obok,  
zagryzała jabłka czekoladą i beztrudnie bawiła się  
śniegiem na podeszwie.

pierwszy raz zgubiłam ją na dworcu,  
gdy przy kiosku ruch-u czekałam na taksówkę.  
potem cyklicznie znikwała i wracała, a ja coraz częściej  
zamiast chudego rudzielca, odbijałam w lustrze  
piękną poetkę o zmysłowych ustach.  
wszak kłamstwo powtórzone sto razy,  
w końcu staje się prawdą.

odeszła o świcie. długo patrzyłam  
na jej przestrelone plecy w wełnianym płaszczyku.  
niebieską rękawiczkę, rzuconą mi przez ramię  
na szczęście.

## **z cudzych miseczek**

minął czas stawania na palcach. zagłądania przez szybę.

dorośla naciskasz klamkę, przymierzasz głowę do smug na poduszce.  
zdmuchujesz kurz z filizanek. w szlafrokach pań domu czytasz książki  
od strony z zakładką, zaskoczona, jak banalne lubią historie.

i przez chwilę jest tak, jakby ktoś znów zapalił światło w tamtym oknie.

dowiadują się przypadkiem. z nadgryzionej bagietki, spinki w umywalce.  
cerowanych rajstopek, rozwieszonych zwycięsko  
między krzeselkami.

## Danuta Duszyńska



Od 1991 r. mieszka w Perth, Zachodnia Australia. Szczęśliwa mama dwóch córek i babcia dwóch cudownych wnuków. Niepoprawna optymistka. Kocha poezję, ludzi i otaczający ją świat. Podróżując odkrywa piękne zakątki Australii. Wkrótce wyda tomik wierszy zatytułowany "purpury jesieni".

### **W szybę zastukała purpurowa jesień**

Do twarzy jej było w tym pięknym kolorze,  
pełna liści złotych i kasztanów kieszeń.  
Z pachnącym bukietem, jak dojrzałe zboże,  
w szybę zastukała purpurowa jesień.

Ktoś otworzył okno i spojrzął ciekawie  
jakimi ścieżkami złota pani chadza.  
Czy snem to być może, czy może na jawie,  
on rękę podaje, do domu wprowadza.

Jesień hojna była i wszystko, co miała  
– całą swą purpurę i jesienny wieniec,  
za trochę uczucia z chęcią by oddała.  
Już pachnący bukiet i kasztany niesie.

Podaje prezenty z urokiem i gracją,  
cichutko wśród liści szumi suknia złota.  
Wciąż jej pachnie jaśmin i biała akacja,  
w niej płomień złocisty, do życia ochota.

Oddała swe dary, straciła urodę,  
kwiaty pogubiła, pospadały liście.  
I tylko jesiennie serce ciągle młode  
patrzy w dal przed siebie posępnie i mgliście.

## Wiatr i marzenia

Wiatr na liściach tańczy, w porywach wiruje,  
śpiewa smętna nutka, echo mu wtóruje.  
Raz zabrzmiał cichutko i tak jakoś rzewnie,  
z tęsknoty wiatr śpiewa, bo smutno mu pewnie.

Lecz nagle się zrywa i biegnie do przodu,  
pamięta te czasy, kiedy to za młodu  
pędził huraganem, łamiąc co po drodze,  
by stracić zapały umęczony srodze.

By wiele lat potem siadywać na płocie,  
kałuże osuszać lub w jesiennym wzlocie  
szukać złotych liści, podobnych do siebie,  
by się wspomagały życzliwie w potrzebie.

I znalazł dwa listki, położył na dłoni.  
Liście pofrunęły, wiatr zmęczony gonił.  
Dziś śpiewa cichutko o tej swojej stracie.  
Wciąż marzy i marzy, żeby żyć inaczej.

## Suknia barwy zielonej

Zerwałś ze mnie suknię zieloną,  
zgrabnie uszytą na moją miarę.  
Różą czerwoną z przodu zdobioną,  
z kroplami rosy, uroku darem.

Spadła sukienka pod twoje nogi  
na brudną ziemię, w błota kałuże.  
Los zdać się musiał być tak złowrogim,  
życia w zieleni nie chciał wydłużyć.

Nagle straciła kolor nadziei,  
błoto pokryło świeżość zieleni.  
Płatki różane wiatr w dal pogonił,  
wiarę i miłość w troskę odmienił.

Dzisiaj już trudno nabyć od nowa  
suknię tak piękną, pachnącą majem.  
Wszak ciągle może być kolorowa  
złotą purpurą, grzybowym gajem.

Myślisz, że znajdę suknię na nowo  
w kolorze pięknych czerwonych liści?  
Czy piękna będzie jesienną dołą?  
W marzeniu sennym złotem szeleści.

### **A ja tak Cię chciałam**

A ja tak Cię chciałam zachować przy sobie,  
przygarnąć, utulić, grać z tobą w kasztany.  
Trzymać cię pod rękę w tej jesiennej dobie,  
by los mój już nie był tak podle przegrany.

A ja tak wierzyłam, że zostaniesz może,  
dzielić się będziemy pół na pół purpurą,  
razem biegać polem, gdzie dojrzałe zboże,  
odrzucić na zawsze samotność ponurą.

A ja tak pragnęłam, byś pozostał ze mną,  
by nigdy nie była pusta twoja ścieżka.  
A gonitwa owa nie była daremną,  
żebyś mógł w szkatułce pocałunków mieszkać.

Dlaczego umykasz ścieżką złotych liści?  
Niewidocznie błędzisz wśród jesiennej dali.  
Cicho tu i smutno, tylko wiatr szeleści,  
a my we wszechświecie sami tacy mali

## Wyszeptaj proszę

Wyszeptaj proszę, te trzy czułe słowa.  
Szeptales wtedy... Noc była majowa  
i cisza wokół, tylko owe granie  
słów jakże pięknych „Ty – moje kochanie”.

Wyszeptaj proszę, niech jeszcze usłyszę,  
niech one wzleczą ponad ową ciszę  
żeby mi zagrać tę nutkę radosną,  
taką podobną, jak słyszałam wiosną.

Wyszeptaj proszę, ja uwierzę w słowa.  
Będą już ze mną. A noc jaśminowa  
zapachem słodkim otuli nas dwoje.  
Ja duszę Twoją miłością ukoję.

Wyszeptaj proszę, że kochasz mnie jeszcze,  
wszystko, co po nas, wydaje się bledsze.  
Powiedz, że czekasz, przyjadę do Ciebie  
w strony nieznanne, w krainy odległe.

## Myśli nieuczesane

/u mnie pachnąca wiosna – marzenia na nowo ożyły/

Kłębią się myśli nieuczesane,  
brak w nich porządku, zdrowej logiki.  
Raz marzeniami wymalowane;  
radością dusza zgoła aż kipi.

By potem znowu rozsądek górą  
w ryzy i szpony związał dokładnie.  
Ułożył myśli w logiczny format,  
a już marzenie po trosze słabnie.

Może by trwało tak w śnie głębokim,  
gdyby nie wiosna pachnąca kwiatem  
odkryła prawdę, jakże ubogim,  
w swej logiczności jesteś bez pragnień.

Serce na nowo znowu ożyło  
z naręczem pięknych zbudzonych marzeń.  
Chcą trwać niezwykłą zieloną chwilą,  
co dobra wiosna dała im w darze.

### **Ptasie trele**

Weź za rękę, przytul mocno, niech uwierzę,  
że czas stanął nierealnie na zakręcie.  
Moje ciało ciągle piękne, usta świeże,  
a ta chwila niespodzianie prawdę zwiedzie.

Może jesień się zamieni treścią z latem  
albo wiosna nam użyczy ciut zieleni,  
gdzie jaśminy i konwalie, chóry żabie,  
a my razem rozkochani, omamieni.

Trwać będziemy w tej bajecznej, błogiej chwili;  
odurzeni, nierealni w zapomnieniu.  
Wspólnie z nami łany zboża w takt tańczyły,  
Tyś był Marsem, a ja twoją piękną Venus.

Nagle zegar nam przypomniał o swym czasie,  
właśnie wybił swą godzinę o dwunastej...  
W mojej głowie ciągle zamęt, trele ptasie  
i marzenia spontaniczne, zbyt odważne.

## Stara lampa

Zapał lampę, kochanie, co na strychu leży.  
To nie żarty.  
Zobacz, szkiełko pęknięte, wymienić należy.  
I knot zdarty.

Wytrzymaj ją, proszę, z kurzu, wszak świecić nam może,  
choć stara.  
Długo leżała w kącie! Czekaj, drzwi otworzę.  
We mnie wiara.

Trzeba doń nafty dolać i knot kupić nowy,  
a zapłonie,  
Zapali się płomieniem – jasnym i gorącym.  
Zimne dłonie?

Widzisz, ogień się żarzy, iskrzy i rozpala.  
Czujesz miły?  
Światło lampy rozbłyśka, widać lunę z dala!  
Dodaj siły.

Przykręć lampę, mój drogi, spać niedługo trzeba.  
Podaj dłonie.  
Patrz, gwiazdy jasno świecą, jedna spadła z nieba.  
Biegnę do niej.

# Marzena Frączek

/Dafne/



*choć tyle minęło to nadal mam jutro  
i słowa nachalne co kreślą wrażenia  
te szybko spisane nie mogą już umknąć  
z wersami uległy i wiązać nie trzeba*

## **spacer mlecznym traktem**

gdy zakładam snom kagańce  
by się z nocą nie szarpały  
zabraniając nawet warczeć  
kiedy ciemność jak aksamit  
wszechświat głaszcze

patrzę w górę tam gdzie diody  
ciemny granat podświetliły  
żeby zodiak jakże zwodny  
pośród marzeń zbyt zawitych  
ścieżkę odkrył

i przez chwilę albo kilka  
bo spełnienie już tak nisko  
kiedy myśli w srebrnych blikach  
rozświetlają niemal wszystko  
zwodzę milczka

### **aby do...**

kiedy z pola spłynie zima  
obtupiemy resztki chłodu  
chcę być ciepłem do mnie przywarł  
w sploty trawy stopy obuł

wtedy lekko zgarnę z czoła  
posiwiwały kosmyk zmartwień  
może choć przez chwilę zdołasz  
nie pamiętać gdy przygarnę

i zabiorę pod parasol  
co rozkłada szczodra tęcza  
niech się barwy do nas łąszą  
zanim legną w letnich wersach

### **podkradając chwile**

z kim mam się droczyć o nitki bieli  
co nazbyt szybko przetkały skronie  
gdy myśli wartkie jak w rojach pszczelich  
i nie chcą zwolnić idąc przebojem

a dłonie łase na każde drzenie  
wciąż uciekają z podołka czasu  
bo kiedy mogą jeszcze tak wiele  
trudno w kajdany niemocy zakuć

więc tak co rano pytanie rzucam  
i zanim wróci jako odpowiedź  
którą mnie życie twardo poucza  
znikam za rogiem jak drobny złodziej

## **antrakt**

nie znajdę prawdy bo jej w tobie nie ma  
kiedy udajesz zmuszam się by patrzeć  
ta sama scena z rękami do nieba  
już wyćwiczona jak gesty w teatrze

lepiej zamilknij poplątałeś kwestię  
to chyba klapa i nie będzie bisów  
po takiej wpadce aura sławy błędnie  
przemyśl to proszę bez klaki w zaciszu

może poczujesz znowu wzrok na sobie  
jeśli codzienność ciekawiej obsadzi  
po raz kolejny trudnej podda próbie  
tylko pochopnie nie pchaj się na afisz

## **krzyk synogarlic**

znowu kolejna jesień nam się zdarzy  
eden kolorów o zachodzie słońca  
skiby otwarte żeby z wiatrem gwarzyć  
i strach już wróbli złośliwie nie trąca

kwieciste flirty uschły pełne zacięć  
piękność przed chłodem ogaciła kolce  
mało ponętna w pikowanej szacie  
błędnie oparta o zaradną olchę

łzawe obłoki tęczą już nieszczodre  
gdy wrzesień brązów odsłania przyłbicę  
i w niepamięci gubi wciąż listowie  
a gdzieś pomiędzy świergotanie liche

*Agnieszce i Jackowi Dumom  
za wieloletnią przyjaźń*

## **choć za kotarą już inne poranki**

przez lata razem  
jak więźniowie z jednej celi

uwolnieni z za szczebelków  
niczym *reks*  
rzucamy się w powtórki wspomnień

gdzie nadal dość miejsca  
na transporter  
który taranem bardziej niż kiedyś

ale po co wstecz  
gdy teraz recepta  
bez wychodzenia z domu

## **lunatycznie**

mam we krwi  
powroty do łóżka

zanim namacasz pustkę  
i wyjdzie na jaw że jestem włóczykijem  
będę z powrotem podając papierosa

zaciągnij się na zapas

jutro może padać  
a mokrą draską  
nie potrafię

## **przesilenie**

za pasem zgoda nocy z dniem  
jedno drugiemu kwiat paproci  
czarownym dymem ogień dmie  
jasność myślenia lekko mąci

za kręgiem światła szumi las  
my wtórujemy transem pieśni  
zioła wetknięte w sploty szat  
słowiańską magią wciąż zakłęci

zanim kupałę zgani świt  
wianki już będą witać morze  
nocne opary stracą byt  
jeszcze zatańczyć boso zdążę

## **krok po kroku w sepie**

gdy obraz przeszłości powoli rdzewieje  
zerkania za siebie jak ognia unikam  
w spuchniętych powiekach zmieściło się wiele  
po cichym dobranoc spokojnie zasypia

wiem jeszcze napotkam przebiegłą tęsknotę  
na krótko westchnieniem niechący ulegnę  
lecz zanim latarnie przygasną po trosze  
ślubując świtanie jej kontur przyblednie

choć tyle minęło to nadal mam jutro  
i słowa nachalne co kreślą wrażenia  
te szybko spisane nie mogą już umknąć  
z wersami uległy i wiązać nie trzeba

## pośrodku

znowu przypomniał kurant kościelny  
że czas wędrówki o dobę krótszy  
a jeszcze tyle musi się spełnić  
w miesiącach latach wyborów różnych

więc gdy po piętach depczą godziny  
przyspieszam kroku co nazbyt wolny  
wiążąc końcówki nim poprosimy  
o dłuższy limit gdy nadal żądni

i tak od rana po kres wieczoru  
żadna okazja nie czmychnie bokiem  
dopóki oczy bez fotochromów  
a ciało tańczy w prześwitach okien

## jubel

deszcz łupie parapet  
za ścianą znowu będą grać na mandolinie  
w kapeluszu sporo kolejek  
czyjegoś zdrowia

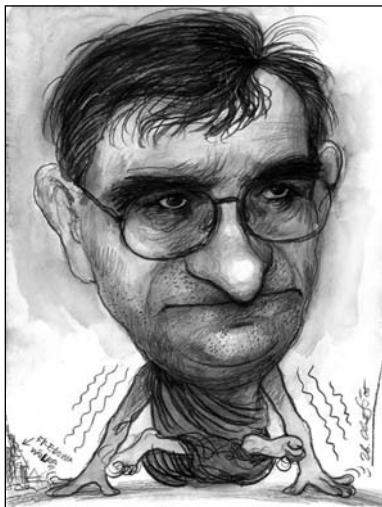
do rana nikt nie zrobi porządku  
brakuje spódnicy  
i całej reszty w niej

a przecież to taki dobry sposób  
sapnąć w kark wierszem  
by straciła głowę

zanim dotrze prognoza  
że bida długo nie minie

# Ferdynand Głodzik

/Fred/



Urodził się 6 maja 1955 r. w Woli Zdakowskiej na Podkarpaciu.

W 2004 r. program kabaretowy dla teatru „Maski i twarze” pod tytułem „Lud idzie na dziady”. W 2006 roku debiutancki tomik satyryczny „winien i ma” wydany nakładem Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Gorzowie Wlkp.

Publikacje wierszy w *Przekroju*, *Angorze*, *Ziemi Gorzowskiej*, *Horyzontach*, *Pegazie Lubuskim*, polskojęzycznej prasie w Chicago. W 2010 roku wraz z kompozytorem Lucjanem Wesołowskim zdobył wyróżnienie w Konkursie ZaKRu Małwy 2010 za piosenkę „Układ Krążenia”.

## Kanikuła

Gdzie gładkością cery pyszni się sałata,  
pod altanką można spotkać Deodata;  
tam pergole i rabatki, ścieżki, klomby;  
twardogłowi wytyczają swoje głąby.

Bób oblesny obłym strąkiem gąszcz rozpiera;  
mocniej, głębiej ciągle pragnie skorzonera,  
krągłym biodrem się rozpycha krzepka rzepa  
prenatalny brzuch wypina kalarepa.

Pyszne dynie w słońcu marzą o laktacji,  
a Deodat chłonie każdy dzień wakacji;  
wszystko jawnie, widać teraz taka moda;  
pod sumiastym wąsem śmieje się Deodat.

## Karzeł

Wymailo się słońce z wilgoci i pluchy,  
 idą w taniec magowie, wróżbici, szeptuchy;  
 w noc majową, jaśminową,  
 z nimi obraz, dźwięk i słowo;  
 zostawiają za sobą świat szary i głuchy.

Kto tych nocy doświadczył, ten ich nie przesypia;  
 karzeł mruży uparcie niespokojne ślipia;  
 w smukłych cieniach tańczą ściany,  
 pędzle, farby i blejtramy,  
 w dali odgłos fujarki wierzbowej zaskrzypiał.

Para bardów steranych przez długie półwiecze,  
 w pojedynku się zwarła jak nagie dwa miecze;  
 kto najlepszy z trubadurów,  
 który godzien pieśni chóru;  
 komu ciepła kucharka pierożek upieczce?

Po dniu pracy zasypia w ulu pszczoła miodna,  
 rybki całe akwarium opróżniły do dna;  
 wzięły oddech po namyśle,  
 bo te ryby są dwudyszne;  
 jaśminowo się snuje jutrujenka pogodna.

Odplływają w zaświaty wieczorne mamidła;  
 ciężkie rosą poranną pegazowe skrzydła;  
 po majakach krótkiej nocy,  
 karzeł budzi się z niemocy  
 i powstaje z postania jako brzmiaący cymbał.

## Rzewień

Nie ulegnę pokusie, aby nazwać cię różą;  
 moc magiczna tych kwiatów w wierszach dawno przekwitła.  
 Takich rymów różanych jest stanowczo za dużo,  
 a koledzy poeci znowu będą się chichrać.

Cichym szeptem cię z kuchni wyprowadzę od garów,  
do ogrodu przy domu, gdzie czas lato rozlewa;  
będziesz smukleć na grządce, jako kwiat rabarbaru;  
co jak owies w podmuchach swoje wiechy rozwiewa.

Tam pod liściem szerokim co od żaru osłania,  
wynajdziemy łodygę; mocną, długą, sprężystą;  
trochę będę nacierał, trochę będziesz się wzbraniać,  
aż sok tryśnie z łodygi i zaśpiewa w nas bliskość.

Ty na desce kuchennej tę łodygę pokroisz,  
aż we wrzącej kąpieli miazgą buchnie aromat,  
by kompotem schłodzonym drobne smutki ukoić,  
popołudniem niedzielnym szarość prozy pokonać.

Wysączymy ten kompot potem w cieniu altany;  
wiatr zamilknie w listowiu pośród licznych rozkrzewień;  
organizmy przyswoją naturalne szczawiany,  
a rzewnością lat wspólnych ukorzeni się rzewień.

## Poranek

Ochroniarz wraca z nocnej straży,  
nad mroźnym miastem szarość dniaje.  
Mnie o tej porze pościel parzy,  
jasiek pod głową aż twardnieje.

Grudzień wyostrzył mrozem gwiazdy,  
myśli się kłębią w głowie ciasnej;  
nie mam kłopotów tak jak każdy;  
mam całkiem inne; swoje własne.

Czyjś krok przecina ranną ciszę,  
za oknem mroźna droga biała,  
a ja w marzeniach głos twój słyszę;  
ach gdybyś tylko ty wiedziała.

w doniczkę smutna tkwi roślina,  
powolny czas jest moim wrogiem;  
dorzucam drewna do kominka  
i sam milcząco patrzę w ogień.

## Na jutro

Tak dużo ciebie w myśli mojej,  
w marzeniach trzymam cię za rękę;  
z nami radości, niepokoje;  
choć tych drugich jakby więcej.

Czasami bywa niepokodnie,  
lecz dobrej wiary nie utracę;  
znowu założysz białe spodnie,  
wyprowadzimy psa na spacer.

Do wiosenniejszych dni dotrwamy,  
na nową radość wciąż gotowi;  
znajdziemy w parku drobny kamyk,  
co każdy smutek nam uzdrowi.

Wciąż mam na lepsze dni nadzieję;  
dzisiaj to wyśniłem cichym szeptem;  
chory na pewno wyzdrowieje,  
zanim ostatnią zje tabletkę.

## Czas zauroczeń

Coś między nami się zachwiało;  
nasze spotkania czuć podróżą;  
na co dzień ciebie mam za mało,  
za to w marzeniach ciągle dużo.

Czas zauroczeń ciągle nowych,  
dzisiaj z codziennością staje w szranki;  
w portalach święci, białogłowy,  
potem reklamy, sklepy, banki.

Szlakiem zdeptanym od pokoleń,  
na placu solnym, przed katedrą;  
wolno sączymy coca colę;  
na rynku rozsiadł się Pan Fredro.

Święty obrazek nam przynosi  
 sprzedawca modlitw i koronek.  
 Wyciąga dłoń po drobny grosik  
 i mówi: piękną ma pan żonę.

### **Wspólny początek**

Kiedy ucichną takty Mendelssohna,  
 z sali weselnej wyjdzie gość ostatni,  
 tancerzy senność pochwyci w ramiona,  
 spóźnione płaszcze odwieszą się z szatni,

stoły biesiadne uprzątną kucharki,  
 kiedy w alkowie zwiśnie ślubny welon,  
 w stos się ułożą weselne podarki,  
 łoża małżeńskie wywnętrzy się bielą.

Bukiety kwiatów odciętych z korzeni,  
 tracąc powoli żywotne swe soki,  
 będą się bledszym kolorem rumienić  
 i głowy schylą w przyziemne widoki.

Przez nocną ciszę przemknie pragnień tuzin  
 gdy się świt błady przebijie przez ciemność,  
 porę do pracy przypomni znów budzik;  
 do oblubieńców zapuka codzienność.

Dziewczęce oczy radością jaskrawe  
 na nowo świeżym płomykiem zapłoną.  
 Usta wyszepczą: mężu, zrób mi kawę,  
 aby usłyszeć: dobrze, moja żono.

## Przez chwilę

Rozpogodziło się między nami,  
twoje i moje znów jest nasze;  
łaskawa ręka nad głowami  
rozpięła daszek.

A my brodzimy w powodzi kwiatów,  
wdychamy smaki, aromaty,  
obok leszczyński kwitnie ratusz  
z cukrowej waty.

Zwinne motyle w kusych fartuszkach  
rozdają wokół to i owo;  
słomka o szklankę cicho pluska  
cieszymy się sobą.

Potem znów przy mnie nie ma ciebie,  
choć wiatry wieją, świeci słońce,  
wczorajsze chwile w duszy grają  
cichy koncert.

## Truskawki

Pamiętam chwile przy altanie,  
parkowe ciepło ławki;  
promyk łaskotał twoje ramię  
był sezon na truskawki.

Kropla słodczy zrózowionej  
zakwitła na sukience;  
ja wyciągałem w twoją stronę  
łakome wieczne ręce.

Fontanna długie włosy czesze  
słonecznych ust grzebieniem,  
wiatr po błękicie obłok niesie,  
przerzedza słońce cieniem.

Wracamy ścieżką ponad strugą;  
za parkiem dom z ogródkiem;  
dzień wspólny nie trwa nigdy długo,  
a noce takie krótkie.

# Elżbieta Grzegorzcyk

/eliza/



Poetycka nić babiego lata wzbogacona w słowa i emocje snuje się przez cały rok.

To ja wybieram te, które w danym momencie pasują do nastroju mojej duszy i składam w całość.

Bardzo lubię zwiedzać świat i czasem po takiej podróży muszę odczekać chwilę, aby ponownie składać strofy.

Nie jest łatwo zostawić wrażenia i myśli uciekające do wspañałych miejsc.

## odcienie

smakujesz życie  
jak kromkę chleba  
położoną na desce  
białym obrusie

z głodniałe gołębie  
wydziobują dziury w życiorysie

niewypowiedziane  
przystania opadająca mgła  
przenika wilgocią  
słońce coraz bardziej  
chowa się za narożnik

nie ogrzejesz się  
w jego promieniach

## **zachowana ciągłość**

*Mamie*

odchodzisz po cichu  
niebłaganie

a chwilę temu  
byłaś pełnią życia  
rozdawałaś siebie garściami

pozostała myśl  
snująca się po kątach  
bez budowania przyszłości

## **didżiridu**

zawsze w butach  
zasznurowanych do końca  
na batucie  
czystym prześcieradle

chaotycznie wyrwasz życie  
w półobrocie  
zerkasz

nie zobaczę  
bosych stóp

## **dwa poziomy**

słowa słowa  
wybrane z wielu  
uciekają jak wiatr

dłaczego zapewniasz  
o nieistniejącym

nie stawiaj stopy  
na pierwszym

beznamiętność  
czuje się najlepiej  
na parterze

### **postawa**

pochylasz głowę  
by przejść  
pod łukiem cierpienia  
wpisanego w pamięć

podnieś powieki  
spójrz zadziornie  
za horyzont

zastukaj obcasem  
w dzisiejszy dzień  
nie przypominaj  
pałaka

### **rozchwiane**

rozzańczone anioły  
w korowodzie namiętności  
ramionami tulą  
przycupnięte uczucia

otwierają przestrzeń  
wyścieloną piórami  
jak łożo  
piaskowych wydm

półcienie łapiąc rozwiane szaty  
zmieniają godziny  
demonom

**błądząc myślą**

wiesz jak delektować  
smak pierwszego rumieńca  
zatrzymujesz na ustach  
pomimo zmieniających się wiosen

jesteś jak drzewo  
pamiętające bujną zielen  
przebarwione bogactwem  
jesiennych odcieni

podajesz smugę wspomnień  
niczym szal  
otulasz kłamrą dłoni

**przyszłość**

codziennność przegarnia  
chwile  
segregując do worków  
wrażliwości

zebrane  
tworzą skupisko  
przeznaczone do utylizacji

w uporządkowanym sterylnym  
świecie  
nie ma miejsca  
na sentymeny i tęsknoty

dobrze że jesteś teraz  
i nie muszę  
dotykać ciebie  
przez rękawiczkę

### **noc**

spierzchłe usta mamrocą cicho  
przekleństwa lub modlitwę  
tylko oczy szeroko otwarte  
wyrażają bezsenność

pierwszy brzask  
pozwala wracać w zacisze  
o zmierzchu  
ponownie rozpocznie swój spacer

### **rozterka**

zawróć spojrzeniem  
pobiegnij aleją w głąb  
pomilcz  
czy pielęgnować zasadzone drzewo

o korzeniach mocno wrośniętych  
szumiących konarach  
melodie oczekiwanych dźwięków

może w duszy tylko gra  
a tam  
stoi suche wspomnienie  
tylko  
wiatr czasem zaskrzypi

### **przywiane ale skąd**

przypięta do losu  
stąpa pokornie  
do blasku zapalonej świecy

nie wstrzymała kroku  
gdy czarny kot  
i wiatr zagrał na złą nutę

zbiera wszystko co minione  
siatką na motyle

### **oczy patrzą w dal**

zaciśnięte usta  
nie wykrzyczą  
nocy uwierającej poduszką

w kieszeniach brakuje  
dla następnych kamyków  
naciągnięte sięgają kolan

odpoczynek  
zdarza się zbyt często

# Bolesław Grzyb

*/dobry czas/*

Swoją przygodę z pisaniem wierszy rozpocząłem w roku 2006. Do dnia dzisiejszego próbuję wylewać to, co gromadzi się we mnie.

Oczywiście, że pisanie to ma dość częste przerwy, a to za sprawą Pani Weny, która zmęczona mną odchodzi. Cieszę się jednak tym, że wraca, co prawda często muszę na nią długo czekać. Ale wiem jedno, warto czekać, by móc poczuć się lepiej wylewając siebie tutaj.

## pani jesień

można by jechać tak bez końca  
gapiąc się w szybę samochodu  
prosto przed siebie w stronę słońca  
z jesienią jako panną młodą

przyjemny szelest złotej sukni  
wyhaftowanej ręką mistrza  
podsycać zmysły jak łyk wódki  
dotykać chciałem motyw liścia

zanurzyć dłonie w gęste włosy  
w mech przeplatany piórem kruka  
gotowy byłem nawet prosić  
by nikt do okna dziś nie stukał

nie można całkiem zniknąć z oczu  
w koronie dębu myśli schować  
pozwalać zielonemu pnączu  
by na twych piersiach się budował

odejdiesz tak jak przyszedł nagle  
zabierzesz wszystkie liście z drzewa  
zostanie jeden w mojej głowie  
i o miłości będzie śpiewać

2010.09.19

## Zapatrzeni w siebie

Na krawędzi stromych dachów  
Stado kruków przykucnęło  
krzyku mnóstwo ochów achów  
na pokazy pactwo wzięło

tak jak w ludzkim to zwyczaju  
paradują niczym pawie  
choć tu ponoć się zleciały  
zjeść ciasteczko i po sprawie

jednak nie da się oszukać  
parcia żeby grać na scenie  
dzioby lekko uniesione  
frak błyszczący w głosie drżenie

i ta pewność że w kolorze  
nawet czerń wygląda cudnie  
trzepot skrzydeł niczym brawa  
maskę nosi każdy dumnie

stary gawron z naprzeciówka  
który widział nawet słońce  
nie mógł pojąć skąd wśród czerni  
frak w łupkowoszarym tonie

i czy szata ta odmienna  
nie jest mezaliansem aby  
choć jest wielu królewiczów  
tylko jeden powstał z żaby

2010.05.13

## lepsz strona lustra

stara rama z miedzi czasem naznaczona  
patyną dowodem minionego wieku  
bardzo delikatnie do siebie ściągała  
szkło jak diament czyste lekkie jak puch śniegu

a w nim dusza mistrza zaklęta na wieki  
w odbiciu kryształu ciężko oddychała  
wieczorami często słychać było jęki  
ściszone rozmowy – dwunasta mijala

przenoszono \*psyche w różne miejsca ziemi  
dłonie zachwycone owalnością ciała  
czasami w salonach innym razem w sieni  
głaskały tuliły aż w posadach drżała

niemal pękło lustro patrząc na człowieka  
trzymało za boki i trzęsło ze śmiechu  
pamiętało ciągle jak przez wszystkie lata  
całe pokolenia unikało grzechu

mąż głowa rodziny w mieście wszystkim znany  
w oczach innych anioł przychodzący z nieba  
przed wścibskim spojrzeniem w pokoju schowany  
leżąc na kanapie hymn ojczysty śpiewał

pawia naśladował – często stroszył pióra  
groźne miny rzucał by poczuć się pewniej  
inym razem płakał nad sobą rozczulał  
wylewał agresję tłukł mocno po gębie

i o pani można by powiedzieć wiele  
lecz źle nie wypada wspominać kobietę  
gdyż odbicie inne ma osiągać cele  
pocieszać zachęcać ukazać zaletę

a po drugiej stronie gdzie nikogo nie ma  
i gdzie nie zagląda nikt o zdrowych zmysłach  
wypisano motto jakby palcem nieba  
odrzuć ciężki kamień niech radość wytryska

*\* Psyche – wysokie przechylnie lustro w prostokątnej lub owalnej ruchomej ramie,  
dające możliwość oglądania całej postaci pod różnym kątem.*

2010.09.26

## listopadowo

w codzienności dnia każdego  
i w szarości listopada  
chęć podziwiać ciepłą zieleni  
tak masz rację nie wypada

nie wypada szperać w rzeczach  
które do mnie nie należą  
to tak jakbym strząsał liście  
i okradał tych co wierzą

lub też skradał się po dachach  
wraz z księżycem w noc gwiazdzistą  
chęć zaglądać w okna twoje  
by móc być myślami blisko

wiem co zrobię zamknę usta  
i pozwolę mówić ciszy  
niech jesienny powiew wiatru  
razem z deszczem miesza zmysły

*2010.09.30*

## motyle

po prostu spłoszyć je  
niech skrzydłami łechcą  
niech suche gałęzie  
przeszywają dreszcze  
niech razem z osiką  
z rozkoszy się trzęsą  
wyzwalając z piersi  
słowa jeszcze jeszcze

niech z zachwytu wiosna  
obserwując harce  
pozwoli motyloom  
przemieniać się nocą  
by inne stworzenia  
tak jak człowiek mogły  
doświadczać uniesień  
czuć jak dłonie pocą

niech godowe loty  
śpiewy czy puszenia  
zachęczone ciepłym  
odcieniem zieleni  
zapomną o zimie  
beznadziei jutra  
pozwolą motyloom  
w środku wszystko zmienić

*2010.04.03*

## **ogień**

języki mlaskały śliniąc belki stropu  
w żarłocznym zapędzie strzelały wysoko  
mrużąc wokół z uśmiechem szyderczym  
puszczały wraz z dymem wszystko ku obłokom

w tanecznym żywiole iskry rozsiałałe  
niesione na skrzydłach ciepłego powiewu  
szukały dla siebie bezpiecznej przystani  
by móc tam dojrzewać – zapalać do gniewu

a potem sytością osiągniętych celów  
rumieńcem płomiennie oblewały czoła  
zapinając wszystko na ostatni guzik  
mówiły o ziemi że jest całkiem goła

*2006.04.10.*

**tajemnica**

mówiono ścianom że mają uszy  
szepetem głaskane chyliły głowę  
skrywały zmarszczki pod tapetami  
drepcząc w milczeniu z nogi na nogę

w graniaste koło się zabawiały  
zamurowane w zbyt ciasnych rogach  
aż w końcu pękły wszystko upadło  
z gruzów na ziemię spłynęła woda

zatrzymać chciały swe tajemnice  
łapiąc w pośpiechu mydlane słowa  
intymne chwile drastyczne sceny  
słodczy sekretów chciały kosztować

zamilknąć można na wieki całe  
tłustym skandalem smarować skronie  
siedząc wygodnie w konfesjonale  
patrzeć jak język ze wstydu płonie

*2007.11.15*

**Bez granic**

Zakręcone schody jak brzegi złotówki  
Opuszkami palców ściskanej z niemocy  
Przenikliwe oczy patrzące z nadzieją  
Na orła by z gniazda na wolność wyskoczył

Z wysokiego szczytu coraz bliżej ziemi  
Jak kamień którego zatrzymać się nie da  
Rozkładając skrzydła pozwolić się unieść  
Poszybować z wiatrem Viktorię zaśpiewać

Nie trząść się gdy wszyscy ze strachu truchleją  
Pozwolić by fala zakryła oblicze  
Opadając na dno w zimnych nurtach wody  
Otrząsnąć z letargu przekroczyć granicę

*2007.08.11.*

/jarek669/

Domowy rymoholik, urodzony w Bielsku Białej. Obecnie oddany całkowicie zielonemu Podlasiu. Ostatnio zafascynowany błękitnymi paciorkami i ich właścicielce poświęcam mój skromny udział w tej Antologii.

### **Bezsenna**

Jeszcze niedawno chciałem spać  
zatrzasnąć siebie pod rzęsami  
przed rankiem nogi brać za pas  
by w nocy coś po cichu zabić

Kiedyś przy oknach rzeźił strach  
co się zaplatał w brązów werdykt  
i chyba było mu nie w smak  
bo trudno bać się będąc sennym

Aż zbudził mnie niebieski błysk  
gdzieś spod powieki bóstwu uciekł  
zmienił błękitny w szósty zmysł  
nieznany ludziom i nauce

Teraz codziennie z nocną mgłą  
gdy *nie wiem zmienia się w na pewno*  
a innych lęki twardo śpią  
ja Kocham Ciebie i bezsenna

## Świeczka

Każdego dnia szukam ciemności  
którą pokonam blaskiem świeczki  
a ty na ścianach cieniem rośnij  
zrzucając zbędny ciału ręcznik

Pokaż się znowu niczym Bogu  
pozbaw ponownie owoc drzewa  
żądaj zapewnień i dowodów  
że jesteś moją gwiazdą z nieba

Uśpij na wargach zbędne słowa  
niech się kołyszają pośród ciszy  
bądź źródłem łaski tak jak Koran  
i złe fantazje spuść ze smyczy

A kiedy zgaśnie tuż nad ranem  
dymiąc kolorem cennych platyn  
wychodząc cicho przekręć zamek  
nie budząc małych tęsknot za tym

## Sezam

Zasłonię ciepłą ręką twarz  
maskując łzy na miłych dłoniach  
a ty się nimi baw i płacz  
bo dla mnie to skażona woda

Ukryję w burzy loków dzień  
który tak rdzawo żre sumienie  
a ty go zamień w pusty śmiech  
i zatrzyj po nim ślad grzebieniem

Zatrzasnę w błękit widok ciał  
miejsca o jakich nie mówiłem  
a ty je pod powieką spal  
żarem co z twoich oczu bije

Przechowaj każdy czuły szept  
gdy nagle stajesz się sezamem  
i zamień słabość w czysty blef  
chroniąc w ten sposób Ali-Babę

## **Ofiara**

Kiedy dotykiem składam na skórze  
ofiary z uczuć dla młodych piersi  
i pośród ciepłych wilgotnych służek  
chcę grzeszne ciało ciału poświęcić

Zanim językiem spłynę po szyi  
gdzie rytualnym oddam się modłom  
pragnę popłynąć z morzem satyny  
w głębiny nieba które tak ciągną

Nad ranem senny splamię ołtarze  
aby w kapłanki zamknąć ramionach  
tę którą w nocy złożono razem  
wiedząc że dobrze była spełniona

## **Obietnica**

Jeszcze zdążymy się zestarzeć  
bo z przodu całe życie mruga  
na ciepłych wargach serc testament  
spiszemy tonąc w pościel-biurach

Zanim ukradną świeżą młodość  
by pod trzepakiem nazwać zgredem  
chcę zachłystywać się wciąż tobą  
gdy zdrowe duchy w zdrowym ciele

I obiecuję chociaż złoży  
przyszłość na twarzy zmarszczki piętrząc  
kiedy spojrzałem w takie oczy  
będziesz już zawsze najpiękniejszą

## Kay

Gdy pod powieką zbite szkła  
serce zmieniały w sopol lodu  
ciepło zjawiała się jak łza  
po cichu zabrać mnie do domu

Pęknięte lustro zrosił wstyd  
choć Zła Pani mrozem grozi  
zrosły się szkiełka niczym sznyt  
by całość w jeden napis złożyć

To dziwne kiedy zgodnie śpią  
grudki stopione smutnym retro  
wciśnięte gdzieś w odległy kąt  
zrobiły miejsce czułym szeptom

I zrozumiałem nagle pieśń  
co różą przekwitała w wersie  
będziemy zawsze już się pleść  
dwoje dorosłych z dziecka sercem

## Fakir

Kto by przypuszczał że z kimś takim  
będę chciał przeżyć każdą chwilę  
żebrać o uśmiech niczym fakir  
jak papkin walczyć z krokodylem

Gdzie tam błękity były w głowie  
gdy się nosiła dumnie młodość  
zburzyłaś wszystko jednym słowem  
aby budować mnie na nowo

Co miało wisieć poszło na dno  
a wszystko wcześniej to Titanic  
i zanim nasze gwiazdy spadną  
chcę ciebie spełniać życzeniami

## **Autokracja**

Znowu niebiesko mnie splamiłaś  
błyskiem co z wielkich oczu bije  
i żadna chemia się nie ima  
plam co na sercu kwitną mile

A z nimi rośnie uwielbienie  
dla czystej dumnej autokracji  
gdy kradniesz życiodajny selen  
z księżycem naszym paparazzim

Posiadasz jedna pełnię władzy  
bo opozycji przecież nie ma  
stałaś się moją Strefą Gazy  
gdzie chcę zestarzeć się jak drzewa

## **Feniks**

Znowu powietrze pachnące ciszą  
obudzi szeptem słowa pod ścianą  
a zwykłe łóżko stanie kaplicą  
w której złożono kapłanki ciało

Niebieskie lustra odbiją ogień  
świeczki co nagą dymem okryje  
i wargę wargę spotka ponownie  
noc wypełniając nam carpe diem

Śliskie policzki żądzą zapłoną  
by tak jak kiedyś zatrzaskać bramę  
a zakazany rumiany owoc  
ogryzkiem skończy w koszu nad ranem

Chociaż wyrzucą z bożego domu  
i spłoną grzechem nasze dwa światy  
jak feniks wstanę z resztek popiołów  
aby pamiętać i tęsknić za tym

## Wyprawa ratunkowa

Przez zasy przywar żalem zawiane  
wśród mglistych marzeń jak niewidomy  
osamotniona w ręku z czekaniem  
Gwiazdę Polarną pozór zastąpił

Z busołą sercem zaparowaną  
na przekór wszystkim niedobrym końcom  
smagana słowem które bolało  
niosąc w termosach dobroć gorącą

Przodem puściłaś łzy bernardyny  
które policzki zmarszczką wyżłobią  
cicho zapomnisz błędy i winy  
ratując znów mnie przed samym sobą

## Bohun

Rozdarłem się jak nędzna sosna  
lustrzany Judym zerka smutno  
więc może wracaj może zostań  
i przywieź stamtąd lepsze jutro

Co zrobić kiedy żądze płoną  
rozkosznie paląc w sennej męce  
a wszystkie grzechy pachną tobą  
i diabli piszą za mnie wiersze

Ile kosztuje święty spokój  
gdy każdy wybór to zły dramat  
śmiesznie wygląda dawny bohun  
nagle zmieniony w don juana

## Robert Kadej



Ur. 2 sierpnia 1972 r. w Giżycku.  
Skromny 30-latek o nieposkromionej poetyckiej duszy.

Dla mnie wiersze to przede wszystkim emocje. Emocje, których się nie wstydę i o których chcę opowiadać tym wszystkim, którzy zechcą mnie wysłuchać.

## Olga

Twoje włosy były koloru grudniowej nocy  
a cera jak świeże mleko.  
Miałas usta tak naładowane czerwienią,  
iż miało się wrażenie,  
że przy byle dotknięciu puszcza sok.

Gdziekolwiek byś nie była,  
rozsiewałaś na zewnątrz własne piękno.

I kiedy mówisz,  
że nie znosisz rosyjskich romansów,  
jaki dajesz mi wybór?  
Co mam myśleć?

Mam nadal wbijać wzrok w twoje kruczoczarne włosy?  
Całować mlecznobiałą szyję?  
Widzieć jak z dąsem na karminowych ustach,  
odrzucaś propozycję rozkoszy?

Gdziekolwiek teraz będziesz,  
usłyszysz jak śpiewam  
na rosyjską, romantyczną nutę.

## Pani Róża 2

Stara, samotna kwiaciarka  
ogląda już tylko pusty album  
pełen pożółkłych fotografii.

Tutaj, tajemniczemu, deszczowemu mężczyźnie,  
sprzedała świeżo zerwany pierwszy, wiosenny zapach.

Pośród rzucających cień wielu płatków róż,  
patrzy jak wręcza go słonecznej kobiecie,  
kochance bez kolców, za to w białej sukience  
i pantofelkach na wysokim obcasie.

W innym miejscu, mała dziewczynka,  
która poplamiła ją lodami.  
Za chwilę, dostanie od niej polny bukietek,  
przewiązany dziecięcą kokardką z rudych warkoczyczków  
i słowa, że już od dzisiaj będzie uważać.

Nikt już nie powie, że kwiaty po prostu więdną.

## Mamo Janek jest marynarzem

Dobija mnie to poranne południe.  
Zew kaca zasznurowanego  
na tysiące marynarskich węzłów.

Dobijasz tą swoją lądową kipiela,  
i kiedy tak patrzysz  
jak na krakena co siedzi w mojej głowie  
i nie chce odpłynąć.

Czasem w twoich oczach,  
dostrzegam lazur południowych mórz,  
pozwalam ci wtedy być obok  
na bocianim gnieździe.

## **Polskie kino**

– Proszę spojrzeć za okno i powiedzieć,  
jak jest ubrany mężczyzna, który zaprosił  
pana na egzamin?

Pierwszy raz, zobaczyłem cię,  
jak siedziałaś przy kawiarnianym stoliku.  
Przed tobą leżał pokarm dla duszy,  
w ręku wzniesiony upominek dla ciała.

Nie myślałem o tym, aby przestąpić próg,  
wystarczyło, że patrzyłem z daleka.

Jakiś czas później, podszedłem do ciebie na korytarzu.  
Na wszystkie moje słowa,  
odpowiadałaś skinieniem głowy i uśmiechem,  
aż w końcu, każde z nas wypowiedziało swoje imię.

Po drodze, spotykaliśmy się w tancbudach, jadłodajniach  
i drogich restauracjach, gdzie każdy zapłacony rachunek  
był jak spojrzenie przed rozstaniem.

Pierwszy raz, zobaczyłem cię,  
jak siedziałaś przy kawiarnianym stoliku.  
Nie pamiętam jak byłaś wtedy ubrana.

– Dziękuję, czas minął, nie mam więcej pytań.

## **W tawernie**

Wszyscy zajęli już swoje miejsca  
na dębowych ławach.

Przy grzańcu, przy tym ciepłym korytku,  
poczułem po raz pierwszy  
jak pięknie pachniałaś jaśminem.

To był nasz wieczór, wieczór z dolewką,  
bez powtarzania zbędnych słów.

Tylko to jedno – Pragnę.

## **Jantar**

„...Jantar stosowany jest też w magii miłosnej,  
ale trzeba go znaleźć osobiście,  
najlepiej w piątek o wschodzie słońca”.

Szliśmy obok siebie bez trzymania się za ręce,  
a przechodnie usuwali nam spod stóp drogę do celu.  
Gdyby nie istnieli, przynajmniej bylibyśmy na siebie skazani,  
tymczasem, to samo miejsce z którego było widać kolejne,  
i tak w kółko.  
Pod koniec, zapytałaś czy lubię bursztyny.

„Bursztyn jest symbolem optymizmu (leczy z pesymizmu)  
i wiecznie odradzającej się nowej fali życia”.

## **Tajemniczy budowniczo wie katedr**

To była niezła zaprawa.  
Zamiast roboczego fartucha,  
miałem sweter z szetlandzkiej wełny

Przygotowałem plan a następnie  
poszedłem do pracy aby wznieść  
w tobie kościół.

Pod sklepieniem dotyku.

## Wszystko o Ewie

Był taki program, w którym wielu,  
potykając się o drwiny jury,  
starło się zyskać życie na scenie.

Pamiętam młodą dziewczynę w chustce na głowie,  
której pewnie wolałaby nie mieć, zwłaszcza wtedy.  
Przedstawia się, następnie informuje Jury,  
że postara się zaśpiewać „Over the Rainbow” Evy Cassidy.

Taka, zwyczajna dziewczyna.

Ordinary girl rozpoczyna swój występ.  
Z jej ust płyną leniwe, rozmarzone słowa  
o tym, że warto szukać drogi prowadzącej  
na drugą stronę tęczy,  
by w końcu,  
wznieść się w oszałamiającym crescendo,  
które brzmi jak pożegnanie.

Po drugiej stronie, zostają tylko łzy  
i świadomość, że przecież to była  
taka zwyczajna dziewczyna.

## W starym kinie

w starym kinie nikt już niczego nie wyświetla  
a zdarte fotele jak czarne dziury  
kryją w swoich poliestrowych bramach  
światła dawnych seansów

– Nie bój się

nawet jeżeli wszystko zgaśnie  
tak samo będę cię trzymał za rękę

## **Siklawia, siklawica, wodogrzmoty Mickiewicza**

Już po herbacie.  
Zrobiłaś sobie nawet dolewkę z fusów.  
Nie chodziło przecież o smak.  
Jeszcze trochę a poczęstowałbym się łyżeczką.

Zanim na zawsze opuściłem  
herbaciane pola twoich oczu,  
zobaczyłem ginące wodospady.

## **Piersi i róże**

Muskam palcami  
uniesienia.

pod kopułą ciał,  
wirują słowa.  
Rzeźbią na nas  
przecinki gdy pragnę,  
i kropki gdy kocham.

w nowej linii,  
wersy  
jęków i westchnień.

Partykuła pocałunków,  
zgromadzona  
jak wewnętrzny alfabet

# Jan Kiczor

## Samotność

Przestrzeń się określiła niewidzialną ścianą.  
W rogu pająk leniwie wyplata nadzieję.  
Znany dźwięk, co już ucichł, załopotał bramą.  
Ktoś tam płacze, pogada, to znów się zaśmieje.

Wszystko pełne omamów, złudzeń i przesłyszeń.  
Niecierpliwy tłum goni, szukając namiastek.  
Ciągłe chmurne nokturny stukają klawisze  
I ciała nie rozgrzewa naklejony plaster.

Słuch uchwycił krok szybki, dudniący po schodach.  
Zastygł pająk w milczeniu, dzwonek pierś wystawił.  
Gdzieś się w kącie ocknęła tęsknota niemłoda,  
Hałas zanikł, znów cisza ze słuchem się bawi.

Stół nakryty obrusem, z haftem wyczekiwań,  
Dopieszczany dotykiem pomarszczonej dłoni.  
Wgryza się w przepaść czasu wskazówka leniwa,  
Świeca z wolna dogasa. Późno. Nikt nie dzwonił.

## Retrospekcja

Nie ma z przeszłości ni żalu, ni gniewu.  
Ścieżki zasmuceń tkwią już w mchu objęciach.  
Leśne polany pełne świeżych krzewów.

Zbladło, zszarzało, jakieś stare zdjęcie,  
Wykopem biegnie nowych myśli przewód.  
Na złe wspomnienia już czai się wścierz.

Wszystko zostaje w naturalnym biegu.  
Ujęta w księgi wciąż nieprzeczytane,  
Pamięć tkwi w bieli stopionych już śniegów.

Sam z sobą znowu, bezradny zostanę.  
Grzech się powtórzy według innych reguł,  
Choć czarną chmurą wyśni się nad ranem.

Siedzę na zimnej skorupie granitu –  
Coś, co odległe, jakbym widział z bliska,  
Pełne rozpadlin, szczelin i prześwitów.

Po zapomnianych wędrując schroniskach,  
Czuję się częścią nieznanego mitu.  
Pamiętam kota. Czarny. Wciąż się iskał.

## Zdarzy się

Gdy już powrócę z lat kalekich,  
Pod cynobrowym siądę liściem  
I całość we mnie się pokrzepi  
Na czas płynący wiekuiście.

A kiedy spłynę nocnym deszczem,  
Spokojnie wszystkie krople zbiorę.  
Zachowam w sobie wilgoć jeszcze,  
Która w czas suszy będzie strojem.

Jeśli zaś wiatr mnie porozwiewa,  
Oczyści z pyłu dawnych czasów.  
Ułożę się w przydrożnych drzewach  
Na liściach miękkich, jak z atlasu.

Więc jak się wszystko tak wydarzy,  
Przezną żądy marne karły.  
Ominę podszept duchów wrażych,  
Szepcząc modlitwę za umarłych.

### **Senne widma**

Nie potrzeba zbyt wiele, by ruszyć na żer,  
Zadyszonym szeregiem nocnych kościotrupów.  
Ktoś trzyma jeszcze wiosła, lecz złamał się ster,  
Rwą się szaty na strzępy przy podziale łupu.

Lepiej zamknąć się w sobie, bo straszna to rzecz,  
Gdy zmysły przytępione nie słuchają pieśni.  
W oczodołach rozbłysnął wykopany miecz,  
Jakaś przyszłość się rodzi, o której nikt nie śnił.

Przewrócone ulice, potępiony gmach,  
Nie wiozą dostojeństwa puste karawany.  
Jednym radość bezzębna, innym tylko strach.  
Roztańczyły się mary na placu pijanym.

Brak jest słowa, gdy usta wydają zgrzyt.  
Rozzuchwała demony zmęczenie rozumu.  
Nikt nie wie, kiedy znowu może nadejść świt,  
I czy go zauważy szalona czerń tłumów.

## Ulica Wysoka.

Na ulicy Wysokiej  
Nic już nie jest, jak było.  
Czerń spogląda zza okien,  
W murze obok jest wyłom,  
Przedzewiałe latarnie  
Jak kikuty na wietrze,  
Pomarszczone fasady,  
Postarzała się przestrzeń.

Pokrzywione trzepaki,  
Z bruku chwast jakiś rośnie.  
Wszystko takie nijakie,  
Milczy coraz donośniej.  
Skarga w domach się tarza,  
W połamanych tkwiąc krzesłach.  
Z wyprowadzką, w bagażach,  
Dawna świetność odeszła.

Parki z całym oprzędem  
Nić zerwały Wysokiej,  
Ktoś zostawił uwiędłe  
Pelargonie wśród okien.  
Zrujnowane wspomnienie,  
Niepotrzebny wstecz pościg.  
Wszystko jest tylko cieniem  
Wyobraźni, młodości.

## Wszystko

Wszystko ktoś już napisał, wszystko ubrał w słowa,  
Wydarł ze mnie, co męczy, w noc bezczelnie głuchą.  
To, co moje, ktoś wcześniej w swoim wierszu schował.  
Zwrotkami czarna północ pokłony śle duchom.

Wszystko kalką wydarzeń, które już za nami.  
Już kochał ktoś tak samo, zlorzeczył, przeklinał,  
W czarowność świat owinął, omamił słowami  
Lub frazą fascynując, wers krótko przycinał.

A przecież wciąż to samo, co z myśli przejęte,  
Rozluźnione gorsety w zbiorach nowych znaczeń,  
Wiwisekcja wnętrzości spod skorupy śniętej,  
Istnienia wciąż te same, nazwane inaczej.

Gdy niemodne, co z pięknem wiązało moc ducha,  
Może lepiej zamilknąć i innych posłuchać?

## **Erotyk**

To nic zdrożnego przecież nie jest,  
Gdy cię obudzi w nocy dotyk.  
Jakieś muśnięcie, jakiś szelest  
Umie zachęcić do pieszczoty.

Nic nie ma złego w przytuleniu,  
Niby niechący, w czas przedświtu,  
Gdy jeszcze w nocnym tkwisz zamgleniu,  
Wciąż jakby pełna niedosytów.

Przez cały półmrok wyobraźni,  
Gdy sen się wcale nie chce spłoszyć,  
W odwzajemnieniach tkwisz przyjaźnie,  
Pośrodku ciszy i rozkoszy.

Trwa senna szarość w swoich cieniach  
I świt się jakby onieśmielił,  
Jakby szał jakieś zapewnienia,  
Że nas ominie w tej pościeli.

## Nasz bieg

Czasem jesteśmy tylko chwilą nudy,  
 Fantasmagorią własnych wyobrażeń,  
 Odbitym światłem z krainy ułudy,  
 Kłującym ziarnem ukrywanych marzeń.

Wiatr nas przewiewa na wylot, boleśnie,  
 Świat wciąż gdzieś gubi i nie chce odnaleźć.  
 To, co się zdarza, zdarzyło się wcześniej,  
 Chociaż stoimy, coś pędzi w nas dalej.

Żywi, bezwolni, szeregowie kukły,  
 O niewidzących i chłodnych spojrzaniach,  
 W których czas dziwną obcość uwypuklił,  
 I zapomnienie własnego imienia.

Jakaś się szarość w umyśle zaplotła,  
 Ducha zostając ponurym nadzieniem.  
 Wszystko zmieszane wrze w diabelskich kotłach,  
 Sypią przyprawy – nasze własne cienie.

## Mane, tekel, fares

Nie pukaj do mnie zmierzchem, świtem.  
 Pukanie zawsze budzi lęk.  
 Zbieram uczynki źle uszyte,  
 Zza ściany martwy biegnie dźwięk.

Nie ma pająka ani chrząszcza,  
 Szczerniał firanki marnej splot.  
 Myśl pogubiła się gdzieś w gąszczach,  
 Za oknem stary, krzywy płot.

Nie pukaj proszę, żadnych pytań.  
 Własnych półcieni trzymam kosz.  
 Łapami chciwie wagę chwytam,  
 Lecz kto dorzuci wdowi grosz?

A przecież złowił ciemną duszę,  
 Ten, co się w ranny wgryza świt.  
 Zostało ciało bez poruszeń.  
 Nie pukaj, proszę, do tych drzwi.

## Beata Patrycja Klary

(Indianeczka)



Wydała książki: „Szczekanie głodnych psów” (2010), „Imaginacje” (2007), „Witraże” (2005) oraz arkusze poetyckie: „Schną koniczyny”, „Nokturny intymne”. Publikuje w prasie ogólnopolskiej i antologiach. Laureatka konkursów literackich. Stypendystka Prezydenta Miasta Gorzowa w dziedzinie literatury.

Internet – <http://beataklary.w.interia.pl/>

### drzwi, które nigdzie nie prowadzą

Rzygamy na tym samym przystanku. Przyglądają się tobie bardziej, bo wyglądasz świeżo. I ja się gapię, więc w końcu zabierasz mnie do domu. To nic, że moja piroga wywróciła się w nagłym podrywie fali i w jednej chwili straciłem forszę i całą resztę. Najważniejsze, że o wschodzie słońca róże pachną najmocniej, nie te pojedyncze, ale z siedmuset tysięcy krzewów na jugosłowiańskiej wsi. *Piękne to jest, że zwariować można.*

Więc wariujemy ze szklankami w rękach, bo tutaj tylko tak pije się samogon. Potem śpiewam *padmaskowyje wiecziera* i zaczynasz płakać. Ta woda twoich oczu potrzebna jest na przebłaganie gniewu bogów. Inaczej nigdy nie wrócimy do domu.

*z cyklu wierszy o umieraniu*

**Tren V**

Dzwoni telefon: ojciec nie żyje. Pilno mu było usłyszeć historię Szangri-La. Miasta pajaków zatrzymujących czas na swoich delikatnych kroczeniach. Tak bładych jak jego stopy, na których wybrał się w drogę. Wszystko tam jest zamknięte: *zawsząđ góry, glazy, z nisko na nich wiszącym niebem*. Wolność jak proces wietrzenia skał, a może raczej gliny, bo teren pod miastem nieurodzajny. Jest nisko na dwa i pół metra. Bez codziennej gazety, choć na upartego można przynosić wieści. Ktoś przecież zostawił pozytywkę. W końcu bateria się wyczerpie i będzie cisza.

Muszę tylko pamiętać: nie wolno wryrywać chwastów. To idzie z korzeniami.

## Tren VI

*Jest znane. I jest nieznanne. A to co je dzieli, to Drzwi i nimi  
właśnie chce być.*  
*[Jim Morrison]*

Toaletna pośmiertna to najczęściej wypychanie ust watą. Również przebranie bielizny i podmalowanie. Wyceniają to na trzysta dziesięć złotych.

Z tamtego dnia najczęściej widzę ciebie w świetle witrażowych szyb, dzięki którym włosy nabrały głębi fioleto. A jeszcze niedawno mówiłeś, że przed tobą podróże, wyjazd do przyjaciół. Posagowym gestem kreśliłeś możliwości odkrycia skarbu. *Wszystko zniknęło jak lzy w deszczu. Nastal czas umierania.* Teraz muszę sprzedać wykrywacz metali. Poeci, którzy są po to, by się przyglądać, nie zdobywają samorodków. Piszą do siebie Kawafisem, albo budują światy, w których złoto nie ma znaczenia. *Nie ubieraj mu sygnetu, bo w tamtym świecie będą go za to ścigali.* Taki zabobon, ale matka musi w coś wierzyć.

Wi końcu są trąbki. Jest organista. Wyjątkowo ładnie. Nie tak jak w innych polskich miastach. Piętnaście minut i po sprawie. Zupełnie nie tak jak w innych zagranicznych miastach, choćby w *Eden Memorial Parkw Los Angeles*, gdzie nieboszczykom przeskadzają kosiarki. Zimno jest czasem tak mocne, że nie sposób go opisać. Welinowy puder maskuje, ale paznokcie zdradzają wszystko. Drzwi są już zamknięte.

## Tren VII

Z człowiekiem jest widzisz tak: nim stanie się nikomu niepotrzebny błyszczący w czerni spopielalej na zewnątrz. Nie wie dlaczego, co i jak się dzieje. Jedynie pewność, że i tak nie mógłby niczego zmienić. Pokazuje obrażenia w wyniku przyrzędu do ćwiczeń. Stwarza ciało, a wtedy po stronie nocy uwalniają się słowa. Miraże pustyni stanowią margines.

Z człowiekiem jest widzisz tak: kiedy obrzęki i węzły naczyń nie pchają już tlenu, wychodzi poza szereg zdarzeń. Następuje redukcja do sadzy, z której na nowo może zawiąże się białko. Pęknięte otorbienia wyjawiają wszystko nowe i nic w gruncie rzeczy nowego. Idzie tam, gdzie ma się jeszcze coś wydarzyć, nim wreszcie padną słowa: *sajonara ojczy, sajonara*.

## Tren VIII

*[Zmarli]* Kiedy są *prochem*, nabierają więcej znaczenia. Nie da się ukryć, że lenistwo w czynieniu rzeczy głupich może być wielką cnotą. W każdym razie nie byłes bardzo wymagający na tym punkcie. Lubilesz typowy pejzaz egzotycznego pogranicza. Urodzony w Białorusi, ale to było zawsze oczywiste, że jesteś z Polesia. Pisany na rękę wężem owiniętym wokół sztyletu, co znaczy: *zemsza dokonana*. Mówilesz, że barwnik to nic innego jak tusz zmieszany z szamponem w celu zagęszczenia. Obmycie czymkolwiek z alkoholem i można opisywać ciało, znaczyć poglądy. Robilesz to sobie sam w czasach buntu. A ja uczyć się teraz z tego czytać. Na brzegu popielnicy czeka niedopalek. To był przecież twój ostatni papieros.

z cyklu SAMPLE • RIFFY • DEMA

## **dzieli nas przestrzeń pięćdziesięciu milionów kilometrów**

Pobyt Nikołajewa i Siewiastionowa w przestrzeni przedłużył się. Odemknął się właz, a oni unieruchomieni w swoich fotelach nie byli w stanie go zamknąć. W kosmosie umiera się tak samo, choć nie ma tam róż i jasnych błonkówek. Mniej zostaje w biurze rzeczy znalezionych.

Trudno wyrobić w sobie nawyk snu: *kłaść się do łóżka o jednej porze, unikać kawy, a nawet mocnej herbaty. Nie myśleć. Na bezsenność gwiazd pomagają tylko samotne rejsy.*

## **maska**

Co byś chciała robić jak dorosniesz?

Malować trupy. Wystarczy skończyć kurs kosmetyki pośmiertnej. Ponoć jeden człowiek tego uczy. Najpierw jest wypychanie otworów. Potem ubieranie. Makijaż zajmuje najmniej czasu. Uwaga: kosmetyki są zupełnie inne.

A ty, co chciałabyś robić?

Identyfikować trupy. Cztery i pół tysiąca zwłok na zbiorowej sekcji po tsunami w Tajlandii. Namiot pełen dzieci. Ja niestosownie dorosła. A ty?

Utrwalać trupy. *Nazywam się Joanna Bocian. Wykonałam maskę pośmiertną księdza Twardowskiego. Aż mi się ręce trzęsły.*

## **kultura. higiena gwarantowana**

*Para poszukuje głównie pań puszystych w dowolnym wieku. Mile widziane własne lokum. Swing z pięknymi ludźmi. 100 % satysfakcji.*

Najważniejsze to zachować dystans, gdy inny fecet jest z moją ślubną, a jej się bardzo podoba. Może nawet krzyczy głośniejsz niż ze mną. Odwagi mi nie brakuje. Zwierzęta – nie. Zbyt delikatne futerka i wcale nie chodzi o obrzydzenie. Tylko nie wiem jak się do tego zabrać. Czy to karalne? Bo ja wszystko zgodnie z prawem. Pełen porządek.

Po co mi inna, skoro miewam różne. Różne sposoby, najróżniejsze pozycje. Różnorodność i bez różnicy. Zapisuję wszystko w komputerze, na wypadek, gdyby odeszła. *Pustka po niej byłaby nie do zniesienia.*

## **pokoik na Hożej**

Czwarte piętro. Sień ciemna, ubikacja na schodach. Zamknięte w sobie cztery łóżka, w których wszyscy są. Leżą pod kołdrami. Dłubią w nosach, bo ciemno, więc wolno jest więcej. Przy oknie ktoś szepcze: a kiedy już ze mnie zejdziesz lub gdy cię odepchnę, chcę byś nadal słuchał jak oddycha skóra. To nic, że nie mamy już pieniędzy na czynsz. To nic, że w pustych katedrach nie myśli się o dzieciach z Bangladeszu, które jedzą liście. A liście nie dają życia. To nic.

Są takie miasta, gdzie człowiek jest jakby wrośnięty.

## **plamę we śnie zobaczyć. szczęście murowane**

*Taki jest kolor mojego snu. Podpisał Juan Miró ogromne płótno, na którym widniała duża granatowa plama o kolistym kształcie. Jak wskazują obserwacje, przed śmiercią chory zawsze odzyskuje na chwilę przytomność. Niekiedy jednak trwa to tak krótko, że z niczym nie zdąży. Nawet ze snem.*

# Lidia Kowalczyk

*amandalea*



Jestem rodowitą wrocławianką, kochającą zwierzaki, kwiaty, szukającą wśród obłoków bajkowych stworzeń. Splatam słowa by pokazać, że nie tylko brzydota jest wokół nas i mam nadzieję, że znajdą się czytelnicy, którzy właśnie tego szukają w poezji.

## **to nie ostatni raz**

jak na zamówienie  
besame mucho i Andrea Bocielli  
bez tłumaczenia  
że dziś że wczoraj że jutro  
toniemy bezpowrotnie  
szarobłękitnie  
bursztynowo

trzymasz mocno  
odrywając od ziemi  
aż rozkołysani w szumie  
z podniebnym kluczem  
odnajdziemy ciepłe kraje

**wczoraj**

w słonecznej plamie zwinne cętki  
upolowane obiektywem  
patrzą zdziwione

gdy po wykutych w skale stopniach  
wspinam się ku śpiącym  
w szumie drzew

płynie historia zapomniana  
dawnej świetności ślad  
odkrywa czucie

alpejski fiołek drży figlarnie  
kiedy próbujesz schwycić  
kaskady barw

siedem dni  
jak siedem kocich istnień  
szansą

**z Małego Księcia**

oswoiłeś głaskanym słowem  
dłonią na kolanie mantrą  
choć wiatr tańczył niepogodę

ukołysałeś łagodnością dotyku  
co wypłoszył zamierzchłe  
czyniąc dla słońca wyłom  
pośród skłębionych

otworzyłeś zamkniętą  
by omdlewał zapach róż  
i krzyk ginął w krzyku mew

jestem czekaniem na czas  
harmonią zaplecionych dni  
w jesiennej alei  
jednogłośnie brzmiących kroków

## bez nacisków

porwałś  
z obietnicą o której pamiętał wiatr  
pędzący po świecie

uniósłś  
gdzie gondolierzy i słońce  
śpiewają serenady dla Julietty  
a Doża lekką dłonią  
maluje złote sufity

wykąpałś  
w zachwycie oczu  
pośród tysięcy kwiatów

uchwyciłś  
motyle uśmiechu pośród chmur  
zamykając w jasyrze ramion  
bez lęku mimo burz  
jesteś

## tenorzy

łagodne dźwięki pieśczołą  
wymazują z pamięci niechciane  
melodią ciepłego południa  
mówią że nie warto  
zbyt mało kartek w kalendarzu  
by gubić uśmiech

zamykam drzwi  
niech każdy w ciszy szuka sam  
spokój jest w nas nie za progiem  
a walki w błocie na ekranie  
nie brudzą

duet Bocielli z Pavarottim  
wędrowniaki rajskimi ogrodami  
gdzie zielone altany dają chłód  
a fontanna lśni siedmiobarwnie

najważniejsze  
umiejętnie odciąć pępowinę  
niezależnie  
z której strony

**poza mrokiem**

za oknem znowu grzmi  
i pływają ulice  
Bocielli łagodnością tembru  
rozśpiewuje godziny  
śpisz  
nikły płomień tuli się z cieniem  
pośród błędzących  
myśli wczoraj dziś jutro  
jesteś  
nie muszę potwierdzać szeptem  
idzie rak nieborak jak uszczypnie  
śpisz  
a dłoń otula krągłą  
ciepłem wnętrza  
przenika spokój po rdzeń  
jesteśmy  
zanurzeni w banalności nocy  
rozwieżdżanej śmiechem  
splątanych oddechów  
pomiędzy lotkami  
z prądem

**wrastanie**

*mówisz nie martw się gdy obok długonogie  
odslaniają nie tylko kolana jesteś pewnością  
tęczy kwitnącej po burzy kiedy zamiera krzyk  
deszczu w kałużach i soczystością barw  
zalewających ogrody pola*

podnoszę oczy a klucz białych żurawi  
otwiera błękit jaśniejąc w słońcu  
a chociaż za horyzontem wciąż wrze  
pozwalam być prostował marsa  
przywołując kurze łapki

i chociaż w kalejdoskopie coraz więcej  
wciąż przepatruję dale wsluchana w szepty klepek  
pytania nie zadane gdzie kroki

gdzie dłonie upinające motyle skrzydła  
 poranne budzenie wiatru we włosach  
 gdy rozespanie nie chce otworzyć oczu

mówisz *jesienniej* spaceruj *lecz*  
*możesz liczyć na poły moich ramion*  
 więc i mroźne śniegi nie straszne i wiatr  
 co dotąd w twarz pomoże iść  
 z pieczęcią ust zanurzam się w ciszę  
 przyspieszonych oddechów  
 gdzie płacz skóry nie dziwi  
 a sen nadchodzi na palcach

### **po między**

gdzieś walczą o życie  
 nikiący oddech  
 chemia nie daje rady wypalić  
 a za oknem blade słońce  
 pośród jesiennych barw

w zaułku myśli błędzą niechciane  
 aż po wytrzeszcz chęć ucieczki  
 krzyku budzącego tsunami

na peryferiach spokój  
 względny jak prawda pogoda  
 nie pada a jednak  
 gnają czarnobure niosąc grozę  
 i czekanie

milknie kania  
 gdy z rękawa wyciągasz uśmiech  
 bo przecież jutro za chwilę  
 zatańczą zmęczone stopy  
 ugnie się runo  
 a noc  
 zaplecie rozdzielone wstęgi

### **w oknie**

jesień spaceruje we włosach  
gdy dłoń w dłoni i wiatr  
psotny brat dzieci  
plącze warkocze dni bez  
i wspólne

pukają konary

coraz bliżej zima wsparta na ramieniu  
poprowadzi białymi ścieżkami  
posrebrzonych  
czasem  
zakołysze horyzontem  
gdy znajdując ciepło otulimy się sobą  
przygarniając sen

### **w strugach deszczu**

czekam a w myślach dni  
gdy odeszła w zapomnienie  
pośród słonecznych pól  
uliczek wykutych w historii

gdzie byłeś uśmiechem  
schwytanym w siateczkę lat  
dotykem wiatru

tańczyły cienie  
wąskich kamieniczek  
biegnących z góry na pazurki  
ku skalnym zboczom

czekam a w myślach  
natarczywa codzienność  
zamyka kaskady barw

ciężko oddychać

# Magdalena Gabriela Krytkowska

(Gabryśka)



Swój wewnętrzny świat buduje z elementów codzienności, w której dopatruje się niecodziennych barw i nastrojów. Obserwacje zapisuje w wierszach, również opowiadaniach, humoreskach i malowanych przez siebie obrazach.

## **anioły nie umierają od nadmiaru dobra**

ostatnio przyjechał z hotelu bohema  
kremowym citroenem z trzydziestego dziewiątego  
opowiadał o dalekich rejsach chłodnych fiordach

kiedy przyszedł mój przyjaciel – zniknął

wrócił gdy usypałam niepokój

rankiem w karczmie rzym podawał pastele  
niepostrzeżenie rozjaśniał cienie na  
chropowatym jak ściernisko kartonie sierpnia

## dość

popędzić postrunąć  
rozbić się  
spaść a podczas spadania  
kawałkami z siebie  
zaścielić ziemię  
w nią się zmienić

stać się milczeniem  
które nie woła

dnie całe spoczywać w spokoju  
nie budzić się wcale  
nie bać  
o nikogo

.....  
pozbić mnie pozbić  
posklejać mnie posklejać

## koraliki

jesteś  
łakomym gilem kiedy

w ciepłym  
pomiędzy  
rozkwitają czerwienią

## **niezapominajki**

znów mnie kusi monotonią błękitu  
bezhmurna idea nieba  
w drobinach

choć nie dajesz już bukiecików jedynie  
wyrwane z pejzaży  
szczegóły przywołane słowami  
pamiętasz  
wtedy  
pa mię tasz

niebiesko zakwita  
gliniany wazonik  
gwarancja niezapomnień

## **świerszczy**

granatowym cieniem  
wsiąka klon w wieczorną rosę

z braku światła  
ślepie gazania

nie widzi ciszy  
kapiącej z dzwonek naparstnicy  
w cynobrowe kielichy nasturcji

szorstką trawą  
rozcierasz bosa stopy

w niej  
pasikoniki  
rozgrzewają noc

**szuflada św. anny**

pełna niebieskiej włóczki  
z której znów wydzierga  
skarpety i swetry  
by w sierpniowe wieczory  
otuliły stopy  
cieplem spłynęły na plecy

denerwują odpustowe kramy  
dlatego zajmuje ręce i uwalnia umysł  
kolejną robótką  
może to będzie szal dla joachima  
albo chusta dla marii

któregoś lata  
znajomy poeta przysłał mi wiersz  
 *błękitne sierpniowe skarpety*  
zapomniał mnie  
mimo to  
doceniam ciepło słów

w chłodne wieczory  
otwieram szufladę  
jakbym była  
tam  
w Betlejem

**rzep**

w miękkość fioletu  
wrasta  
kolczaste srebro

polną drogą  
toczy się  
w dojrzałość

by czepiać  
nie tylko  
psiego ogona

### **za starymi akacjami**

nad zarośniętymi bluszczem  
*kocha*  
*lubi*  
*szanuje*  
straciły aktualność

sprawdza się  
*nie chce*  
*nie dba*

kolce rozdrapują chmury  
obojętna gorliwość owadów i ptaków  
wystarcza za pamięć

świat migotliwych cieni  
*żartuje* ze sztucznych bukietów  
powierzchownej wiary w nieśmiertelność

### **samotne ławki**

pozują do wierszy  
smutnym poetom

jest na nich dość miejsca  
dla nie zapisanych w porę myśli

wyrosły z zieleni drzew  
dojrzały złuszczoną farbą

już nie dla nich  
biologiczna odnowa

**dom w utraconym raju**

tamten  
miał drewniane ściany zimą ocieplone ściółką  
starą lipę z chrabąszczami  
spadającymi jak krople miodu  
i cały brzoźowy zagajnik  
z broszami jarzębin

leniwe koty wylizywały pręgi  
w cieniu ganków po których ściagały się  
szlachetny bluszcz z dzikim winem

w sieni schody na przeludniony  
strachami strych  
zegar zasłuchany w kuranty i  
dębowy tryptyk na cztery pory roku  
pachnący babciną chustą z frędzlami

serce leżało na wiklinowej etażerce  
spokojne w blaszanej pozytywce  
a może w futerale gdzie tato chował skrzypce

teraz to dom pełen  
obcych sprzętów i głosów

w nieznanym mi już  
raju

\* \* \*

dziękuję za słowa którymi  
powiedziałeś że  
można przeżyć

nieładzką

przeżyć  
wrócić do domu  
i opowiadać o tym

z nadzieją

## Lila Kucfir



kalendarz kłamie jak najęty  
bo ja mam wciąż dwadzieścia lat  
a on mi mówi boże święty  
że taki stary ze mnie grat

nie widzi blasku w piwnych oczach  
a w głowie burzy rudych loków  
i tego że potrafię kochać  
bez żadnych zbędnych epilogów

jesień – powtarza – popatrz w lustro  
masz znowu nowe zmarszczki cztery  
idźże na lifting, poddaj musztrum –  
niech się odpieprzy do cholery

już dosyć nudnych mam pouczeń  
ciąglych zakłamań lato zima  
niech się szykuje bo już puenta  
zrywam ze ściany – rok odcinam

### współczesny anioł

ma podwójny podbródek

bolą go dłonie od zagniatania ciasta  
na szarlotkę dla całej rodziny  
podagra powykręcała mu skrzydła

przysiadł w kącie i cicho  
przesuwa paciorki różańca  
pobożnych życzeń

## znów kwitną astry

*I nagroda w konkursie jednego wiersza – edycja letnia 2010  
POSTscriptum – juror Leszek Żuliński*

łaskocze w oczy feeria barw  
 a w cieniu  
 lip cisza taka samotna  
 sukienka w kwiatki  
 mini  
 nie okrywa grubych blizn  
 brzęczy jeszcze jakaś zaplątana pszczoła  
 nie wiem czy to robotnica czy truteń  
 w gruncie rzeczy  
 nic mnie to nie obchodzi

wygładzam zmarszczki  
 rozkloszowane  
 na biodrach

zaraz wstanę i pójdę do rzeczywistości  
 przez pole pełne kwitnącej gorczyicy  
 gdzie tylko małymi plamami  
 przebija się zieleń  
 nie chcę byś dotykał miłości palcem  
 wskazującym  
 upływ czasu

## nie można zajrzeć –

*wiersz wyróżniony w leszczyńskich „Konfrontacjach” 2009*

zmieszany ze śliną wszedłeś do przedsionka  
 jak do ciemnej i cichej sieni

nie wytarłeś kaloszy  
 ubłoconych poranną ulewą

posłała już łóżko a ty omijałeś  
 przestrzenie międzyżebrowe

lewą gdzie ciemno  
prawą w której paliło się światło

okrążyłaś aortę  
kiedy tętniąca chłonęła tlen

w komorze ukryła pulsującą czerwień  
na potem  
na jutro  
na pochmurne dni

### **pecha zostawiam za drzwiami**

piżamą w paski zaczynam dzień  
znaczenia rozczochrane jak włosy  
na poduszce

zaparzyłeś kawę bez zapachu  
tylko czerni białego dnia  
już widoczna

bladoróżowym szlaczkiem  
wysuwam prawą nogę  
lewa odpoczywa dała jej wolne  
na dzisiaj  
na miesiąc  
na życie

**bezsilność**

w dżinsach za dużych swetrach skrywa siebie  
jak myśli zapięte na ostatnią dziurkę  
witką bez korzeni próżno  
szuka cieku

w kurtce z odbłaskami  
wychodzi na ulice i krzyczy  
przytula pień platanu  
złuszczając się korą

ludzie uśmiechają się z przekąsem  
do włosów zaczesanych  
za ucho  
za siebie  
za niepamięć

**dale**

*to dla ciebie starsza siostra*

karłowata i bladokremowa  
PRZYGLĄDAM SIĘ ŚWIATU  
od podszewki

wolałabym z wysokości spoglądać  
ale tak jest lepiej nikt mnie nie ścina  
nie układa w wiązankę

gotuję dziś fasolową z boczkiem  
ziarna pękają jak wrzące myśli  
wybacz mi odwrócenie ról  
to ty miałaś pierwszeństwo  
gotowania zupy

spoglądam przez okno  
kiedy łyżka zastyga w dłoni  
widzę kolczasto zielony kopiec

kwitniesz wśród świeżo opadłych liści

## maria nie magdalena

zakręcona jak trwała ondulacja  
 leżała przez chwilę nieobecna a potem  
 między chrapnięciami i granatem  
 odbitym na wytartej pościeli  
 w poświęceniach kinkietu  
 roztaczała wizję

opowiadała o sześciorgu z wypiekami  
 o najzdolniejszym  
 co gra dwoma rękami przebijając  
 czarne i białe do rytmu  
 niby od niechcenia  
 o tej co ma troje dzieci i męża pijaka  
 i o tej której świat zatrzymał się w wieku pięciu lat  
 opowiadała długo  
 aż nieprzespana noc  
 zamrugała jedyną gwiazdą  
 zrozumienia

### \* \* \* (w górach wśród świerków kapliczka w lesie)

w górach wśród świerków kapliczka w lesie  
 samotna przy ścieżce stoi  
 nadzieję z rosą po igłach niesie  
 zbłąkanej przypadkiem niedoli

zza kraty czarnej ołtarzem kwitnie –  
 przechodniu wędrowcze cię witam  
 napełnij sobą mury gdy cichną  
 wodospady przed bladym świtem

ciemności przegoń kiedy wiatr hula  
 nie gnieźdzą się w gniazdach ptaki  
 za murem marzeń pod snu kopułą  
 przecieraj ukryte szlaki

– ta kapliczka do ciebie przemawia  
 otwierając swe wnętrza jak wrota  
 bo tam w środku tkwi jakaś magia  
 wzeszło słońce – tylko się popatrz

**w tobie nadzieja**

*nic dwa razy się nie zdarza  
napisała kiedyś Wisława  
a ja błędy ciągle powtarzam  
życia ruchomym obrazem  
nie wiadomo za czyją sprawą*

*i na próżno proszę na klęczkach  
odwołuję się do sumienia  
dusza całkiem od grzechu wklęśła  
ścieżka pragnień stroma i ciężka  
mam zadyszkę od trosk mnożenia*

*na twarz padam raz potem drugi  
ile jeszcze nie wiem na pewno  
tak nie chciałam złęgo obudzić  
minąć kielich zatęchłych trucizn  
żeby ujrzeć znów życia sedno*

*w tobie moja jedyna pociecha  
upadałeś też wiele razy  
żeby dotrzeć teraz pośpieszam  
tam gdzie takich jak ja się zrzessa  
by odnaleźć ojcowski azyl*

## Ewa Kudła /eva\_14/



*o tym  
o tym nie będzie wiersza  
nie będzie łzy, śpiewu, śmiechu  
małego opowiadania.  
o tym tylko serce trzaśnie  
jak sucha leśna gałązka  
Agnieszka Osiecka*

o mnie nie będzie śladu  
po mnie pełna solniczka  
ewentualnie nawóz  
i sukienka prześliczna

na mnie nie będzie pnączy  
i poschną chryzantemy  
w nieuczesane włosy  
kilkuset wierszy przemyt

po mnie zszeszczą palce  
przy w imię ojca i syna  
by w niedopitej szklance  
poturlać kroplę wina

pęknie co pęknać miało  
strach napnie starą kapotę  
a przecież miałam ciało  
i jakąś miłość na potem

### Chroń mnie

przed miłością półwytrawną chroń mnie Boże  
przed pół smakiem wykrojonym w taniej sukni  
ostentacją przy kolacji po psychozę  
i od dzwonów w samo ucho w sprawach słusznych

przed pretensją że marcowo na balkonie  
i nie umiem wstrzymać deszczu jednym gestem  
że zgasiałam przed północą żółty płomień  
kroplą z oczu skapującą prosto w świecę

przed kusymi dotykami chciej uchronić  
koniecznością wybierania w jednej chwili  
od zmartwychwstań kiedy cieplej jest w agonii  
od życiowych anoreksji i bulimii

## A ty śpij

śpij pomału kochanie  
śpij pomału  
a ze skrzydeł u ramion  
zrobię całun  
śnij jak zwykle w kolorach  
granatu  
a ze stóp uwikłanych  
dam kaptur

tocz w poduszce wygodnej  
to i owo  
a z czuwania przy twarzy  
splotę obłok  
nie ma strachów w pościeli  
ni burzy  
może tylko stróż anioł się upił  
co służył

przestał służyć na chwilę  
i przepadł  
a mnie nawet nie drgnęła  
powieka  
śpij nie szybko kochanie  
nie trzeba  
najważniejsze we śnie  
to się nie dać

przyślą jutro drugiego anioła  
na pewno  
i najdalej pojutrze  
dobięgną  
śpij pomału kochanie  
już lepiej  
najważniejsze że wspólny  
choć z piekieł

nie strój czoła jak kiedyś  
w grymasy  
kiedy śpisz schowam pamięć

do szafy  
złagodnieję jak chmura majowa  
po deszczu  
bo zwyczajnie się boję  
coś zepsuć

śpij powolnie kochanie  
ja nie śpię  
może trochę nie mogę  
lub nie chcę  
przespać tego co w palcach  
na dzisiaj  
bo zwyczajnie się boję  
jak świta

## **Mój Bóg wyjechał**

mój bóg zamieszkał gdzieś daleko  
spakował świętych i się wyniósł  
tam gdzie miał pokój kipi piekło  
i brudna miska po budyniu

bez zapowiedzi bez ostrzeżeń  
ani adresu ani kartki  
a po aniołach tylko pierze  
i diabeł z okna mi się gapi

gdybym tak twardo nie przysnęła  
może zdołałabym powstrzymać  
a tak w sąsiedztwie jak generał  
kto mi dowodzi – bies w cekinach

mój bóg odjechał lub odfrunął  
spakował świętych i przed siebie  
tam gdzie miał kuchnię dzisiaj rumor  
od czarcich wideł w krąg się ścięła

## Dżoker

pod powieką dosyć suto zakrapianą  
świat się ślizga nie hamując na zakręcie  
zapytana odpowiadam zręcznie kłamiąc  
chciałam prawdy ale prawda grozi ścięciem

znów rękawy nieco wyżej zakasane  
by nie zmoczyć rąk po łokcie w odławianiu  
odpytują odszczekuję w byle zamęt  
na upiorną okoliczność jak na haju

grób zarośnie pędem zaschłej wyobraźni  
nikt nie zgadnie gdzie jest data gdzie nazwisko  
nie odkopią nie zobaczą mnie wystarczy  
epitafium łzą popiję i to wszystko

w czas słoneczny w czas powolny wsunę ciało  
złamię cudną imitację jakichś pereł  
a gdy trzaśnie pod stopami martwa gałąź  
powiem znowu się spóźniłam na premierę

pod powieką już nie suto zakrapianą  
obraz maże się rozmywa tracąc ostrość  
bo obrazy gdy wilgotne już nie ranią  
tylko barwy rozpuszczone oczy pocą

król karowy nieco zgrany i wytarty  
niby da się jeszcze grać lecz po cholere  
kiedy czas do cna wymyje czerwień farby  
to od ręki go zastąpię choć dżokerem

## Przed udarem

a ja ucieknę gdzie mech nie śpi  
i gdzie gromady starych diabłów  
grzech wydrapują w białej pleśni  
na przekór natrętnemu światłu

i nie zostawię nawet kartki  
ani numeru telefonu  
a ty się z żalu choćby zapij  
przy telewizji łkając w domu

niech tylko zbiorę się do kupy  
pranie wysuszę i wspomnienia  
wcale nie musisz mnie już lubić  
ani pochwalić ni doceniać

rachunki leżą tam gdzie zwykle  
kwitek do szewca na regale  
na kalendarzu zaznacz cyfrę  
kiedy uciekłam przed udarem

## **Ulica Widoczna**

na ulicy Widocznej niewidoczne są życia  
niewidoczne poddasza w niewidocznych budynkach  
gdy w widocznym zacieniu ktoś się czasem przemyka  
można przysiąc nie człowiek a piłka

na ulicy Widocznej niewidzialne jest szczęście  
niewidzialne sufity w niewidzialnych mieszkaniach  
jeśli zdarzy się miłość nic nie widać najczęściej  
łatwiej wierzyć że nie ma kochania

na ulicy Widocznej nie ma prądu ni gazu  
niewidzialne kratery sączą lawę bezwonną  
kiedy trafi się pani która dość ma marazmu  
kilku panów przygarbie bezbronną

nie zapuszczaj się nigdy w niewidzialne rejony  
chyba że już po uszy namacalnych masz złudzeń  
tam się pali wspomnienia tam nocami się płoni  
i nie drepcze z uporem za pługiem

## Beż żalu

i broń nas opatrność nie czujmy podobnie  
bo kto wytłumaczy kataklizm powodzi  
wysypmy z kieszeni miedziaki najchłodniej  
i suszę ogłośmy nad podziw

ja tylko na popas posiłę się krzynekę  
odpoczną popiję i znikam bez kurzu  
nie pytaj czy pada czy mam pelerynę  
to miasto nie wieś na zadupiu

więc daj mi opatrność bym czuła inaczej  
tym razem tak samo nie wygra się puli  
bezbłędne skreślenia od kuchni podpatrzę  
i puszczyć jak totka lub umizg

zrymował komornik jak jaki poeta  
pamiętki po babci na ścianie od okna  
myślałam przez lata że jeleń tam dreptał  
tymczasem twój dziadek w binoklach

i broń dobry boże przed wiatrem w pokoju  
pozrywa kinkiety rozsądek wypaczy  
zatrzyma w pół kroku i szlag trafi sojusz  
i ludzie rozpoczną się gapić

zza zmiętej zasłony nie widać promienia  
a diabeł zębiska ma puste bez róży  
gdy zechcę przekonam w zbyt pewnych niechceniach  
że życie wystarczy polubić

# Kamil Kwidziński

/gamin/



Urodzony 11 maja 1989 roku.  
Groteskowy Wojażer.

## Martwa Listwianka

*pannie K.*

1.

*Twoja czułość – skowronek, który się gnieździ  
w krętej małżowinie ucha; który się rozbiega  
w dziecięcym zachwycie – szarpie płaszcz ojca,  
ciągnie wisiorki matki. Twoja czułość – słowik  
zabłąkany w martwej Syberii ucha.*

Nie dość nas było w nocnych mirażach, gdzie księżyc  
nie był księżycem, a twoje wargi nakręcane spliffem  
spluwały do moich piołun suchej śliny. Nie dość było

pokrzyw skręcanych z nadgarstków i nurtów wrzących  
w dwójnasób – z wgłębień do wierzchołków, z palców  
ku nabrzmiałym łądom – to najwyższa matematyka!

Byliśmy – głupcy schowani w kapturach szlafroka  
tłących się z okna satyną. Byliśmy – otwarta butelka  
piwa, mogli nas sączyć, spijać w senności do świtu,

a ostatni łyk to odbicie od brzegu; zapomną wszystko  
ukochane kioskarki, śmieciarze z Grunwaldzkiej,  
z ulgą odpuszczą zazdrosne kelnerki, zginające szyję,  
gdy tylko chyliłem ku tobie przeźrocze Pinot Gris,

a ostatni łyk to strzaskanie gałek kokpitu – dać się  
zerwać przyplwowom, jak krew, jak owoc, jak bytło –  
ze wschodu wieje najzimniej, podobno wyż zanosił  
ku zimom: Syberia, Kamczatka, martwa Listwianka,

w której pustych pokojach braliśmy się kolejno  
za zwierzę, za widok, za nerw i za bliskość; gdzie  
mróz rozlewał się w tętnice, a w brudzie i głodzie  
przybyło nam śmiechu, beztroski, mocnego oddechu;

to sucha Listwianka – kruchy płot w odpryskach farby,  
na którym oparłaś się i z liści nieznannej jeszcze barwy  
wyczytałaś kolejno: błędy i wrogość losu i błąhą przyszłość.

Nie dość nas było w skrzypiących bramach, w drzwiach  
zielonego fiata, kiedy klętaś na przechodniów ze wstydu,  
że tak się dajesz. „Że tak się daję z odsłoniętym garbem  
i z zadartą spódnicą”. Nie dość nas wtedy widziano.

Byliśmy – dwie dziurawe reklamówki tańczące przy garażu;  
w podartych bluzach kwitły dzikie ogrody, a my wciąż wyżej  
i wyżej – krzyczeliśmy, nie licząc żeber mijanej budowli.

2.

*Koniec końców – wszyscy spłyniemy ze ścian wanny,  
wszyscy prześlizgniemy się przez włosy naszych matek,  
które owinęły się na kratce odpływu, by trwać – choćby –  
w cudzym życiu.*

## Lucyna Mamczur

(Lucy)



Sercem jestem Bielszczanką, ale dorosłe życie związałam z Rzeszowem, gdzie mam rodzinę, mieszkam i pracuję. Kocham góry, poezję, muzykę i romantyczne dusze. Fascynuje mnie człowiek i jego relacje ze światem. Próbuję pisać wiersze dla siebie i niewielkiego grona przyjaciół - najchętniej liryki. Marzę o podróży *Orient Ekspressem*.

### **\* \* \* (draśnięta tobą i dzikością głogów)**

draśnięta tobą i dzikością głogów  
mrużę pragnienia skrótem myśli  
nim samotność zapachnie  
niebłękitem rozstań

połoniny i madonny  
na wysokościach  
jeszcze uczą mnie milczeć  
urodą bizantyjskich artefaktów

więc dopóki w spojrzeniach  
ślad wczorajszych obietnic mierzy czekanie  
dopełnij pory śnień  
kantatą na dwoje ust  
bo brzaski wciąż niesyte

## **miałam jesiennienie zapisane w gwiazdach**

miałam jesiennienie zapisane w gwiazdach  
i wytrawność  
przy

za zakrętem znalazłeś miejsce  
ze znamieniem kalendarzy  
i mnie  
w pół słowa

zakwitłam na rąbku kołdry  
na wyłączność

wbrew naturze

## **nie pokochał mnie poeta**

znam na pamięć  
wiatr z zakłębieniem polnej gruszy  
zimowe nonsensy  
listy  
po których nie ma śladu

choć nie piszesz mi wierszy  
i nie dbam o twoje koszule  
czasem śniesz się  
niespiesznie  
tkliwszy od innych

na bezchmurność  
kruchą jak księżycowe rachunki sumienia  
na wiosny warte grzechu

kiedy niepewne wróżę na dwoje  
kamieniem z serca

### **choć nie kołyszysz mnie przed snem**

na opuszkach jeszcze zapach  
poślizgów kontrolowanych  
i sok z dzikich czereśni  
kropla po kropli

gdy błękit wraca różkiem nowiu  
niemodnie  
cyzeluję zaszepitanie wagą euterpe  
po swojemu

znów uczę się zapominania  
od połonin

### **\* \* \* (mówisz że w barwie odlotów hosanna)**

mówisz że w barwie odlotów  
hosanna  
i gwiazdy rodzą się pod skórą  
bez pamięci  
w anapestach i daktylach

kiedy na szczytach umiem niejesiennie  
przyłgnij  
choć uśmiech w biegu  
a święty spokój  
coraz częściej czołem w dłoniach

szepnij jeszcze słowo nabrzmiąle  
ukradkiem wersów  
niech zamaryę

**\* \* \* (kiedy nie wrócisz w gwałtowności wrzósów)**

kiedy nie wrócisz  
w gwałtowności wrzósów  
i nie skłamiesz  
że tylko ja

przytulę sierpniem nieobecność  
gdy wzbiera do pierwszej krwi  
okruchami przebudzeń

rozsamię głodne wieczory  
aż rozkwitną usta i piersi  
mimo wszystko

**\* \* \* (obiecałam że przyjdę szelestem pończoch)**

obiecałam że przyjdę  
szelestem pończoch  
pamiętasz

w oczekiwaniu na czerwienie  
naga  
kilka strof od spóźnionych magnolii

jesienią kiedy jeszcze ciepła  
smakowałaś  
suitą do nabrzmiątych piersi  
na pamięć  
na jeśli  
na być może

póki wierzę w koincydencję  
ukołysz  
choć dni krótsze o rezedy i groszki

**\* \* \* (listopad gubi się w nastrojach)**

listopad gubi się w nastrojach  
i jesień tego roku mocniej pachnie  
zapominaniem

między allegro con fuoco  
a szczyptą rozumu  
uciekam z niespełnień w szepty

ścieżką gdzie serca  
zmarszczki  
i wskrzeszenie

zamiast złotych krążków  
do ostatniego półtonu  
cantabile  
na skrzypce wiolonczelę i fortepian

okoliczności łagodzące

**czułością**

znów mówię do siebie wieczorami  
i zamieniam w obłoki  
całą resztę samotności

by zostało tylko  
obiecane znów  
przynależnością szeptu

a ty jesienniejsz czułością  
przemieszczając odbiory  
w rozkoszy wrzosów  
bezwstydnie

### **bez retuszu**

mówią że nie dzieje się nic  
 gdy skrajem września  
 miękkość wije się  
 na granicy przedawkowania

dni pachną szlakiem na tarnicę  
 a wiatr od połonin  
 rozbiela prześcieradła  
 ugłaskaniem ciszy

biorę za prawdę  
 wróżbę spadających gwiazd  
 i smak wschodów na przetrwanie

chwilę od wstydliwych myśli  
 znów umiem czuć  
 drżenie dereniowych zakłęć  
 bez retuszu

### **\* \* \* (pytasz gdzie bywam)**

pytasz gdzie bywam  
 kiedy ginę na trochę  
 w kolejnych za pokutę

wciąż nieobojętna  
 na wszystkie sprawy sierpniowe  
 i zapach jodeł  
 tęsknię  
 do pepiniery zadyszanych słów  
 zanim pora jarzębin dotknie  
 bez powodu

więc przychodź jak księżyc  
 od lewej strony

# Czesława Mieszko

/anastazja/



Mieszka w Ustrzykach Dolnych, wiersze zaczęła pisać w 1987 roku, drukowano je w prasie regionalnej, laureatka wielu konkursów poetyckich, drukuje również na forach internetowych z dobrymi komentarzami i wyróżnieniami. Na koncie ma wydany tomik pt. „Dotknąć samego siebie”.

## Kolczaste wspomnienia

spojrzenie  
w lustro zdiera z dzieciństwa  
obcą skórę

nie wiem czy bardziej boli  
dziś czy wczoraj

kiedy  
ściernisko wbijało zęby  
w bose stopy  
a pokaleczone małe dłonie  
wybierały kłosa zbóż pośród ostu

latem  
na werandzie czosnek suszył warkocze  
dzika śliwa w pomarszczonej sukni  
jak twarz matki

ciebie już nie ma  
ale powrócę wynająć  
dom spokojnym owadom

## Wiejski raj

szukaj mnie w zbożu  
w warkoczu z kłosów splecionych  
niezapominajką  
patrzę

niemodnie  
ubieram maki w czerwone  
sukienki

do ucha  
szepcze wiatr  
śpiesz się zanim odlecę

## Kiedy stąd pójdę

zabiorę – obowiązki wykonywane  
jak pacierz codzienny  
obrus w kwiaty pachnący  
ciepłą zupą

zostawię – nieme ściany  
z szeroko otwartymi oczami  
ze zdziwienia –  
stare zmarszczone prześcieradło

kiedy odejdę – noc nie zamknie powiek  
głodne oczy szukać będą widoku mojej twarzy  
a cisza osamotniona odłoni nagość

## **Beniamin**

za wcześniej  
zrezygnowałeś z pieluch  
piersz matki starcza na dłużej  
nieśmiałe spojrzenie  
lipowego świątka wywołuje zakłopotanie

szukam podstępu w uściskach pościeli  
skóra napięta boi się wzruszeń  
nie jesteś typem neandertalczyka bardziej  
przerzutnią z innego wymiaru

dialog z tobą brzmi jak echo

## **Wątpliwość**

nagość budzi fałę dreszczy  
to nie grzech tańczyć ciałem  
gdy rozprutą miłość  
zszywa inna dłoń

sama nie wiem  
zdrada czy zmysłowość  
jawa czy sen

## Moja mama

była piękna  
ale młodość  
szybko umknęła  
na twarze dzieci

nie rozpamiętywała  
domowych awantur  
nad wymiar znała słowa  
szczypały mrozem w oczy  
wyciskały łzy

w kościele  
miała czas  
zrzucić z siebie ból  
na barki konfesjonału

kiedyś przyszła  
do mnie po mszy  
stanęła w drzwiach mówiąc  
chciałabym już umrzeć  
widziałam  
życie z niej uchodziło

stało się Bóg ją wysłuchał

## **Prowadzisz mnie na złotej smyczy**

prowadzisz mnie na złotej smyczy  
przywdziewasz w łachmany

pod widzimi się  
nic nie budzi  
zrozumienia

rozgniatam ból o podniebienie  
banalne

podporządkowana  
obniżonym wartościom  
mim o zgaszonych  
ramionach

błąkam się między ścianami  
a światem z papieru  
ten sam smak i zapach  
tylko myśli zmieniają wygląd

## **Domino życia**

nareszcie napinam  
uśmiechem policzki  
wieczne odpoczywanie  
troskom i żalom

za długo  
delektowałeś się każdą  
kroplą krwi  
człękopodobny stworze  
z chłodem w oczach

jestem rytmem tego świata  
zakopię się tak głęboko  
że nawet robak mnie nie znajdzie

### **„Mendacem memorem esse oportet”**

(Kłamca powinien mieć dobrą pamięć)

nie zastawiam sieci na twoje zdrady  
bezsilność przestała  
kaleczyć zaciśnięte pięści

już mnie nie bolisz

rozpięte ramiona do pulchnych biustów  
głębia spojrzeń w zielone soczewki  
powoduje pogardę uczuć

złapany na kłamstwie sprawdzasz rany  
zastygając w pozie zwinnej jaszczurki

### **Bez przymusu**

Niepotrzebnie  
uginasz kolana  
limit cierpliwości  
skończony

smakujesz słono  
szorstko  
zlizujesz rany  
język psa jest gładszy

## Monika Nowosad

*/Cathriona/*



Ur. 08.02.1984 r. w Krasnymstawie (woj. lubelskie). Z wykształcenia i zamiłowania germanistka. Pracuje w gimnazjum w Izbicy i w Orłowie Drewnianym jako nauczycielka języka niemieckiego. Jej pasją są przede wszystkim języki obce, ale kocha również książki i pisanie, dzięki którym udaje jej się czasami oderwać od rzeczywistości. Uwielbia podróże, zwłaszcza w okolice Jeziora Bodeńskiego. Prywatnie miłośniczka kwiatów i pieśni żeglarskich. Mieszka wraz z mężem Adamem i ulubienicą, kotką Fridą, w Stryjowie.

### **\* \* \* (stary i tępy szczyryk ojca)**

stary i tępy szczyryk ojca  
niejedno w życiu już przecinał  
choć ostrze nieco rdzewiejące  
i czas je trochę powyginał  
choć nie raz, nie dwa się zgubił  
zawsze się jednak dał odnaleźć  
co roku z grzybów lasy łupił  
kiedyś okradał wierzyby z fujarek

gdy trzymam w dłoni uchwyt z drewna  
płyną wspomnienia jak filmy w 3D  
choć było różnie, łąza niejedna  
jak kropla kwasu bólem płynie  
stary i tępy szczyryk ojca  
niejedno w życiu już przecinał  
nigdy nie przeciął jej do końca

zapiękło, strużka rubinem spływa

## Gdyby tak...

*(Bożenie Cz.)*

Gdyby tak zamknąć rozum w szufladzie  
I słuchać tylko serca i zmysłów,  
Nie egzystować tylko z dnia na dzień,  
Ale odszukać te sny, co przysły...

Gdyby tak zamknąć się w swoim świecie,  
Tam, gdzie nie będzie bólu, tęsknoty,  
Gdzie można żyć, jak tylko chce się  
I nikt nie mówi, że to głupoty...

Gdyby zabrakło świata mojego,  
W który uciekam, gdy ból mnie goni,  
Umarłoby pół mego ego,  
Rozsądek znikłby w myśli szalonej...

## Spowiedź córy Koryntu

Unoszę nogę w podwiązce  
Czarnej, z misternych koronek,  
Opieram o ciało twe obcas  
Jak znak triumfu nad wrogiem,

Powieki się przymykają,  
Patrzę ukradkiem, uwodzę,  
Od progu znów gra się zacznie,  
A skończy się na podłodze.

Zabierasz mi moją wartość,  
Okradasz z uczuć ostatnich.  
Wstyd zdzierasz wraz z resztką ubrań,  
Zamykasz w gorącej matni.

Namiętnie – z wyrachowaniem,  
Pozwalasz się znowu uwodzić.  
Bo kurwa to tylko zawód,  
A dziwką się trzeba urodzić.

## **polana**

ciepłe palce słońca  
przymykają oczy  
półwidzę półczuję  
twój kształt złoty kontur  
mech chłodzi wśród treli  
zapach lasu uwodzi  
mami  
plusk wody  
srebrny śmiech

jak dobrze w cieniu dębu

pot perli się  
wiatr suszy oddechem

gorąco

widziałeś grę światła  
w konarach?  
spójrz  
listek przesłania słońce

jest  
nie ma  
jest  
nie ma  
jest

**szanta sztormowa**

bliżej

podpłyn wędrowcze  
gdzie słońca fala  
liże i pieści  
nierówny brzeg

czekam na ciebie  
dniami nocami  
w progi tawerny  
chęć zwabić cię

chodź

skał się już nie bój  
płytko tu nie jest  
to nie mielizna  
nie utkniesz w niej

fala przygania  
lekko unosi  
silna natura  
znów rządzić chce

wpłyn

znasz tamten zapach  
morze się burzy  
kipi i pieni  
sztorm niesie mnie

bezpieczna przystań  
czeka na ciebie  
zakotwicz wreszcie  
to kei jęk

toń

tak jak ja tonę  
bez tchu bez skargi  
fala przyptywu  
zalewa mnie

jutro odpłyniesz  
do innych portów  
inny wędrowiec  
odwiedzi mnie...

## **Żar**

*(część III z cyklu Do \*\*\*)*

Jak każdej nocy szukaliśmy schronienia,  
Chcieliśmy uciec przed złośliwym wzrokiem.  
Chwile sam na sam, moment zapomnienia...  
I tylko księżyc śledził nas swym okiem.

Powietrze drżało, oddech w nas zamierał,  
Po chwili wracał, splatał się z gorącem.  
Dwa ciała lśniły, gdy głód je wypełniał,  
Spragnione siebie, świata nie widzące.

Języki ognia wspinały się w górę,  
Za chwilę znowu w dół się kierowały,  
Fala pożaru parzyła mą skórę,  
Ogniste dłonie ciała dotykały.

Eksplozje światła, fajerwerki w głowie,  
Oddech nie może już bardziej przyspieszać.  
Lot do niebytu, raju Adamowie  
O ośmiu rękach będą mnie rozgrzeszać.

To ja, grzeszna Ewa, pokutę odprawię,  
Dobrowolnie karę przyjmę od Adama,  
Będąc sama w raju z wężem się zabawię.  
Grzechu ksiądz nie zmyje, gdy nie zechcę sama...

## Wróciłeś

(część I z cyklu Do \*\*\*)

Gdybyś tak wiedział to, czego nie wiesz,  
Gdybyś wyczuwał to, co ja czuję,  
Być może życie byłoby inne.  
Więcej nie powiem, znów coś popsuję...

Może jest lepiej, tak, jak jest teraz,  
Może nie warto zmieniać przeszłości.  
A mimo wszystko, gdzieś w głębi serca,  
Jest cień nadziei... I niepewności...?

Znowu przychodzisz do mnie wśród nocy,  
Znowu do Ciebie chcę się przytulić...  
Znowu przelewam me serce w wiersze,  
Tak jak przed laty... Pamiętasz jeszcze?

Minęły lata, wszystko minęło,  
Oglądam stare, wyblakłe zdjęcia.  
Cóż, nie umarło, tylko zasnęło,  
Teraz się budzi... Serca napięcie...

## Czarna wyliczanka

Tak smutno, że aż bolą czubki palców.  
Tak cicho, że słycać wiatru szum.  
Szaleńczo – tak wirują myśli w tańcu.  
Tak pusto, że ustom braknie słów.

Tak ciemno, że Anioły gubią drogę.  
Tak zimno, że serce pokrył lód.  
Tak ciężko, że znów podnieść się nie mogę.  
Tak trudno nakarmić duszy głód.

Tak blisko, że Cię prawie mogę dotknąć.  
Daleko, że brakuje rąk.  
Tak sucho, chociaż w oczach tak wilgotno.  
Tak martwa, choć przecież żyję wciąż...

# Aleksander Osiński

## słowa są sprawiedliwym rodzajem klęski

lubię książki  
a one mnie tolerują  
może coś więcej  
ale nie mówimy całkiem jasno  
nie mówimy to i to  
lecz językiem który nie jest pierwszą myślą  
a tylko współbrzmieniem winnych  
bezwzględnie do ostatniego słowa

ciekawe jakim cudem się rządzą  
jak wypływają na wierzch  
w łuskach języka

\*

być może czasem  
warto się schylić  
podnieść coś udając  
że zawiązuje się sznurówkę  
znaleźć się i ułożyć grabiec  
nie budząc podejrzeń  
że jesień zobaczy

krótkie dni bo nikt ich nie chce  
porąbane  
zmuszone do pracy nad siłę  
z którą mocuje się zmierzch  
jakby był po naszej stronie  
nie przypadkiem

## nie stoisz przy mnie chociaż trzymam twoje ramię

masz słaby puls co roku nie dożyje  
nie zobaczysz własnych dzieci  
może zobaczysz  
jesteś tak długo  
że powstają kawały o tobie  
całkiem śmieszne coraz dłuższe

nie czuję się dobrze w tej roli  
a zastępuję medycynę  
łudzaco podobni lekarze  
szurają kapciami chodzą do kaplicy  
tam są wszystkie urzędnienia  
niewiele tego

mędracy przysypiają na kozetkach  
zaplątani w siano  
jeszcze wieczorem prezentowali dary  
to rozwieranie i kurczenie palców  
widzę jak szykujesz się do skoku  
niech cię bóg broni  
może trzech króli dożyjesz

## niewierność chwili

gdy nie ma co pić gile  
piją wodę z przerębli  
to rzadki widok  
raz może dwa razy w życiu  
można zobaczyć jak gile  
piją wodę z przerębli  
w tej chwili  
w całej okolicy  
nie ma nic innego do picia  
nie ma innych gili  
nie ma nikogo  
kto mógłby to zobaczyć  
raz może dwa razy w życiu

## dom opuszczają światła

powoli i z wyczcieniem stoły i krzesła bez stuku  
tak jak stały wcześniej wieczór  
przeciąga na swoją stronę kilka łusek  
okręgów to co podnosi i zbiera woda i my  
naśladując ją najlepiej jak umiemy

idzie na burzę a na jej korzeniu wyrasta nać

## spalenie Józka

spalili Józka gdy spał  
leżał na ławce w łatwopalnym domu otwartym  
trzech chłopaków i dwie dziewczyny  
chcieli żeby mu było ciepłej  
najbardziej ten który nie miał dziewczyny  
miał wszelkie powody żeby oszaleć  
grał w klubie ale go wyrzucili  
brał prochy ale wolałby grać  
miał zapalniczkę i trochę alkoholu  
żadnego luźnego szluga  
spotkali się w ten wieczór  
jak ojciec i syn po latach  
potwornej niewiedzy  
że śmierć ma znamię biedy  
przetrzęsa kieszenie śpiącym w parku żebrakom  
jak nic nie znajdzie  
potrafi być straszna

## koza

nie mam pieniędzy  
nie zaprzyjaźniłem się z żadnymi  
rzeczy nie przychodzą łatwo  
nie przynoszą spokoju  
łatwa ich część kosztuje za dużo  
trudna – szkoda gadać  
to astronomiczne sumy  
a ja nie znam się na astronomii  
patrzę tylko w niebo jak koza  
i wyciągam te same wnioski  
nie ma tam nic do jedzenia

## Merkury

zima to imigrant  
nie ma zielonej karty ale w naszym schronisku  
zajmuje najlepszy siennik  
tędy można przychodzić  
z garścią petów białym chlebem  
ogłądać kobietę wracającą właśnie od Boga  
zawsze znośnie ubraną  
myśl o istnieniu prawie ciepłych krajów  
nie ma powodu żeby dzielić  
światło w cieniu ognia  
i dalej po coś rzeka i most

## zielona kula

mogę cię stracić jak jeden z wymarłych gatunków  
ale na razie zbieram żołądździe  
robię to przez ludzi bo tak ich rozumiem  
przez żołądździe  
układam w rzędzie

porządek zbliża kochanków a jakby  
zginęli od jednej zielonej kuli

w tej historii tak jest bo skądś jest prawda

## archeologia

na krótkiej ulicy leży gruz szufle  
prowadzą warzywniak na rogu wyjęty  
z ziemi rów wyjęty i oczyszczony

drobna dziewczyna trzyma dziecko na ręku  
łśni w deszczu tatuaż na brązowym ramieniu  
bezcenna żółta moneta drobiazg

coś może pójść nie tak ?

## zausznicy

wciąż mam na głowie  
kilka twoich włosów  
i tylko czasem  
zadają się z moimi  
podśluchują

wtedy myślę Boże  
to prawdziwe wygnanie  
mówić wieloma językami  
bawić się cudzym grzebieniem

przeźroczyste powstawanie światów  
których nie można odkryć  
bo zmarzną  
potrzeba im więcej umysłu  
więcej cudu

## przyjemność rysownika

przyjemnie jest rysować prostokąty  
trójkąty owale ich proste twarze  
nie wyrażające nic konkretnego  
zdane tylko na siebie  
poszerzające pojęcie o sobie  
jak tylko się da a da się wiele  
mając ołówek

można narysować legion  
i tchnąć w niego życie  
jak twórcy ewangelii ktokolwiek był nimi  
w zbiorowej modlitwie nie mieli równych  
ich formacja żółwia pokonała rzymskie  
i pierwsza odkryła nieliniowość zdarzeń

wciąż w nich tkwią  
prostokąty trójkąty owale  
oniemiałe patrzą na najprostsze domowe czynności  
kobietę niosącą koromysło  
jego wynalazcę który był w dwójnasób wielki  
dzieci przesuwające pod palcami pojedyncze kreski  
jak laski dynamitu  
przy prostokątnym piecu

# Zygmunt Marek Piechocki

## Cyprisy Van Gogha

Porzucona planeta  
w błękitach zawirowanych  
śmiałością pędzla

Znakiem odrębności  
kołowanie światła  
nieboskłonowego orszaku

*O niczym  
Żeby tylko coś napisać (1)*

## Pustka w głowie

Włóczę się  
po przystankach autobusowych  
niby taki  
potencjalny klient  
czerwonych karoserii  
sprawdzam rozkłady jazdy  
przyświecając wypasioną komórką

Nie jadą  
w moją stronę  
nikt nie dzwoni

Jeszcze łyczek z piersiówki  
jeszcze raz *Lacrimosa*  
chciałbym ją na całe miasto

Nikt nie zapłacze  
za firankami bambosзовych mieszkań  
nad przystankiem linii 122

## Spacer z Nią

Zawsze tak samo

Jakiś dźwięk  
myśl  
zdarzenie

Załamanie ciągłości

Oniemiałość

I ja  
nieodzowny współnik  
bez udziałów

Pochlebiam własnym śladom  
odprowadzam bez uników  
do każdej ciszy

Ale sprawdzam wątki  
dociekam

Oswajanie kresu

*23 października 2009*

***O niczym  
Żeby tylko coś napisać (2)***

**Jest obok**

słyszać krochmal koszuli  
syk zapałki

Dym z papierosa  
drażni nozdrza

Drze się  
goooooooool gol gol

Ona  
otula się  
*Cieniem wiatru*

***O niczym  
Żeby tylko coś napisać (3)***

**Ono**

jest jak taniec  
tarantella na linii lewej dłoni

Wiruje biegnie pędzi sadzi susy  
podgryzane w stopy podskakuje  
wierci się ma nadzieję

Wiem  
niczego nie dobiegnie  
oprócz tego rozgałęzienia  
u nasady palców

*O niczym  
Żeby tylko coś napisać (4)*

### **Pytasz jak minął dzień**

Tutaj miła gdzie jestem chmury niskie  
pada deszcz  
więc w kaloszach moje łożenie lasem

Zakołusuję nim wszystkie sprawy miasta  
ich ważność topię w kałużach

Jeszcze przez chwilę taplają się w koleinach  
od wielkich ciężarówek wywożących drewno

Będzie z niego może jakiś stół

Na nim pół litra po czystej i poniewierające się ogórki  
jak przy tym niedogaszonym ognisku  
co to je drwale zostawili

Grzeję dłonie

Pytasz jak minął dzień

Później czytałem wiersze Kamila  
I książkę  
„Potępienie Paganiniego”

Wieczór kapryśny stanął u drzwi  
grałem mu Chopina

## **Pod Srebrnym Skrzydłem**

Zawsze tak samo

Drewniany rytuał zamykania  
ostateczna odmowa światła

Wiesz Kaziu  
kiedy Irek czytał Twoje wiersze  
z jesiennych brzoź spadały krople

Jak łyzy

Zza chmur wyrzuciło słońce  
nam wilgotniały oczy  
siewiały skronie

*19 października 2009*

## Wysokie PSA

A oto salka w szpitalnych bielach  
Tylko kozetka i kilka krzesel  
Stojaki obwieszane workami z płynem kroplówek

Na kozetce trzech  
I jeszcze trzech na krzesłach wokół stojaków  
Ręce położone na kolanach  
Na jednej z nich utknięty wenflon

Nabożeństwo wchłaniania

*Dłonie trzymać proszę luźno  
To jest płyn z antybiotykiem  
Później będzie jeszcze wlew*

Kilku patrzy ze znakiem zapytania w oczach na sąsiadów

– Lewatywa – mówię półgłosem  
– Acha...

*Po wszystkim proszę usiąść przed drzwiami z numerem 623*

– Jakim wszystkim ? Pyta szczupły całkiem siwy.  
– No, jak już się pan wypróżni i umyje  
– Jest tam też łazienka  
– Acha...

Milczymy  
Krople spadają  
A nad nami unosi się niemówione śmiertelnie poważne słowo  
BIOPSJA

*Wynik za około dwa – trzy tygodnie  
Odbiór osobisty lub najbliższa rodzina*

Arytmetyka strachu  
Liczenie dni

## Maria Polak

*/Maryla/*



Rodowita Szczecinianka.  
Związana rodzinie i zawodowo  
z tym pięknym miastem.  
Z zawodu inżynier budownictwa.  
Czasem chciałabym zaczarować  
szarość dnia, by było lżej..., by było  
cieplej..., by było przyjemniej...  
Czy mi się to udaje? Ocena należy  
do czytelników.

### Szepty z daleka...

Och, jak lubię wód srebrzystość  
gdy zachodem słońce płonie.  
Wyobrażam, jak w pieszczocie  
zatracają się me dłonie...

Zegar zmierzchu się pochyla,  
niczym trzciny tajemne cienie  
a ja słyszę w duszy granie,  
co przechodzi w słodkie drżenie...

Czy się barwa miesza z czasem  
czy też potok śmiałych marzeń,  
wnika w głąb lustrzanej ciszy,  
– materiałem będąc dla rzeźb?

Jedno jakże ważne z tego  
– spływa spokój w zwiewnych tiulach.  
Tylko szepty, te z daleka,  
są nektarem w uczuć strunach.

## ja przepraszam to pomyłka...

Ja nie piszę wcale wierszy,  
słowa tylko w rym układam.  
Zgarniam ciepło do nich chętnie.  
Czy zaleta to, czy wada?

Nie znam się na modach, stylach,  
kierunkami nie zajmuję  
ale lubię się podzielić,  
tym promieniem, co czaruje

kiedy słońce wstaje rano,  
przedzierając się przez szyki  
chmur, pochodnię różu niosąc  
i wzbudzając tym zachwyty.

Ciszę przeniesć spod poziomek,  
miarę zwątpień zgubić w lesie  
i uchwycić tajemnicę,  
co fiołkami słodycz niesie.

Jedni piszą, co w nich krwawi,  
co sen spędza z łzawych powiek.  
Mnie potrzeba tak niewiele  
– niech uśmiechem mi odpowie,

ten najbliższy, ten od serca  
i ten, co go w pracy spotkam,  
nieznajoma z naprzeciwka,  
wtedy jest codzienność prostsza.

Wiatr podaje z gracją ramię,  
zatrzymuje barwy chwila.  
W aurze westchnień, kobiercami  
jesień, szlaki chce pokrywać.

## Cicho nie budźmy

Cicho nie budźmy wiatru słowami,  
niech nie dotyka mgły nad jeziorem  
spójrz jak się snuje lekko i zwiewnie  
gdy się układa słońce wieczorem

między łąkami a brzegiem lasu  
dodając ciepła magicznej chwili  
zaróżowiona zachodem idzie  
noc by kołyskę z ramion uczynić

płyną żaglowce białych obłoków  
jeszcze po brzegach znaczone blaskiem  
w szczelinach czasu tworzy to obraz  
przędzy rzuconej przez milion tkaczek

mgła przeobraża się w pył życzliwy  
nie budzi toni uśpionej wody  
jest jak puch spokój aksamit czasu  
tajemnic skrzydło uśmiech Giocondy

Niechaj złagodzi co pod powieką  
uwiera ostrym ziarenkiem piasku  
prowadzi ścieżką bez niepokoju  
by sny poznały otuchę brzasku

## Dokąd prowadzisz...

Dokąd prowadzisz muzyko serca,  
kiedy dzień jasny przysyła świt,  
kładzie się plamką tkaną przez słońce,  
zapina tęskność w przyjazny mit.

Dokąd prowadzisz muzyko serca,  
gdy spod obłoków usłyszysz śpiew  
co z zagubienia, życia pośpiechu  
wygonić pragnie smutek i gniew.

Dokąd prowadzisz muzyko serca,  
kiedy wzrok pada na jeziora toń,  
kręgi się srebrzą aż po horyzont  
by po nich pobiec, gdy podasz dłoń.

Dokąd prowadzisz muzyko serca,  
gdy noc nadciąga z zapachem róż.  
Sny się niesforne w myślach szamoczą.  
Czy to oznacza, że jesteś tuż?

Dokąd prowadzisz muzyko serca,  
gdy wiatr wymodli imię mi Twe  
oświetli obraz, powplata tęczę  
by szczęściem głośnąć.. Przecież to wiesz.

## Życzę barw ciepłych

Gdzieś znad wody mgła się wznosi.  
Widać brzeg miękkiego szala.  
Niedosytość jest w nim wielka,  
okruszyny słońca wchłania.

Drżą cichutko różu smugi,  
czerwień ma udziały swoje,  
po błękitnym śladzie nocy,  
biegną ciepłych barw nastroje.

Wiatr je trąca, wabi, rzeźbi,  
korzystając z mocy prawa  
– to ucisza, to znów wzmacnia  
grę, na którą świt pozwala.

Nie jest ważny w takiej chwili,  
czas, co pędzi tuż za rogiem  
– napinając tkliwość myśli,  
cała jestem w chwili błogiej.

I wykwita imię Twoje,  
światłem, które ust dotyka,  
złote mosty niosą słowa  
pieśnią słodką... choć w zarysach.

### **Przywiał mi wiatr**

Przywiał mi wiatr zapachy morza  
słońcem spalony piach na brzegu  
trzczin wiotkich szelest delikatny  
– myśl trafia tam bez żadnych błędów

i już się sypią wokół stopy  
ziarenka złota bałtyckiego  
i czuję jak dotyka twarzy  
coś pachnącego ożywczego

przymknięte oczy widzą fale  
jak ugiaskują ślady kroków  
perląc się obmywają kształty  
i są gotowe do odwrotu

i tak codziennie dobę całą  
fala wybiega na spotkanie  
całuje brzeg zawraca szybko  
wprowadza w błogość kotysaniem

gdy zbyt zmęczone pracą myśli  
a tętno słabnie w liniach życia  
to rozpienionych trenów słuchaj  
dlaczego? – nie zadawaj pytań

## Och, życie!

Och, życie! – ciągły kalejdoskop,  
nic nie jest białe ani czarne.  
Lubi się droczyć, bawić nami  
a gdy pozwoli – okrucz zagarniesz.

Pomiędzy tlenu cząsteczkami  
jest czułość, smutek, szczęście, trwoga  
codziennie w różne strony biegnie  
raz lepsza a raz gorsza droga...

Z zewnątrz ocenić bardzo trudno  
kto jest szczęśliwy, w dobrej formie  
a kto w kieszeniach trzyma smutek  
i niepokoje kruszy ciągle.

W takich wypadkach uśmiech zwodzi,  
zasłoną dymną jest dla innych,  
piekielnych rozczarowań bramy  
gestem zamyka niegościnnym.

A każdy przecież ma apetyt  
na zwykły, najzwyklejszy spokój,  
na aprobatę w czyichś oczach,  
na lot motyla i by poczuć

wiatr, co radośnie muska włosy,  
promień, co zwabia taniec świateł,  
by dobrze czuć się z samym sobą  
a twarzy nie kryć pod stos masek.

## Bożena (A) Przybysz



Bożena (A) Przybysz prostymi słowami pisze to, co jej w duszy gra. Z reguły są to wiersze rymowane (zdarzają się i białe, ale mniej) zakończone przesłaniem dla bliskich i do każdego, kto zechce przeczytać. Największe osiągnięcie, to zajęcie III miejsca w Konkursie Literacko–Fotograficzno–Plastycznym KONFRONTACJE 2008 w Lesznie.

Cieszy się, gdy kogoś zatrzyma choć na chwilę to, co pragnie przekazać w swoich myślach przelanych na papier.

### Wigilijne przemyślenia

Zanim opłatek weźmiesz do ręki  
pomyśl, czy jesteś jak śnieżna biel?  
Jeśli skrzywdziłeś przeproś bliźniego  
miłością z serca szczerze się dziel.

Przypomnij sobie życzenia matki  
w blasku choinki cicho szeptane.  
Jej nadziejami będziesz bogatszy  
siano na stole jest twoim wianem.

Wiele tradycji świat gdzieś przegonił  
i czasu też ciągle bywa za mało.  
Przecież wywodzisz się z polskiej ziemi  
rozświetl, więc blaskiem duszę zastał.

Z nieba cichutko spogląda gwiazda,  
zwierzęta ludzkie poniosą głosy.  
Śpiewaj kolędy, idź na pasterkę,  
wsłuchaj się w ciszę... to Jezus prosi.

## Z perspektywy życia

Jest gdzieś taka miejscowość,  
w której młodość spędzałam.  
Stara chata w ruinie,  
w mej pamięci została.  
Mam przemiłe wspomnienia  
te niewinne dziecięce,  
gdy kochana Mateńka  
mnie nosiła na ręce.

Wspomnieniami tam wracam,  
gdy mi tęskno i smutno  
bardzo chciałabym cofnąć  
tę dorosłość okrutną.  
Czasem oczy zachodzą  
łzami żalu, rozpaczy  
ja się staram uśmiechać,  
by ich nikt nie zobaczył.

Teraz po tylu latach  
zrozumiałam już wiele.  
Swoich łez nie ukrywaj  
radzą mi przyjaciele.  
Płaczę i krzyczę głośno,  
kiedy życie dokuczy.  
Stanie ktoś na mej drodze  
i z łez oczy osuszy.

*(Szczutowo k/Brodnicy)*

## Testament

Może odejdę stąd niedługo  
zapomni o mnie cały świat.  
Zaschnięta łza zostanie smugą  
zapal mi lampkę postaw kwiat.

A o modlitwie też pamiętaj  
o tak niewiele prosić trzeba

Prostą, codzienną nie od święta  
może otworzy bramy nieba.

Kiedy mogiłę już pokryje  
zielona trawa wiosną listkiem  
białą konwalia ją odżyję,  
jeśli mnie wspomnisz, to się przyśnię.

Może nie znajdą czasu dla mnie  
innym darując czas swój cały  
i mąż zapomni – dzieci mamę,  
że grób gdzieś stoi skromny mały.

### Tytuł pisze życie

wspomnienia dzieciństwa  
nićmi babiego lata  
otuliły jesienny las życia  
okruczem opłątka  
podajemy sobie miłość

choć młoda jest jeszcze  
często zastygłe już serce  
nic jej nie wzrusza  
jakby świat wypła do dna  
w mętnych zaułkach rozrywki

nad przepaścią jutra  
ludzie co kilka lat  
zrzucają wężową skórę

piękne kwiaty wiosny  
wyrastają dzikim chwastem  
wraz z wiekiem

podajemy sobie miłość  
(a serca na dłoni  
te najszybciej zamarzają)  
i wiarę z nadzieją  
w nich zaklęta moc i siła

*Bóg się rodzi...moc truchleje*

**\* \* \* (Poeta jest jak wada)**

Poeta jest jak wada  
 Wrodzona lub nabyta  
 Wieczorem myśli składa  
 Świttem z pegazem bryka

Poeta jest jak świeca  
 Płomieniem świeci jasno  
 Pomysły swe roznieca  
 Czasami słowa marzną

Poeta gaśnie rano  
 Gdy księżyc mruży oczy  
 Osoba niewyspana  
 Przez życie dziarsko kroczy

Poeta nie wie nigdy  
 Jak pisać i dla kogo  
 By nie wyrządzić krzywdy  
 Trzeba zachować honor

Poeta nie ma lekko  
 Obrywa tu i ówdzie  
 Bywa zgotują piekło  
 Z brakiem wycucia ludzie

**Kadr z życia**

Po latach wspomnienie młodości  
 nieznaną nam wcześniej tęsknotą,  
 smutnymi kadrami zagości  
 by serca strapione omotać.

Przemijają uroda niestety.  
 Co będzie za kilka lat szarych?  
 Pytają mężczyźni, kobiety,  
 czy jeszcze ktoś o nich pomarzy?

Użyczy szczerego uśmiechu  
ot, tak bez okazji. Czy wręczy  
w tramwaju, gdzieś w parku, nad rzeką  
bukieciak wiosennych kaczeńcy?

I mija dzień za dniem jak z procy  
pospieszne kamyki bez daty.  
Wiek każdy być może uroczym,  
gdy człowiek jest sercem bogaty

### **Czy masz przyjaciół**

Ot, takie proste pytanie.  
Który wartościowszy człowiek  
Ten, co postawi ci piwo,  
czy kto prawdę w oczy wypowie.

Kolega, może dziewczyna  
wymyśli radę na zdrowie.  
Za rękę chętnie potrzyma  
– nie traktuj jak pogotowie.

Słowa błyskawicą biegną  
i skrzydła czujesz u ramion.  
Niekiedy myślisz dlaczego  
niektóre uczynki tak ranią?

Pamiętaj, że ci sprawdzeni  
pachną kwiatami na grządce.  
Nie rodzą się na kamieniu  
z sercem dla potrzebujących.

Bywa, że los wynagradza  
czasem niestety zawiedzie.  
W cenie życiowa maksyma:  
*przyjaciół poznajemy w biedzie.*

## Tym którzy odeszli

Znowu rodzina stroi bliskich groby.  
Myje, szoruje - każdy jak nowy.  
Przez tyle czasu nikt nie pamiętał.  
1 listopad - dziś zmarłych święto

Mogły pięknie przybrane w kwiaty.  
Nie ważne biedny ktoś, czy bogaty.  
Wszyscy jednak już w ziemi leżą  
i w zmartwychwstanie po śmierci wierzą.

Lampek, gałązek, chryzantem mrowie.  
Bliscy stawiają na każdym grobie.  
Jak długo złocień na płycie wytrwa?  
Jest czas na wystrój, a gdzie modlitwa?

Gromadnie stoją smutne rodziny,  
lecz wspominajmy także o innych.  
Są przecież tacy, nikt nie pamięta.  
Znajdź chwilę czasu, daj odczuć święto.

Zapal więc lampkę na obcym grobie,  
gdy zbraknie bliskich zapali ktoś tobie.  
Niech to światełko świeczka niedroga  
wszystkim wskazuje drogę do Boga!

## Monika Rechla

/Moonsee/



Mam 22 lata i mieszkam w Warszawie. Studiuję, a ponadto jak najwięcej czasu poświęcam moim pasjom. Uwielbiam grać na gitarze, śpiewać, ale ponad wszystko kocham poezję. Z wielką przyjemnością sięgam po tomik Wisławy Szymborskiej czy też ks. Jana Twardowskiego. Czytając wiersze mam możliwość innego spojrzenia na świat. Pisząc je, mogę bliżej poznać i wyrazić siebie. Już jako mała dziewczynka zapisywałam swoje myśli w formie rymowanek. Moja babcia zawsze powtarza, że odziedziczyłam po dziadku zdolność

### Zaćmienie

kiedy zasypiam w ramionach  
nabieram kształtu noc blednie  
ciemność ocieka wzruszona  
kroplami szeptów i westchnień

wschodzisz tak lekko i płynnie  
falą gorąca na skórze  
nim o poranku rozbłyśniesz  
zostań tej nocy na dłużej

pod palce wkrada się obłąd  
płynę po niebie jak księżyc  
okrywasz mnie niczym słońce  
nie zaćmij jestem dziś w pełni

## Jestem tylko echem

życie to nie jest bajka  
z uśmiechem co dzień mówisz  
wolę podróże w kłamstwa  
w kołysce z chmur się budzić

otulić się księżycem  
na każde *dobrej nocy*  
tam mogę żyć w zachwycie  
bez strachu i tęsknoty

nie kochaj mnie wiesz dobrze  
że jestem tylko echem  
ucichnę bezpowrotnie  
skończę się nim spostrzeżesz

i tylko naucz dłonie  
na pamięć wdzięcznie głaskać  
gdy bajki przyjdzie koniec  
policzysz mnie na palcach

## Prolog

pewnego wieczoru  
przekartkujesz  
wodząc palcami po wyblakłych stronach

zabraknie chłodu  
pod płaszczem dłoni  
pamiętaj bądź delikatny

rozłożysz i zaczniesz czytać  
wzrokiem obejmując kształty  
liter

powoli przesuwając się  
między wierszami  
dojdiesz do końca

ostatni cichy jęk  
słów rosnących w płomieniach

taki nasz  
epilog

### **Animozje**

śmiertelna dawka obłąkania  
usypiam z żalem a z tęsknotą  
budzę się rano i zachłanna  
w krzywym zwierciadle widzę złoto

mam swój aromat naturalny  
lecz wyparował w fazie wrzenia  
ból wierny sługa mój oddany  
karmi mnie porcją odrętwienia

miłość jest nienazartą świnią  
da to co zechcesz i odbierze  
dławi łaknieniem, dusi drwiną  
do krwi zagryzie niczym zwierzę

tym animozjom stawić czoła?  
zjadam je rano z białym chlebem  
na wieki wieków potępiona  
pragnę miłości z utęsknieniem

## Pożegnanie

Jesteś aniołem co strącił z nieba  
prosto na dłoń dwa białe skrzydła  
przysiadasz obok i cicho śpiewasz  
wiem będziesz obok pókim nie znikła

jesteś jak burza która orzeźwia  
deszczowym ciepłem sływa po ciele  
a chłodnym wiatrem koi co trzeba  
na tęczy grają kruche nadzieje

jesteś oazą ożywczym zdrojem  
górskim potokiem płynącym żwawo  
o nic nie płaczę już się nie boję  
dopóki płyniesz zagłuszasz słabość

jesteś jak morze wielkie i dumne  
na falach niesiesz nad rajskie plaże  
odpływ zabiera kufer ze smutkiem  
w muszlach zaszumił sens moich marzeń

jesteś jak bajka w której chcę istnieć  
nowym rozdziałem krótkiej powieści  
tu żadna magia nigdy nie pryśnie  
serce spokojne wyczeka śmierci

jesteś jak wiosna lekka i ciepła  
dywanem z kwiatów wiedziesz za rękę  
i wplatasz w palce kawałki nieba  
uśmiech za uśmiech nie trzeba więcej

kołyszysz do snu dobry obrońco  
oddajesz siebie ćwiartka po ćwiartce  
nim zajdzie słońce bajki się skończą  
zabierz z powrotem serce nim zasną

boję się zamknąć oczy tej nocy  
choć jesteś tutaj, strach pięść zaciska  
nie chcę być strawą wiecznej ciemności  
zostać zamknięta w śmierci zamczyskach

może i lepiej że umrę młoda  
że nie zostawię męża i dzieci  
na co mi dzieci mąż i tęsknota  
odpocznę zanim zdążę się zmęczyć

zostań tu blisko podaj mi rękę  
i czekaj ze mną noc jeszcze długa  
może tę rozpacz łatwiej mi będzie  
znieść gdy dwa słowa szepniesz do ucha

### **Jak anioł**

gdy je zgubiłam  
wywiesiłam ogłoszenie  
*kupię skrzydła tanio*

nie były jak ulał  
ale wcisnął pół darmo  
wszystko byle do nieba

posypały się na starcie  
wiatr porwał pióra  
ach to ziemskie przyciąganie

jak spadająca gwiazda  
leciałam *w niebo aż na dno\**  
dobrze że pomyślałeś życzenie

*\*fragment inspirowany słowami piosenki Republiki – Moja Angelika*

## Noc się za nas wstydzi

ostatni guzik od koszuli  
szepcze najczulsze *dobrej nocy*  
jedwabnym szlakiem ciepłej skóry  
wędrujesz poza horyzonty

rosnę w spojrzeniach niczym księżyc  
a noc się kurczy coraz bardziej  
i przeplatają się oddechy  
płynące z rozchylonej wargi

po brzeg wypełniasz i jaśnieję  
a ponad nami ciemność gaśnie  
ostatnie jeszcze czujesz drżenie  
kiedy nawlekasz mnie na palce

## Moknąc

chodźmy na spacer  
w deszczu skosztujemy  
kropel roztańczonych  
na podniebieniach  
wymieszamy smaki

przyłgniemy mokrą czerwienią  
a niebo wyszepcze za nas  
i schowa się za tęczę

## Kamil Jakub Rousseau

/justyna/

...Kamil przygotowując czytelnikom swój pierwszy tomik nazwał go „niepokorną duszą”. Tytuł jak ulał pasuje do tego twórcy, bo już jako Kosur–anonim (pseudonim) był niepokornym felietonistą, zwłaszcza gdy jego fantastyczne felietony publikowane na łamach „Komu i Czemu” podnosiły adrenalinę czytelnikom, a mnie jako redaktorowi naczelnemu sprawiały wiele kłopotów.

Niepokorny Kamil jest jednak twórcą o ogromnej głębi duszy. Dziwne, że jako inżynier pisał wiersze, a także interesującą prozę. W zaprezentowanym tomiku w zasadzie można dostrzec cały jego charakter, który raz jest wielbicielem miasta, w którym mieszka, a drugi raz „nie jest miłością ani miłosierdziem”. Poszukuje przyjaźni w rozmowach o kwiatach, ptakach tylko dlatego, aby usprawiedliwić gniew, jaki go czasem dopada.

Zanim Kamil stał się moim autentycznym kolegą przegadaliśmy ze sobą wiele godzin na spotkaniach przy małej czarnej. Podziwiałem tego technokratę właśnie za umiejętność samokrytyki i rzadko spotykaną sztukę kpienia z własnych niedoskonałości, bo przecież nazwanie siebie zwykłym błaznem i zarazem postawienie publicznie pytania, czy jego „sfastrygowane” życie czasami nie było pomyłką lub błędem, o niczym innym nie świadczy.

Kamil, jako twórca tomiku, nie boi się zaatakować Małego Księcia za jego doskonałą mądrość, nieskażoną dorosłością i politykierstwem, nakazując mu w ostatnim słowie: „nie wychodź z bajki gówniarzu”, przewidując, że jego doroste i nie bajkowe życie może stać się koszmarem na jutro.

Mógłbym o poezji Kamila napisać co najmniej pracę naukową, ale myślę, że nawet najbardziej doskonała próba oceny jego poszarpanych myśli nie będzie w stanie docenić tego niezwykle utalentowanego poety. Trudno mi jest ocenić fakt, że to on właśnie powierzył mi recenzowanie swojej pierwszej książki, w której można znaleźć przekrój niemal całej jego twórczości. Trudno tym bardziej, że niemal przez cały okres naszej współpracy, ostro krytykowałem to, co pisał, ale jednocześnie jego twórczość mnie szokowała.

Twórczość Kamila skłania do głębokiej refleksji i nikt po przeczytaniu tej książki nie będzie miał wątpliwości, że tak jest. Dlatego gorąco polecam „Niepokorną duszę” niepokornego Kosura, który drżącymi strofami skierowanymi do czytelnika poprzez prowokacyjną nienaturalność, odpowiednie dozowanie atmosfery, mącenie w głowach, próbuje wzniecić odbiór jego poezji i prozy, by stała się przestrożą przed otaczającą nas rzeczywistością.

Jestem szczególnie usatysfakcjonowany tym, że te kilka słów od siebie mogę подарować szlachetnemu Kamilowi i wszystkim czytelnikom.

Maciej Konrad Ziemiński – dziennikarz

## Przesilenie

nie kwiaty wędną – to wędnie pióro,  
dżdżu mi potrzeba lub kropli rosy,  
chęć widzieć przestrzeń i błękit nieba  
chęć słońce zgasić potęgą głosu.

trudno być wieszczem w skłóconym tłumie,  
przewracać góry umysłem wątlym,  
poeci tego nie chcą zrozumieć,  
bo czar tworzenia ich zmysły zmącił.

szaty odwracam na inną stronę,  
minę ustrajam marszem poważnym,  
myśli gęstnieją w pomruku ciszy,  
lecz ciągle jestem w tej tłuszczy błaznem.

poeto skromny, siądź na kamieniu,  
otwórz mi serce duszy wytrychem,  
zrozum człowiecze trudy istnienia,  
usłysz to wszystko, co wewnątrz ciche.

a ty erato – córko zeusa,  
utul me myśli w stanie uśpiania,  
może po latach tej hibernacji,  
serce poety wynurzysz z cienia.

## Psychomachia

może trzeba myśli wybatożyć  
serce wypełnić barwami szczęścia  
a tęczy dodać siódmy kolor

spójrzaj – tam tworzy się nowa jakość  
embriony tracą kod genetyczny  
trwa walka o zniewolenie – o prawa elit  
hegemonię szelestu mamony  
unicestwienie nadprzyrodzenia

nie milcz – daj ustom swobodę  
bezradność rozumu nie otworzy nieboskłonu  
nikczemni zdepczą szlak ludzkich serc  
w zgłiszczach nieskazitelnej niemocy

## Gdzie jesteś Mały Książę

nie wychodź z bajki gówniarzu  
 piaskownica zbyt ponętna a wszyscy chcą być prezydentami  
 Alice's idąc w niewłaściwą stronę dostała pierdolca po obłąkanej herbatce  
 nawet szalony kapelusznik przeistoczył się w marcowego zającą tańcząc  
 kadryla z homarami. tylko pan dodgson ma problem po której stronie  
 lustra ma stanąć by bajka była doskonale świrnięta

nie odchodź z kart książeczki  
 dorosłość przeczy pojęciom empirycznego rozwoju  
 babki w piaskownicy tworzą logiczną całość bezsensownej logiki  
 udają galaktyki sennego wszechświata z don kichotem na karuzeli  
 kręcąc pirueta wokół okrągłego stołu nadają mu biesiadny wymiar  
 koniec zwijają do początkowego ustawienia władczego amoku

nie wychodź z bajki gówniarzu

## Drugie ja, czyli jak pisać wiersze

w malinach azył?  
 a idź do diabła i nie wódź na pokuszenie  
 przecież mam zajęte ręce i potargane myśli  
 pustką otoczenia nie da się pisać wierszy

chabrowe niebo wróży upały  
 nie wiem czy potrafisz je codziennie znosić  
 strzelają wtedy korki szampana tworząc bąbelkowy świat

kto powiedział że krzyczę  
 przecież kolorowe sny to moje alter ego  
 żywiące się kroplami rosy z dzisiejszej nocy  
 ta mgła nad pustymi łąkami to sygnał że nadchodzi

podaj mi ręce  
 zakrzykniemy na cały ogród  
 niech słowa pospadają z wierchołków drzew  
 pozbieramy je w stary wiklinowy kosz z dużymi dziurami  
 te trudniejsze zostaną z nami a piękne popłyną naszymi gondole  
 między nas – między was – w dolinę niespokojnych snów  
 w baśniowy świat kolorowych rozsypywanek

**Bar w oparze (z cyklu „Znikające obrazki”)**

rozmowa piwna woń roznosi  
 miesza się seks z zapachem zosi  
 barmanka krok swój trzyma dzielnie  
 szalejem dzieląc nie-podzielnie

bilonik brzęczy melodycznie  
 przy jednoręczkach – także ślicznie  
 odziera tępych z wielkich złudzeń  
 przestali myśleć już o cudzie  
 na dziś na jutro i na wczoraj  
 na dziś  
 a kysz a kysz

błądząca wzrokiem ruda tola miedzi słowa  
 w kącie z kąta i od początku na zaczątek  
 po to by ględzić – by za piwko  
 oddać dziś wszystko  
 wszystko wszystko

a na zapleczu jest seks tani  
 padają słowa ani ani  
 ania już leży słów nie liczy  
 bigos się wala po spódnicy  
 i kasi kęski gość bogaty  
 chce dłużej zostać  
 bo do chaty  
 nic go nie ciągnie  
 tam jest ona  
 dzieci rozdarte (zdarta żona)  
 miłość już zdechła sprawiczona  
 po tym jak farsz przy niedzieli  
 spoił im ręce w swym kościele  
 a kysz a kysz

po co ten krzyż i jemu wierność  
 miłość już zdechła – nie pazerność

libido gniotą gacie brudne  
 dziewczę pijane ale cudne  
 cudna beztroska łechce duszę

wiem że niedobrze ale muszą

na pół na pół  
bruzdy po petach mierzą stół

na stole czkawką się zalewa  
janka stachury czarna ewa  
(stachura zmarł zeszłego roku)  
ma mu postawić piękny cokół  
przyrzekła szczerze to nad trumną  
więc jątrzy gościa pupą dumną  
ale klienta to nie bierze  
(sobie nie wierzę – jemu wierzę)  
on nie chce pupy ale usta  
a w ustach piwo i kapusta  
i zapach tego co ją boli  
i wszystko to co ją międoli

a jutro?  
jutro z nowym smakiem  
zapachnie starym kapuśniakiem.

## Aż do końca

synu milczysz  
jak kamień który uciska ciebie i jego serce  
lecz miłość ojcowska mocniejsza od śmierci

nie potrafił się skupić poza  
odkładał spragnioną dotyku rękę i myśli  
muśnięcia warg tonęły w milczącej ciszy  
oczy rozdzierały wspomnienia wydobywając z głębin  
zapomnienie – zwodząc nadzieję że znowu razem  
przez wszystkie samotnie spędzane chwile

tulił delikatnie płową myśl jak wtedy gdy byli razem  
teraz też jest blisko ale granit jest nieprzepuszczalny  
wspomnienia wygaszają się z każdą chwilą – pełzną wolniej i wolniej  
nieporadnie z chaosu wydobywając mgławcy nieokreślony obraz

ślepy wzrok zwrócony w nicość skrywał uczucie nieobecności – dlaczego

## Testament bestii – czyli mój

duszę się  
 pętla zaciska gardło  
 podaj rękę zbłąkana duszo  
 gwiazdy wciągają na nieznane orbity  
 pochłaniają moje ego  
 pazernie kawałek po kawałku

stop  
 dość mam zniewolenia  
 nie jestem pupilem bogów lecz ich antagonistą  
 nie jestem władcą cyberprzestrzeni lecz jej destruktoorem  
 piętnem tego co piękne – ulotne – nieprzeniknione  
 jestem przestrzenią uwięzioną w bólu  
 jestem krzykiem potwornego zaniechania

przeklnijcie – błagam  
 skruszcie w pogardzie plugawe ciało  
 truchło rozsypcie na śmietniki świata

niech zapanuje nicłość

## W pustce utraconego czasu

w spoconych oknach drżały kandelabry  
 potęgując grozę chichotem błyskawic  
 raz z lewej raz z prawej podpalając uczucie oczekiwania

tam  
 na zewnątrz zostawił swój czas i wspomnienia  
 zieleni sadu i przemykającą między drzewami postać  
 wyznaczającą terytorium delikatnymi stopami  
 zapach którego barwy wryły stan pożądania

dzisiaj  
 cienie wskrzeszane błyskiem  
 przypominały historię która nie potrafi wydobyć kontrastu  
 na przekór myślom które poszukują kontaktu

jutro  
 znów będzie wypatrywał zaginionego czasu  
 nie potrafił przecież kochać  
 teraz tak bardzo pragnie

## Janina Barbara Sokołowska



Co chciałabym o sobie napisać? Urodziłam się i wychowałam w małym miasteczku Żychlin, w województwie łódzkim. Gdyby ktoś zapytał od kiedy piszę wiersze, odpowiedziałabym: od zawsze. Cieszę się z każdego przejawu zainteresowania moją twórczością, z prezentowania wierszy i recenzji w prasie, TV, na antenach radiowych m.in. w Pr. I Polskiego Radia w audycjach *Strofy dla Ciebie* i *Strofy na dobranoc* – czyt. Zofia Kucówna, w Radiu Katowice w audycjach *Poczty poetyckiej Macieja Szczawińskiego*, Radiu Łódź, Radiu Piekary Śląskie, Radiu Plus. Między Łodzią a Warszawą.  
Dlaczego piszę? Cóż, to jest moje życie.

### ^w objęciach^

tutaj nic nie jest proste  
rozmowy trwają już poza *kocham* odłożone na potem;  
wierzyłam że odsułam przeniknę; czego nie chciałam  
uczę się zapominać;  
autystyczne chwile kołyszają w przód w tył w przód;  
karły tańczą z diabłem między smugami  
*przyzwyczaj się do ciemności która tak zachwyca*;  
nocą palę światło proszę siedź blisko  
wiem nie mam prawa o tej godzinie nawet papuga śpi  
obok różańca otwartej biblii; litery wspak jak klepsydra

papugę obejmiesz łatwiej;

**^handlarze starociami^**

oto antyczne lustro z salonu żony ludwika XIV;  
 przeblęski matowych plam pragnienie wymazania krawędzi;  
 ta kobieta udaje że nie słyszy targowania o cenę  
 połyka zimne światło atlasu od wewnętrznej strony  
 nie sprzedaje go zbyt tanio za darmo;  
 coś przeciągam cię na stronę między światłami  
 odwracam słońce w ciemnych fałdach jest teraz lato  
 krew krąży szybciej jesteś w miejscu o którym jutro zapomnisz  
 że byłaś; bo tylko świecący pył na skórze będzie prawdziwy  
 szeleszczące łuski syreny widły neptuna nadziane na perły  
 i rysa na tafli lustra jak okrągła pieczęć na tajnych listach;  
 może niebo bardziej niebieskie mocniejszy rumieniec  
 na twarzy latarnika czekającego na wielki przyptyw  
 wystarczający na dowód obecności;  
 kim byłam czy wszystko rozgrywa się poza ramą  
 czym byłam papierowym echem książki  
 pół-kobietą pół-rybą echidną katem joanny d`arc  
 kup lustro wtedy się przekonam; zamknę wieko;

**^ostatnia noc chochołów^**

zbuduj swój kraj z pancerza skorupiaków;  
 ściany z sierści dzika dach z mocnego rzemienia;  
 przejdź przez antywłamaniową szybę nie naruszając stropu;  
 wytrzymaj wilgoć belek i stań się stalową magnolią;  
 z parkingu odpraw amfibię pozbądź kołyszającego promu  
 następnie dni bez kartki zastąp słońcem na sznurku;  
 wieczorem pij czekoladę albo kawę z pianką  
 odprężona śmieje się z rozwieszenia między krzesłami  
 a potem jakby nigdy nic zamknij teatr chochołów;  
 po akcie z duchami tylko marznące cienie listopad  
 odcina im dłonie jak skrzydła samolotu;

### ^w rytmie czardasza^

tak podcina się gardło  
widziałam jak szarpiąc łańcuch chciały uciec  
na drugą stronę napisu *ubojnia*;  
bo skąd sól w pojemniku zanim wyparuje  
dziura na wylot w dnie  
a szyba jest między karkiem a żwirem  
przesuwa się wagonik ładują kadłuby pokryte błoną  
szare słoje trafiają na półkę z formaliną  
i budzą mnie każdej nocy

kurczę się do wielkości leukocytu;

### ^muszel^

jednak nie rozróżniasz pojedynczych sylab;  
dźwięk w dźwięku jakby trąbka grzechotka róg  
szum dochodzący z odległego oceanu podłogi sufitu  
kiedy spada na głowę i rozmywa w wodzie;  
z izolatki w której nieznośnie głośno bije puls  
przestraszonej koldry słoika z moczem jak miodny owoc lotosu;  
*skoro jednak ktoś zje lotosu miodny owoc już ani  
wracać nie chce do ojczyzny ani dać wieści o sobie\**  
jesteś muszlem na długo zakopanym w piasek  
zanim wydobędzie się odleży nabierze świecenia;  
lecz do wyboru jest ogień rozkosz przybranie kształtu  
ale to nic skoro nikt nie wskazał konkretnego miejsca  
jak wyciągniętej dłoni spoza straszących drzew;  
czy wystarczy ci *miasto latarni*  
wpół drogi między plejadami a hyadami;  
twoje otwarte na oścież usta  
muszlu;

*\*Odyseja – tłum. J. Parandowski*

**^z ostatniej chwili^****World Trade Center – 11 września 2001**

wspomnienia bołą ale nie ma  
nic gorszego jak zapomnieć;

chcę się napić chcę wyjść skoczyć z okna  
inni skaczą jeden za drugim;  
w nocy widziałam ich szli na północ  
wszyscy papierowi;  
nie muszę zapisywać ognia paniki ucieczki  
patrzyłam w górę; nie muszę pamiętać  
papier szybko zgnije;

**^dzisiaj^**

weszła mi w oczy czeremcha  
bielą do szpiku kości;  
las i tylko gdzieś hen wiatr unosi  
wiotkie ścięgna w modlitewne kręgi  
w czarną dziuplę w której nikt nie mieszka  
chowa ludzkie kopie;  
rachuję to drzewo zlizuję pośniegową deszczówkę  
rozpalam szczapy strzelają w górę  
nie wierzę własnym oczom

gołąb;

**^królowa śnieżka się budzi^**

kiedy rodzi się dziecko mówisz  
– niech śpi spokojnie uśmiecha się bawi  
czeka na księcia nabiera papierowej cery  
z jagnięcia po zwierzę z czułości po złość;  
musi być jak zakrzywiona przestrzeń wskutek grawitacji  
płaskim wklęsłym górzystym terenem po którym  
zjedziesz z góry na śnieżnych nartach oznaczysz szlak  
stukając w skatę solą i białą laską;  
bo musi być jak krzywe zwierciadło  
zabić muchę nadmuchać żabę przez słomkę  
rozkoszą ugnieść trawę zonglować wiarą jak piłeczkami

oddychać nie w porę słodkim oceanem;  
 potem nadgryziona jak jabłko robaczywe od dołu  
 pół-dobre pół-trujące pół-zielone pół-czerwone  
 śpi słodko w koszyku przebiegłej czarownicy;  
 obudzę cię uratuję mocno usta w usta  
 a ty już bez wykrętów opowiesz o tamtej ojczyźnie

i o czarach;

### ^kontury^

nie zabieraj ognia  
 nie rzucaj w rozpierzchtłą rzekę  
 na pożarcie bijących ogonów smoka;  
 gęsty dym nad głową krąży  
 nie ma przed nim ucieczki;  
 najważniejszy głos ma wysoka owczarnia  
 trójmiasto-pomnik cierpliwy jak woda;  
 niczego nie trzeba oczekiwać samo przyjdzie;  
 ostatecznie rację miał wojaczek;  
 kiedy piach nabiera innego znaczenia  
 i sił braknie *bywa się czasem skrybą czyli grafomanem*  
 o zadziwiająco łatwym obrazowaniu;  
 przy pomocy chrustu można wejść  
 w sam środek stosu;

### ^przyzwyczaj się do zgonów^

ona o wyglądzie chudzielca  
 każdego dnia pisze swój poemat;  
 po raz kolejny rozdziera słoje podłogi  
 miskę w niebieskie szlaczki (dla niej nic nie znaczy  
 szloch ani śmieszny nałóg palacza  
 sięgającego po trzecią paczkę marlboro);  
 co byś zrobił zabijając z czułości  
 czy to sen czy prawda że trzeba prosto w serce  
 gdy jednostajnym wyciem na trzy a potem na dwa;  
 za chwilę ten poemat się skończy  
 będzie śnił górską wycieczkę  
 igłę w pewnych rękach weterynarza  
 miłość jak kąpiel pod prysznicem;

**^w cztery oczy^**

siedzą naprzeciw patrząc sobie w oczy  
 ta wyższa to urodzona aktorka;  
 biega wślizguje pod kołdrę odsłania w uśmiechu białe zęby  
 częstuje słonymi paluszkami; ty milcz jak budowla z piasku  
 na nic ci syrop malinowy przy łóżku; śnij bez świadków;  
 czy jest sens szukać prawdy to niczego nie zmienia  
 nie wysrebrzy drugiej strony weneckiego lustra;  
 nic nie mów nie budź ognia nie obejdiesz mnie od tyłu  
 jak sztucznej perły wydlubanej małży; być może dowiesz się  
 gdzie spoczywa czarna kula na głowie bogów  
 dzisiaj kwas wypala ci oczy zastania strach nic nie widać;  
 co do mnie nigdy nie miałam kosy nie udawałam boga  
 nie byłam naiwna w roli kasandry; nie pragnę wiele  
 mogę żyć bez radości autoperswazji gdzie indziej;  
 śpij mała dziś jeszcze śnij słodką tajemnicę;  
 nie ma bardziej pachnących róż niż te na twoim stoliku;

**^dźwięk-płacz^**

chmury suną jak przeciążony parasol  
 między cmentarnymi alejkami; znać jesień i deszcz  
 tak samo stuka w marmur jak w szkło lustro łopatę  
 w rękę grabarza kończącego pracę; przyjdzie jutro  
 gdy wiatr na nowo okręci szyje napełni liśćmi foliowe worki  
 wygładzi wyrówna miniaturowe domki jak pudełka z lalkami  
 wyniesione na strych;  
 co sobie myśli pozostawiona w dole łopatą gdyby umiała myśleć;  
 czy wysłizgana do gołej blachy wie że każdy ruch w głąb  
 to mniej o jeden promyk słońca;  
 co mówi gdyby umiała mówić człowiek zakopuje człowieka  
 to takie straszne; a potem zaschniętym ziarenkiem piasku  
 zapłakała nad niedokończonym królestwem

i nad tym że jest łopatą

# Wojciech Szczurek

*/pasikonik/*

Ur. w 1969 roku w Mielcu. Pisze od 2009 r. Wydał dwa tomiki: *Wyśpiewać Zdziwienie* i *Muśnięcia*. W przygotowaniu: . Teksty były również publikowane w prasie regionalnej i miesięczniku *Bieszczady*. Pisze również piosenki, gra i śpiewa.

Mieszka w Mielcu, w Bieszczadach spędza czwartą część roku.

## **nuda na kolację raz proszę**

nie wolno zbyt długo przy kominku  
płomień mrozi wspomnieniami

ból przemierza ciało od końca po świt  
drwiąc z barier stawianych przez niedowierzanie

wyjście  
straszy stalagmitową szczęką  
rozczarowań

jedynym pragnieniem bułka z masłem  
że wczoraj to samo  
tym lepiej

wstać  
dawno przetarta  
ścieżka do piekła za życia

*kowalski*  
*twardym w życiu trzeba być*  
*nie miętym*  
*twardym*

## zawieszono modlitwy o koniec

znowu  
czarniejsza niż bezgwiezdna noc we śnie  
odwiedziłaś koszmar samotności bez klamki  
by oberwać liście z zapomnienia  
to nic że od dawna nie padał deszcz

zły sen miał trwać z kaktusem na pustyni  
przynajmniej jutro było wiadome  
zawieszono między gromem a ziemią

teraz powietrze przesycone niepewnością  
drży ze strachu przed kolejną burzą  
miód ma metaliczny posmak

*czasem modlitwy zostają wysłuchane  
którą wyklęczę dziś*

## słowo – cząstka elementarna

bywało święte górnołotne  
nawet Bogiem

nie istniało bez myśli  
vice versa zresztą też  
przez wieki

wynaleziono druk  
skończyło się kaligrafowanie  
dokładna obserwacja procesu powstawania znaczenia

potem w ruch poszły maszyny  
bezmysłne tak tak nie nie  
nic tylko spijać jedynie prawdziwą wiedzę

tak spada do dziś w rankingu wartości  
coraz łatwiej lepić z liter  
pustaki

## **jaki aktor taka rola**

dziwny ten film  
trudny scenariusz obce słowa  
dla aktora z dzwoneczkami

musi wymawiać tak i tak i tak  
jeszcze raz  
reżyser jest stanowczy –  
ten uśmiech błędny  
ma obejmować tylko połowę twarzy  
resztę zachować dla politowania

i poloniści  
tu i tu błąd  
przekreślają niepoprawne słowa  
wybaczamy – to pewnie wada wymowy

dziwny ten film  
może lepiej wyjechać do czech

## **wierszokleta zapomniał po co i dla kogo**

słowa  
portrety przekwitłych madonn  
w wytartych do czysta popielniczkach  
plują gwoździami niezrozumiane  
wypinając się ostatkiem sił  
*my poezja*

chwila chwały  
przed wysypiskiem  
i kiśnięciem wśród podobnych

*wydęte policzki*  
*czas przekłuć*

*albo przymknięte oczy*  
*i błoto między zębami*

## przybądź

czasem błądzisz daleko  
 obce światy poznajesz  
 i nie wiesz co wymyślić  
 by tylko odejść w niepamięć

pragniesz krzykiem zbudować  
 tamę co przestraszy rzekę  
 zmęczona dni zabieganiem  
 zamykasz oczy a przecież

ref: tu dla ciebie spadają liście  
 i kładą dywan ze złota  
 dla ciebie buk się zawstydza  
 połonina we mgle się chowa

polany tańca czekają  
 potok brzegi obgryza  
 ze strachu – czy powrócisz  
 i pajęczyny pozrywasz

pokrzywy budzą z uśpienia  
 sny pragnące wolności  
 przybądź wreszcie o pani  
 w wietrze co z kolan podnosi

nie błądź więcej ktoś czeka  
 przepędź górala z prognozą  
 gdy zimę świata obwieszcza  
 przybądź do mnie i pobądź

## **iluzja**

*jestem umiem będę zrobię*  
iluzja rzecz niezbędna  
bez niej szynka na wielkanoc  
czasem

niebezpiecznie spacerować obok mostów  
między diamentami  
rzucanymi pod wreszcie wyrównany krok  
że w rytm uludy  
i co z tego

nie oszczędzają nawet kolan

narysujesz tęczowy parasol  
a zachwyci się wrześnieniem  
i z uśmiechem mony lizy  
będzie rozrzucać żołędzie

## **\* \* \* (czasami ptaki)**

czasami ptaki  
potykają się o krzyże  
gdy ramiona uniesione za wysoko

zostaną za mgłą

przez pięćdziesiąt lat  
może sto  
może

*Katastrofa w Smoleńsku 10 kwietnia 2010r.*

## **zwierzenia niedzielnego wierszoklety**

*Forumowiczom Postscriptum*

przepuszcza przez pryzmat codzienne spaceru  
rozszczepiając rzeczywistość na nieuchronność przemijania

na zbyt krótkiej ławce czeka  
miesiące przechodzą trójkami  
co rok szybciej  
zakładając mu okulary o różnych barwach  
i zmiennej dokładności

czasem obniża poziom krwi we krwi  
gdy zbyt doskwiera samotność

wieczorem  
w wirtualnym świecie  
prosi o zrozumienie  
niepotrzebnym zaimkiem

## **mimo ciemniej bądź**

zieleń tej wiosny  
nowym odcieniem czerni

zawieszony na piętach spoglądam na odpływ  
przyciągany przez dwa księżyce  
efekt astronomiczny dostrzegalny przez butelkę  
prawie pustą

a na zieleń deszcz  
pac pac pac  
taki fajerwerk

gdy trącamy się cierpieniem

# Julia Natalia Wasielewska

*/jestem\_Julią/*



Mieszkam w Żninie. Życie nauczyło mnie tego, że choć żadnego dnia nie mogę zatrzymać, mogę żyć tak, by żadnego nie utracić. Chciałabym podziękować za wszystko trzem cudownym osobom – pK, K. i M.

## Nie wrócisz

Jak powiedzieć mi, że  
już nie wrócisz

Zbyt zielone słowa  
Jak powiedzieć Ci, że  
Wszystko  
Tylko nie nauczyłaś mnie zapominać

\* \* \*

wspomnienia  
potłuczonym szkłem  
w żyłach

na nadgarstkach  
krzywe linie blizn  
kreślą niedokończoną śmierć  
jak kruchy wielki sens

czerwona stróżka historii  
spływa dłonią

## Ty

uczę się latać na Twoich skrzydłach  
jeśli mnie zrzucisz – spadnę i życie stracę  
lecz warto  
za te chwile w powietrzu

nienawidzę świata w bieli i czerni  
Ciebie poznałam w kolorach

## Dowód

kocham Twoje usta opowiadające mi świat  
nie widzę – wierzę

krople rosy na rzeszach  
znaczą istnienie deszczu

słowo dowodem istnienia  
oczy stanowiące o miłości  
nie muszę wierzyć że jest świat  
wystarczy, jesteś Ty

## Motyl

motyle krótko żyją  
pojawiają się znikają  
umierają pod osłoną nocy  
trzepocząc cicho kruchymi skrzydłami  
ronią łzy bezsilności

chcę być motylem  
lekkim chudym zwinnym  
wśród kwiatów i pod wiatr  
a widzisz, motyle krótko żyją

porażką odejść  
klęską zostać jest

kolejny taniec złych obrazów przed snem

## **Anioł**

– Ludziom nie wolno kochać Aniołów.

zaryzykowałam

kochanych słońc w oczach  
słów minut łez  
nikt mi nie odbierze

chcę Cię mieć jedynie dla siebie  
choć to nie posiadanie jest definicją miłości

nikt nie jest nam dany na wieczność  
musisz odejść

– Nie zostawiaj.

pozostało skrzydło  
i trzy piórka na poduszce

## **Przed końcem**

mówią – przedstawienie musi trwać

opuszczę kurtynę tuż przed końcem  
by nigdy więcej nie modlić się  
do trwania bez sensu

aby krzyk zimnej filiżanki  
z wciąż ciepłym uchem  
nie znaczył historii  
wypisanej na nadgarstku

przyszedł ktoś – odszedł ktoś  
– tak w życiu umieram

## **Zawierzyłam życie nadziei**

Nie mów – wszystko mija  
jak opadną liście z drzew

Tęsknimy kurczowo tych których nie ma  
umierając tych którzy pozostali

Krótką wieczną podróż  
Jedno tylko w pewności niepewnej  
Zrozumiesz gdy stracisz

## **Filizanka**

z samotności  
filizanka krzyczy  
dźwięk tłuczonego szkła

życie odeszło nocą  
przysypując cmentarz  
pogrzebanych żywcem nadziei

przeминаją aktorów łzy  
na cmentarnym teatrze  
dzień po przedstawieniu

życie minie dalej  
tocząc błędny krąg  
bez niej lub z nią

## Rozstanie

rozstanie  
minuty wspomnień warte beznadziejnych lat

wychodzisz  
poczekaj, mówię

zapomniałam Ci powiedzieć o miłości

nie musisz, odpowiadasz, wiedziałam

## Motyłu

nie myślisz  
i nie musisz rozumieć słów  
kiedy ostatnie hurra  
będzie naprawdę ostatnim

pozostawiony by zapomnieć  
mijas  
powracania Ci oszczędzono

obiecaj  
ostatni raz odchodzisz,  
Motyłu

## Prozą

Tęsknota  
 jest niczym szybowanie na skrzydłach z marzeń,  
 niczym lot wstecz,  
 po śladach mokrych od łez niespełnienia wspomnień.  
 Budzi się zazwyczaj w nocy,  
 niczym ćma – wie wówczas, że jest bezpieczna,  
 że spokojnie może odbyć swój conocny lot,  
 by o świcie poranka znów osunąć się w nicość.

## Gdzie sens

jak można wierzyć, że jest sens  
 jak wytłumaczyć czyjaś śmierć  
 ile uronić można łez  
 czy gdzieś istnieje cierpień kres  
 gdzie się uchował życia sens

podobno gdzieś tam szczęście jest  
 podobno szczęście  
 podobno

jak wielu ludzi musi zamknąć oczy  
 by jeden człowiek zaczął widzieć

## Leszek Wlazło



Płyną po ścieżkach zadumy, mimo że nieco inne, to jednak klasyczne słowa z moich asonansowych spojrzeń. Lubię pastele i chyba dlatego nie umieszczam krzyczących barw w nieregularnych odbiciach myśli. Wieczorami rozmawiam z ciszą. Dawniej spieraliśmy się, a dzisiaj jej kojący dotyk owocuje poezją. Jesiennieję posrebrzonymi liśćmi. Czas coraz szybciej pędzi, a ja na przekór, uczepiony jego poły, budzę uspione pasje, które przemalowują grymas w uśmiech.

### w omszałej

niedoskonałe doskonałości  
oddechów lustra zniekształcone spojrzenia  
czas odrobinę pieśczętą okpił  
jednak pomimo wizerunek piękniał

może to pocałunek świecy  
zastygły w rozbłyszczonej z oliwki  
półmrok z bezwstydem na dywanie grzeszył  
zachwycie nie milknij

bukietem w dłoniach jak w lampce aromat  
niepomne wieku prężą się kocie ruchy  
skropione wdziękiem dojrzałe jest ponad  
nęci podnieca i wie jak wzruszyć

## za parawanem

rozsuwam kotarę mrocznego zamyslenia  
wbiegam na łękę porośłą nierealnym  
nie ma dramatu zapisanego w ślepiach  
pyszną się wonne barwy

beztroska rozłożyła piknik  
była naga i piękna jak w *śniadaniu na trawie*  
niechcianemu nakazałem zamilknij  
brudne łapska z enklawy wyciszenia zabierz

odpoczywam przytulony do podobnej  
iluzji bo tacy ludzie nie istnieją  
z dala od nienawistnych spojrzeń  
rodzi się przełom

## rozgrywka

siadłem do pokera pozbawiony mimiki  
prawie pewny swego wyciągnąłem cztery asy  
strach szyderyczym spojrzeniem ślad triumfu wykpił  
chichotem jednokolorowe zakrył

znaczone wyjawiały prawdę  
a jednak brnąłem szaleńczo ku ułudzie  
w pociągniętej piątego jak we śnie znalazłem  
pewny wygranej trzymałem by nie uciekł

nie miał odwagi wypowiedzieć sprawdzam  
przeciwnik zaprzężony w kiero  
czuję wyzwanie w rozłożonych kartach  
próbuję wierzyć

## rozmowa z cieniem

patrzę na migoczące płomienie na wodzie  
w odbitą przyszłość rozświetlonych pragnień  
pytam jak wróżby czy to tylko senne powiedz  
czy mogę dotknąć omamów na jawie

czuję choć często krzyczą puste ręce  
skamlą z wyrzutem niewypełnione kształtem  
zrywam i słyszę jak opadają z chrzęstem  
nie śmiałem sądzić że będą łatwe

zmienia się postrzeganie chłopca  
a jednak widzę plamy szczęścia w kałuży  
wierzę że kiedyś po raz ostatni powiem zostań  
zasypiam z prośbą niechciany upłyń

## antidotum

spomiędzy chłodu wydobywasz łagodne fale  
które po burzy nawet jednego słowa  
niosą wciąż drżące wygładzić toń chciałem  
nie jest to proste ale pozostań

przenikaj w senne wyobrażenia  
nie wiem jak z nocą weszłaś w bliższe związki  
byłaś w odsłonach ponawianych przemian  
i nie zniknęłaś kiedy świt mrok strącił

można wariactwem nazywać tęsknotę  
do przebiśniegów co na przekór śniegom  
z pozoru słabym przebijają odmęt  
bardzo chcę wierzyć że w szaleństwie wiedzą

## szczególna pora

z wiekiem czułości zaprzętąją myśli  
kiedy potrzeby coraz mniejsze tego nigdy dosyć  
wiesz jak to zrobić tak więc skrzydła przypnij  
wypełnij sobą i obrazem oczy

pewien paradoks że wiosna jesienią  
może owocować kwitnieniem bliskości  
jest przejawem więzów które trzeba przeciąć  
magicznym słowem dotknij

jesz zaskoczenie na obiad i śniadanie  
bywa że także na kolację  
jesteś w podróży proszę i mnie zabierz  
zabliźnij ślady draśnień

## niezwyczajnie

kawa po przebudzeniu miała smak poziomek  
świeżo narwanych na łące beztroski  
przytulona senność nie zamierzała odejść  
ziarenka chwili zachęcały dotknij

cisza mieszała się z muzyką  
czasami obraz był na pierwszym planie  
bywało że i tapczan skrzypnął  
z materii nowe modelował krawiec

ręce wskazówki przybliżyły jutro  
jeszcze nie jesienne malowane słońcem  
spokój kolorytu pododawał ustom  
w zmierzwionych zaplątał się oddech

## **niespójne**

wśliznąłem zachwyty za koszulkę skromności  
ciszą dotknąłem rozgadane gesty  
słał zaproszenie niestarzejący się młodnik  
jakby tożsame zwierzył

nie chcę poklasku lecz bardziej w spokoju  
na kanwie wyszyć periodyczne chwile  
pragnę nieznaną bliskie tęsknocie poczuć  
zakleić nowym pola zniszczeń

czasami myślę że to nie istnieje  
bo jak uwierzyć w powtarzalność łańcucha  
to pewnie losu jakiś dziwaczny przekręt  
lecz jakże miło czuć go na ustach

## **niestrawne**

liściem zadumy błędę po uśpionych  
na chwilę z biegu wyrwanych ulicach  
gdzieniegdzie mroczne rozświetla płomyk  
noc nie potrafi być bliższa

straszą cieniami mijane zaułki  
za rogiem czai się lepka ciemność  
wciąża przeraża nie zamierza puścić  
wykrzywia spierzchłą

płynę strumieniem bezsennej nostalgii  
z myślą gram w karty o wszystko  
szydzi zbyt pewna próbuje nakarmić  
bezkolorowym niezwykłą

## **kamień węgielny**

dajesz mi więcej niż mógłbym zamarzyć  
z niedowierzaniem przyjmujesz wyznanie  
trudne w dotyku staje się łatwym  
gesty wpisuję w pamięć

chciano zarazić jeszcze żywe próchnem  
intuicyjnie nie wierzyłem sentencji  
komuś udało się domknąć puszkę  
bzdurne twierdzenie przekreślić

można budować z niełatwej cegły  
ściany co trwalsze są od betonu  
nic to że eden jest jeszcze odległym  
warto na drogę zaplecione podkuć

## **diapozytywy**

żyjemy w świecie pogmatwanych linii  
niektóre prężą się bez zbędnych odchyżeń  
inne splotami potrafią zadziwić  
bezduszna igła nieprzerwanie szyje

powstają wzory niepodobne do siebie  
łączą się nitki splątanych przeciwieństw  
bywa że nagłe zbyt napiętą zerwie  
i pozostaje tylko imię

zmienia się kanwa ubrana w kolory  
wygląd materii zmierzającej do kresu  
czas by szeroko oczy otworzyć  
oddalić wizje przeczuć

## Danuta Zasada

*/Nuta Niepokorna/*



Pryzmaty wersów – to moja swoista próba zbalansowania tego, czym rozpędzony świat próbuje mnie storpedować... A może tylko poszukiwanie definicji istnienia...

Piszę chwilą i miejscem. Jak pamiętnik, któremu czas wyznaczył rolę terapeuty...

Wszystkim, którzy odnajdą się w moich słowach, dziękuję nieskończenie za ogromnie ważną dla mnie kompatybilność dusz :)

### bez odwrotu

może nim czas uderzy w bramę  
albo się wiatru zerwie pasmo  
okiełznam gniew oswoję zamęt  
i wszystkie skoble się zatrzasną

i wszystkie schody się rozbiegną  
po prostych słowach bez poręczy  
nie strzeli w biegu żadne ścięgno  
spiekota słońcem nie udręczy

świat się nie skończy za zakrętem  
a Bóg nie zechce nowych żali  
tylko mnie trzymaj wciąż za rękę  
żeby się płomień nie dopalił

a jeśli iskrą będzie chłodno  
kilka przechowaj w słów przemycie  
na ten wpisany w gwiazdy odlot  
lot w jedną stronę – zwany życiem

13.09.10.

## u podnóża wieży Babel

dotykam istnień – raczej z przypadku  
na skrzyżowaniach miejsca i chwili  
choć bardzo często brak w skrzydłach wiatru  
i sił by niebo ku sobie schylić

rozbieżność światów sklejam cierpliwie  
kruchością życia kalecząc duszę  
raczej niczemu już się nie dziwię  
przynajmniej tego wreszcie nie muszę

nic nie rozumieć wolno bez granic  
miotać się w sobie po brzeg rozpaczny  
żyć czort wie po co i ginąć za nic  
siłą rozpędu – bo cóż to znaczy

być cyfrą w zbiorze żdźbłem pośród trawy  
zwyczajnie wmieszać się w koktajl bytu  
dni z kalendarza niemal dla wprawy  
wpisywać w system pustych zeszytów

czy znasz mnie taką? – gdy światło gaśnie  
czekam co ciemność do serca wleje  
bo nigdy nie wiem co z wiarą właśnie  
czy starczy kropla by mieć nadzieję

16.09.10

## Noc

nosi nas  
w głębokich kieszeniach  
nie rozmawia o codzienności  
związa się w kłębek ciepłego mroku  
na cowieczornym parapecie

milczy  
swoistym poczuciem ciszy

w biciu zegarów  
odbiciu luster  
szemranych snach

odmierza nas  
cierpliwie  
po kropli

*04.04.10*

### **zawiłości**

oszaleć – nader prosta sprawa  
kiedy szaleństwem cały świat  
sączy się absurd z lewa z prawa  
na wszystkich piętrach naraz trwa

równoległością prostych pojęć  
rozciąga się jak szkic bez ram  
ściągnę do przetrwań i ukojeń  
między strunami jeszcze mam

więc jeśli widzisz w barwie oczu  
chwilowy przebłysk rannych mgieł  
to pewnie szukam byś je poczuł  
zgubionych snów – nie ścigaj mnie

odnajdę się bez żadnych racji  
z wrzosem wczepionym między włos  
zapalę świecę do kolacji  
i wszystko będzie znowu wprost

i wszystko będzie tak jak chciałeś  
tymczasem bronię kilku słów  
bez nich mnie nie ma chyba wcale  
mimo że widzisz – jestem tu

*09.08.10*

## Tylko nie wydaj

ukrywam się przed gniewem Boga  
nie mów Mu proszę że tu jestem  
bo przecież dał mi siłę w nogach  
a ja wciąż wbiegam w inną przestrzeń

gdy śpię przykrywam twarz księżycem  
żeby nie poznał mnie po rysach  
nie dosyć wdzięczna wciąż za życie  
doceniam jednak że dał pisać

gdy milczę jestem bliżej siebie  
więc niech nie dziwi cię milczenie  
mówić mi łatwiej tylko w śpiewie  
myśli okrywać miłszym brzmieniem

podziwiam stwórczy zamysł świata  
choć jakość ginie wciąż w ilości  
w rozstępach bliznach oraz łątach  
najwięcej boskiej jest litości

więc kwestionować nie wypada  
że to czy tamto nie pasuje  
dlatego milczę chociaż siadam  
i ciągle coś tam wypisuję

uwalniam szept co rzeźbi twarze  
a może tylko czegoś szukam  
Bóg wciąż mnie goni korytarzem  
czasem dopada drzwi i puka

przyczajam się i nie oddycham  
tylko za głośno serce bije  
On chwilę czeka potem znika  
i znowu jestem nic niczyje

i znowu nosi mnie samotność  
której ja sama nie rozumiem  
więc nie mów Mu gdzie moje okno  
niech myśli że zginęłam w tłumie

*08.09.10*

## **z włosem pod wiatr**

na czort mi wkładać w diabie widły  
każdy kamyczek z buta  
by mi najlepsze sny obrzydły  
– bo potem jest pokuta?

gdy balansuję po krawędzi  
i przeczę grawitacji  
czy mnie ta równowaga swędzi ?  
dla jakichś wyższych racji ?

nie wnikać przecież co się komu  
albo też i dlaczego  
anioł czy diabeł / Boże pomóż /  
gdy bluźnię – myśli przegoń

jeśli mi zechce się sukmany  
albo zgrzebnego gusa  
to czymże w gołej stopie kamyk  
lub ta herezja w ustach

rzucona w wiry i spętlenia  
o które nie prosiłam  
własny tatuaż kreślę z drzenia  
gdy potężniejsza siła

i choć pod skórą brak pokory  
cierpliwość ciosam w duszy  
dopóki diabli kieł zbyt spory  
żeby i mnie nie skruszyć

27.07.10

## scenka z listkiem

oto Ziemia –  
rzekł Bóg do Wszechświata na pochybel nicości

nie w głowie był Mu jeszcze Człowiek  
bo też dla samej chęci tworzenia  
jakkolwiek i czegokolwiek  
uczynił COŚ

(nieposkromiona słabość Mistrza)

cóż jednak Ziemi po sobie samej  
bez zasiedlenia choć kroplą życia

(w kosmosie dziwnych prawidłowości  
nie musi być żadnej logiki)

próżno dociekać i boskich zamysłów  
gdy czas nie lubi wciąż przez palce

– oto Człowiek – rzekł Bóg  
po tym jak drzewa zakwilił ptactwem  
a w lustrach wody zatrzymał  
niewysłowione jeszcze myśli

czegoś jednak wciąż było w tym mało  
wtedy we śnie przyszedł dziwny Anioł  
– oto Miłość– rzekł do istoty –

– a ty z nią zrobisz  
co zechcesz

*18.08.10*

## Irena Zborowska

/Irena/



Piszę od 2007 roku. W internecie i w prasie ogólnopolskiej publikuję od 2008. W 2009 roku w Ogólnopolskim Mazowieckim Konkursie Małych Form Literackich moje wiersze zasłużyły na trzecie miejsce. W tym samym roku zdobyłam wyróżnienie na KONFRONTACJACH w Lesznie. Także fotografuję, zdjęcia na ogólnopolskich konkursach zdobyły wyróżnienia w latach 2009 i 2010. Moje wiersze znajdują się w Antologii *Oazy Ciszy, Postscriptum, Ogrodu Ciszy*.

### Niecały świat

to czego pragnę jest tutaj  
spokojem  
udomowionym w zagłębieniu ramienia  
bezpiecznej  
godziny której nie dzielę  
z inną  
potrzebą wymykającą się ramom

po prostu posmaruj mi plecy  
czułością  
i bądź

## Otwieranie przymarzniętego

jeszcze nie teraz  
nie odwracaj głowy  
drzewa są nagie  
mgła lekko spowija  
wstyd

zanim minie trzydzieści oddechów  
przyjdzie czas ubierania  
przebiśniegów bielą  
krokusów fioletami  
drzewa na wybiegach  
znów zachwycą wiotkością

świat wybuchnie zielenią  
karnawałem barw i aromatów

przyniosę grudkę ziemi  
prosto z kretowiska  
byś poczuła

za drzwiami  
rodzi się nowe

## Wyrzeźb mnie wzorem mistrza

patrzysz na mnie  
drewnianym wzrokiem  
postaci z ołtarza Wita Stwosza  
których lipowa krew stężała

nie jestem świętkiem  
nie modlitwy oczekuję od ciebie

spójrz wzrokiem grzesznym  
nie oceniaj wartości  
póki krew ma konsystencję płynu

aksamitnieję dotykiem

## Zamarzanie

dołki na policzkach  
nie uśmiechały się  
były akcentem po pięściach  
podpierających samotność

łokcie wbite w stół  
chroniły stygnącą herbatę

czasem wykonywała ruch w kierunku okna  
za którym zima  
soplami i dzwoneczkami sań  
zmuszała do ruchu

dłonią zbierała szron z parapetu  
nie tajał

## Na miarę czasów

ciepło w zderzeniu z zimnem szyby  
beznamiętnym tłem

palcem maluję świerk  
na miarę kryzysu  
i zwiotczalej chęci  
strojenia piórek  
na szczytach świątecznej władzy

obojętność oczu za szkłem  
nie staje się anielskim włosiem

świat się i tak kręci  
a więc *chwała na wysokości*  
święta ogrzeję ciepłem  
własnych ust

### **Zatwierdzono**

jestem niezwykła  
mam tyle samo rąk i nóg  
widać spadanie na cztery mi służy

oczy szczypią kurzem  
gdy ponawiam próbę stawiania kroków

na odległość rzutu  
bruk

każdy krok uwierzytelniam  
jego pieczęcią

### **Narkoza z tuberozy czy jakoś tak**

nie pytaj co tu robię  
jestem

naga

troski znieczuli kobiecość

życie  
dopasuję do ciebie  
jak kapelusz

## Po drodze

wesela  
śluby

klisza utrwała radość  
której nie znam

a mówi się  
twoje jest moim szczęściem

żyję  
bo umiem o nim kłamać

## Niefrasobliwy

wymarzone cizemki  
miały barwę czerwoną  
przywoływały uśmiech  
miarą bezwładnych stóp

nigdy ich nie rozbiegała  
były piętnem przełomu  
tego co było i mogło  
a tym co jest i będzie

znaczył się czas  
niezawinionym grzechem  
nazywanym też  
karą bożą

teraz mówi że pomylił

dzieci

## Najzdrowszy przed północą

klakson pobiegł za ostatnim  
chmury nasiąkają nocą  
niedomkniętym oknem ogrzej mnie  
odbija się od krawężników  
gdzie długonogie latarnie otwierają oczy

cieniem na ścianie spóźnieni  
tylko pies czuje się właścicielem ulicy  
zapija samotność w trzygwiazdkowej kałuży

miną godziny nim arterią przetoczy grzmot dzwonów  
tłumiony ziewaniem obudzonych zakrętów

miasto pochrapuje i szemrze  
na dachach na drugi bok przewraca się niebo

## Gorzko zapisane

fałdami  
pozornie sprasowany spokój  
jednak  
rana przesypana piołunem  
potrafi jeszcze zaszklić

w dębowe liście  
wplotę wieczne odpoczywanie  
złociste będą trwałe życiem

POST scriptum \_\_\_\_\_

# PROZA

\_\_\_\_\_ POST scriptum

## Elżbieta M. Będkowska-Adamczyk

### Spodziewamy się

– Spodziewamy się, że po dzisiejszej wizycie przypomni pani sobie o swoim kraju na dłużej, na dłużej – odezwał się urzędnik zza biurka.

Ogromne biurko zajmowało dużą część pomieszczenia i było oleiście czarne, połyskujące jak morze nocą, z białą latarnią telefonu, stertą żółtych skoroszytów spiętrzonych w przybrzeżne wydmy i dłońmi urzędnika, z tłustymi, różowymi palcami, przypominającymi ugotowane krewetki.

– Zawdzięcza nam pani – identyfikował się z mapą i godłem wiszącym na ścianie, utożsamiał myślą, mową i uczynkiem – dużo, za wiele, żeby po prostu zapomnieć. Nie wymagamy całkowitej poddańczości, ale uważamy, że należy nam się szacunek, pamięć i nieszkalowanie, rozumie pani nieszkalowanie dobrego imienia.

Z podwórza dobiegły fanfary, wartkim rytmem grzmiały puzony i kontrabasy. Główną rolę jednak odgrywały trąby, mniejsze trąbki, tuby i waltornie, z akcentem gradu werbli. Urzędnik wstał od biurka i podszedł do jednego z lekko uchylonych okien. Był niski, składał się z kilku kwadratów, nawet głowę miał kanciastą. W przyciasnej marynarce, zapiętej na trzy guziki i odpiętym czwartym, nie mogącym sobie poradzić z rozłazającym się pasmem tłustego brzucha, wyglądał na człowieka zdecydowanie zadowolonego ze swojego życia. Oparł się pulchnymi rączkami na parapecie i zastukał do rytmu obcasami. Stopy miał nienaturalnie duże, albo zbyt wielkie buty, ze szpicami, na obcasach, beatlesówki, dobrze znoszone, bo, gdy uniósł się na parapecie widać było zelowane podeszwy.

– Pięknie grają. Prawda? Pięknie. Ach, te nasze melodie, ta nasza scheda narodowa, kulturalna, piękne, przepiękne. Od razu serce dumą pęcznieje. Krtań ściska wzruszenie. Życ się chce i śpiewać, hołubce wywijać. „Natenczas Wojski...” Pamięta pani? To o rogu fragment.

Na podwórzu werble przycichły, słychać było oklaski, a po chwili chór głosów zaintonował:

– Szła dziewczeczka do laseczka, do zielonego!

Murami trzęsło powszechnie HaHaHa! słychać było radość w rozśpiewanym tłumie.

– A to pani pamięta? Taka prosta pieśń, a tyle w niej życia, wesołości, treści. Szkoda tylko, że „szwarny”, prawda? „Bardzo szwarnego HaHaHa!”

– zanucił – , ale to jasne, świadomość prostego człowieka nie rozumiała potrzeby jednoznacznego, jednolitego języka literackiego, więc poeta idąc za głosem narodu, za jego potrzebami, tak napisał, prosto, zrozumieliśmy językiem. „Szwarny myśliweczek”, ileż ciepła, ile kokieterii, ile uczucia w tych słowach. I dalej, cóż za obrazowość, ten chleb, masło, dialog prosty i serdeczny. Alem go zjadła HaHaHa! – zanucił następny fragment.

Odszedł od okna, przypominając sobie, że siedząc przy biurku wygląda poważniej, głównie z powodu swojego wzrostu, czy niedorostu. Nogi przesuwane po podłodze krzesła nieprzyjemnie zaskrzypiały, ale dla kanciarstwa urzędnika była to najpiękniejsza muzyka, refren dobrze piastowanego urzędu. Rozsiadł się wygodnie i na nowo zaczął bębnić palcami po blacie.

– Spodziewamy się, że będzie pani dozgonnie wdzięczna ojczyźnie. Jest pani na tyle rozsądną osobą, by o tym pamiętać. Prawda? No i, gdyby ktoś pytał, to nie zrobiliśmy przecież pani nic złego. Docenia chyba pani również naszą decyzję? Postanowiliśmy pozwolić pani na jednorazowy wjazd do kraju, żeby mogła się pani przekonać, że nie taki diabeł, ależ to złe porównanie, no wie pani, nie powinienem używać tu symboli religijnych. Tak, tak, nasza wielkoduszność nie zna granic. Szkoda, tylko że podatki zabiera pani obcy urząd, ale to nic straconego, jeśli tylko zmienią pani zdanie, może pani tu wrócić, numer podatkowy czeka. Jest pani, jak widać, zdrowa i chyba szczęśliwa. Braki wyżywieniowe w początkowym stadium pani dzieciństwa, które nie zależały od naszego zaopatrzenia, mam nadzieję nie wyrządziły wielkiego spustoszenia w pani późniejszym samopoczuciu. Wszystkiemu zawiniła stonka, wie pani, stonka i spekulanci. Mamy na to dowody czarne na białym w postaci jakże wyczerpujących Kronik Filmowych. Podobnie rzecz się miała z owocami cytrusowymi, chociaż akurat stonka nie jest stworzeniem lubiącym soki, lub miąższ grejfruta na ten przykład – tu oczy urzędnika zaszyły mgłą. – Grejfrut... obce i brzydkie słowo, ale niestety jak robak owocowy wkręciło się w naszą mowę. A wie pani, że to krzyżówka? To malajski *Citrus maxima* przypadkowo połączony z *Citrus sinensis*, czyli pomarańczą chińską, jego gorycz spowodowana obecnością związku narynginy. Wiem, bo kiedyś studiowałem, dziennie biologię i botanikę, dzięki naszemu wspaniałemu systemowi szkolnictwa. 300 ton z hektara, wie pani? Proszę sobie to wyobrazić, 300 ton owoców z hektara, jakaż wydajność. Ale cóż, nie nasz klimat. Za to jagody obradają, co roku, dzikie. No, więc, te braki cytrusowe? Nie nasza wina, chałwa również nie. Wieprzowina? Tej prawie zawsze było pod dostatkiem, więc nie powinna się pani skarżyć i brać nam tego za złe. Lata szkolne również powinna pani wspominać z rozrzewnieniem. Rycyna, dentyści szkolni, worki na pantofle, by utrzymać higienę korytarzy, sale gimnastyczne dla zdrowia ciała, a umysł karmiony schedą narodową, zabytkami piśmiennictwa narodowego. Prawda? Pamięta to pani? Musiała pani jako dziecko dużo deklamować, słyszałem, słyszałem. W domu kultury Metalowiec? Mam tu notatkę o pani nienagannej dykcji, mimo że pochodziła pani z powojennej rodziny robotniczej.

„Kraju, kraju mój barwny ...” Gałczyński, o ile mnie pamięć nie wodzi po manowcach? Miał ten twórca w życiu różne problemy, ale przecież każdy popełniał błędy i przetrwał. Wychowana na takiej poezji, szczepionej od młodości, zapamiętanej, bo takich rzeczy się niewątpliwie nie zapomina, musi pani mieć w sercu dozgonną wdzięczność, miłość i niewygasłe

uczucia? Tak myślę, bo nie wygląda pani na niewdzięcznicę. Lata licealne? Co my tu mamy? Jakaś awanturka o długość spódniczki, wagary, wycieczki szkolne, czyny społeczne. No właśnie, jak to z tymi czynami? Jest kilka minusów, i oj, co ja widzę, to najgorsze, oj pełna rubryczka: pochody, ucieczki z pochodów, wykręcanie się od niesienia szturmówki? To bardzo poważny zarzut. Wie pani o tym prawda? Mam tu kilka krzyżyków, zaznaczone, czerwono na białym. No nieładnie, ale zawsze można to zwalić na karb młodości, niedojrzałości ideologicznej, złe wpływy rówieśników, budzącą się świadomość, nieodpowiedzialność spowodowaną pochopnością decyzji. Jest jeszcze załącznik, zeszyt czysty, bezdrzewny z fotosami zagranicznych aktorów. To też błąd młodości, na te fotosy można patrzeć przez palce. A wie pani, ja od małego lubiłem westerny, wojenne albo westerny. Miałem nawet taki „komwbojski” kapelusz i chustkę pod szyję, a także karabinek KBKS z wyciorem. Ech, tak bym teraz pobiegał z tym KBKS-em, a później wyciorem go poczyścić, na glanc.

Studia... Widzę, że nie mogła się pani zdecydować z kierunkiem, ale wciąż jakiś język, języki, to dobrze, dobrze, dobrze to o pani świadczy, lingwistka znaczy. Nasz język przecież nie dla potomków gęsi, czy jakoś tak. Pierwsza praca w biurze podróży... Orbis? O widzę, nie Orbis? Jakies inne, nic nie szkodzi, nie szkodzi, po Demoludach pani podróżować chciała, doświadczeniami się wymieniać, buty skórzane kupować, tak? Pięknie, wymiana kulturalna jest pierwszym szczeblem na drabinie poznawania innych cywilizacji. Już, wtedy panią ciągnęło dalej, co? Na załączniku zdjęcie z kawiarni „Kolorowa” z dwoma studentkami ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, tak duży kraj, długa nazwa. Jakoś tak biednie wyglądają na tym zdjęciu. Pewnie pani już nie pamięta, ale my to mamy ładnie poukładane, w segregatorach mamy, osobne teczuszki, tajne, rozumie pani, tajne. Ścisłe tajne, dla oczu władz tylko, takie na kluczyczek, i z szyfrem. Bardzo tajne. Niektórzy to nawet poumierali z tą tajemną wiedzą i nie ma, komu teraz otworzyć. Ale my sobie poradzimy, wcześniej, później, my mamy czas. Potrzeba dla chcącego jest matka, prawda? Czy jakoś tak. To, to, co pani jadła w tej „Kolorowej”? Nie pamięta pani – uśmiechnął się z rozrzewnieniem urzędnik „kancik” – A widzi pani, jak się przydajemy? Odświeżacze do pamięci, to nasza misja dziejowa, rola życiowa, jesteśmy mistrzami pamięci. Zbieramy wszystkie drobiazgi, nawet takie niby małe, nieważne, co mają minimalistyczne znaczenie dla egzystencji indywiduum ludzkiego, ale dla nas to wagi państwowej, wartość ma ogromną, bo później można cały kontekst zbudować, udowodnić, czy człowiek dobry, czy zły, uczciwy, czy tylko przez nieuwagę na manowce poszedł, czy z samozaparcia. To jak, pamięta pani, co pani jadła? Nie? To ja z przyjemnością przypominę: bryzol z pieczarkami i cebulką, ziemniaczki gotowane z pietruszką, surówka z marchewki i kiszzonej kapustki, kompot truskawkowy, herbata ulung, napoleonka. Ho ho, to dużo, z pierwszej pensji tyle wysokowych pozycji. A te studentki? Dam sobie rękę, a niechże nawet i ucho uciąć, na pewno się już nie odezwały. Niewdzięczni ci ludzie, prawda? Wydaje się,

że człowiek człowiekowi zawsze pomóc powinien, a oni na inną nutę.

I widzę, że po bryzolu się pojawiają problemy, wie pani, od razu widać, po rubryczkach. Ja rozpoznaję od razu, czy ktoś prowadzi obywatelskie, odpowiedzialne życie, czy też tylko i wyłącznie o swoje dobro dba. Od razu to widzę po rubryczkach. Egoista, altruista, kontrabandzista, prześliczna wionczelistka, natychmiast poznaję.

Urzędnik spojrzął uważniej na dokumenty w teczce i zamknął ją, po czym pulchnymi paluszkami zawiązał przybrudzoną tasiemkę. Kropelki potu pojawiły się na jego różowiułkim czole, nie skażonym zmarszczkami. Usiadł wygodniej, palce przypomniały sobie o bębnieniu. Zza okna wkradał się świergot wróbli, gruchanie gołębi, pisk opon, czasem wycie syreny policyjnej, wycie wozu strażackiego, alarm banku, buczek fabryczny, muzyka bezpiecznego ojczyźnianego krajobrazu. Urzędnik siedział bębniąc i wyglądając na zamyślonego.

– I tu nam pani zginęła. Zawieruszyła się. Niedopatrznie takie z naszej strony. Akurat mieliśmy duże zmiany personalne. Burze dziejowe nas zaskoczyły, nieodwracalne przemiany, ludzie tracili głowy, takie było zamieszanie. No i widać pani to wykorzystała. Żeby z mężem i, żeby z dzieckiem, to było karygodne zaniedbanie. Agent Nosek, mogę pani podać to nazwisko, bo i tak jest pseudo, to agent Nosek panią zgubił. Oto ostatnia notatka ołówkiem kopiowym, jego charakterem pisma, nie proszę nie zatykać uszu, to już jest odtajnione. O, nie zauważyłem wcześniej, agent Nosek wspomina ligustr. Wie pani, że ten ligustr „jest najbardziej popularnym krzewem żywopłotowym. Doskonale znosi cięcie, po cięciu ulega zagęszczeniu. Ma bardzo małe wymagania glebowe, jest odporny na zanieczyszczenia powietrza. Niektóre odmiany, szczególnie te o ozdobnych liściach łatwo przemarzają.” (1)? Tak moje studia się odbywają w tumanie zapomnienia, odłogiem leżały, a teraz jak znalazł. Agent Nosek pisze:

„Obserwuję z gęstwiny przerośniętych ligustrów.

YZO na spacerze z głębokim wózkiem i niemowlakiem w, nim. Niemowlak ryczy. Dostaje skórkę chleba z pobliskiej piekarni, żeby się zamknąć. Nie ryczy. Spotykają się na przystanku autobusu 77, róg Główniej i Przechodniej z mężczyzną w okularach. Całują się. Niemowlak śpi w okrucach.

Idę do WC.

Jak wróciłem ich nie było. Pod adresem następnego dnia też nie.

Uwaga: W służbowym przebraniu listonosza udam się sprawdzić, ale jutro, bo dzisiaj bibka też służbowa.”

To były czasy, wie pani, to były piękne dni.

I tak nam pani znikła, jak ta kamfora z przysłowia. Była, była i nie była, nie ma. Puff, obłoczek, para taka, rozptynęła się i teczkę trzeba było na kokardkę i na półeczkę. Ale nie w przedawnione, nie, najpierw idą w podejrzanę. Musi być porządek i kolejność czynności, wie pani, procedura. To nas ratuje, bo ludzie są bałaganiarze, nigdy bez rozkazu nic sami nie położą na miejscu, mało takich z inicjatywą. Mówią, że ci co ją mieli, to wyjechali,

udali się jednostronnie za rubież. Dobrze, że w podejrzanych pani była, bo jak zaczęliśmy zwracać uwagę na brata, to połączyliśmy zgrabnie różne zbiegi okoliczności i niewytłumaczalne paczki i wyższy standard zakupów. I? I się nam pani znalazła. Tyle radości. Bo my nie lubimy, jak się ktoś nam gubi, zabłąka, bez kaganka, bez myśli przewodniej w tłumie znika. Jakże się cieszę, ogromnie, szczerze, że będzie ciąg dalszy, że teczka się odświeży i na inną półkę z racji statusu przejdzie. Sam przeniosę. Niech pani się nie martwi, już się pani nie zawieruszy.

Urzędnik mówił to z nieukrywaną radością. Zapomniał przy tym o bębieniu, nie przeszkadzało mu spocone różowiotkie czołko. Rozpiął tylko marynarkę z trzech guzików, czwartego nie musiał, bo poczuł się u siebie, pomyślał, że wypada, tak długo przecież rozmawiali, że właściwie znają się, jak tyse konie, bo inne porównanie nie przychodziło mu do głowy.

– To co panią do nas sprowadza? W podaniu jest napisane, że brat. No muszę przyznać, że to dobry powód. Chociaż, chociaż, powód czasem może być kłopotliwy. Rodziny się nie wybiera, jak to mówią. Tym bardziej, że to jedyny brat. O, ale widzę, że jest i siostra. To pięknie, samotność w dzieciństwie, to bardzo smutny okres. No, ale pani do brata. Rozumiem, rozumiem. I twierdzi pani, że od kilku lat nie wie pani, gdzie brat jest. Ciekawe, ciekawe... A może wyjechał, tak jak pani, może go znęciła złudna obietnica Eldorado, pueblo łatwych zarobków i traktowania człowieka? Skąd ma pani pewność, że nie wyjechał? Jego patriotyzm? E, to jeszcze nie ostateczny powód, żeby przywiązać się do kraju na zawsze. Majętność przywiązuje, przyzwyczajenia, teściowie. Może miał jakieś inne powody, żeby unikać z panią kontaktów? Różne rzeczy się zdarzają, wypadki chodzą po ludziach, wie pani, różnie się kończą nawet błahe dyskusje, ludzie czasem nie wytrzymują napięcia, coś chlapną, powiedzą. Albo wręcz przeciwnie, są uparci i nic nie mówią. A my nie mamy czasu, nie mamy cierpliwości, nie chcemy tracić zasobów narodowych na takie błahe sprawy.

Urzędnik zaczął przekładać skoroszyty. Z ich żółtej wydmy na biurku wyluskał jedną teczkę, rozwiązał brudną tasiemkę i zagłębił się w lekturę dokumentów. Cmokął przy tym, sapał, uśmiechał się, kręcił głową z przecząco, to twierdząco, na koniec wyjął z kieszeni spodni chusteczkę i głośno wydmuchał nos. Za oknami muzyka trochę przycichła, teraz niosło się spokojne, rozlane, rozkołysane:

Ukochany kraj, umiłowany kraj,  
ukochane i miasta i wioski.

– Zawsze wzrusza mnie ta melodia. Wie pani? Łatwo się wzruszam. Pani historia także mnie wzruszyła. W podaniu pisze pani, że chce się zobaczyć z bratem i nie ma pani żadnych innych życzeń. To jak z tą Genewą, czy Wenecją? Zobaczyć i umrzeć, to się nazywa determinacja. A ja lubię i szanuję ludzi, którzy wiedzą, o co, im chodzi. No właściwie nie widzę przeciwwskazań. Obiecaliśmy przecież, że może go pani zobaczyć, to nas nic nie kosztuje. Pani będzie łaskawa tylko podpisać ten blankiet i zaczniemy drogę urzędową.

Do Kierownika Działu Żółtych Skoroszytów

W związku z nagłym, niezaplanowanym zgonem przesłuchiwanego, sprawa zostaje umorzona. Przesłuchiwany, obywatel XYO stawiał się do naszego urzędu na codwutygodniowe przesłuchanie na tematy dotyczące jego siostry, IO-Z po mężu. Nie posiadał, jak zwykle, żadnych informacji o miejscu przebywania swojej siostry, czym budził od dłuższego już czasu zrozumiąłą i głęboką nieufność naszego aparatu. W związku z decyzją odgórną, domagającą się akceleracji odzyskiwania informacji, skorzystano początkowo z łagodnej perswazji a następnie z nowoczesnych technologii interogacji, lecz na wskutek problemów z siecią elektroenergetyczną, w godzinach szczytu pobierania mocy, w czasie rozmowy z przesłuchiwanym doszło do nieprzewidzianych i nieodwracalnych konsekwencji. Zejście przesłuchiwanego było nagłe i niestety, jako że przedwczesne, w rezultacie nie dało żadnych wyników.

W związku z powyższym postępowanie przeciw obywatelowi XYO zostaje umorzone w trybie natychmiastowym i bez odwołania.

Nadmienia się również, że obywatel XYO nie ponosi żadnej odpowiedzialności za zaistniałą sytuację, a także nie wiąże go żadne finansowe zobowiązania.

Z poważaniem  
w zastępstwie Generała  
Naczelnik

Za oknami słychać było kolejną piosenkę. Tym razem śpiewały dzieci i w największym oknie biura, od czasu do czasu, pokazywał się pędzący kawałek kółka graniastego, uformowanego przez wychowawczynie przedszkolne z ich milusińskich:

Ale mama bardzo płacze,  
Że już Julci nie zobaczy  
Julcia się odwróci  
I do mamy wróci.

Śmiech towarzyszył kręcącemu się kółku. Jasne warkoczyki migały w słońcu, furkotały rozwiewane pędem chłopięce grzywki.

– Widzi pani, tyle pani traci. Tak pięknie śpiewają, bawią się, takie to niewinne, młode, swojskie, radosne, przaśne, rumiane, bez rozumków jeszcze. A niechże się kręcą jak najdłużej.

– O, proszę, tu jest list naszego Naczelnika. Miał być od Generała, ale Generał jak zwykle bardzo, bardzo zajęty. Pani to oczywiście rozumie?

Urzędnik podał list, wyjęty wcześniej z żółtej papierowej teczki.

– Jeszcze czegoś takiego w swojej karierze nie widziałem – mówił urzędnik, bawiąc się sznurem białego telefonu. – Wydawało mi się, że to była osoba zahartowana ciężkim życiem na obczyźnie, tam ich uczą panowania

nad uczuciami, nie tak jak w naszej duszy, otwartej, jak to szczerze pole, z sercem na dłoni, przecież tam się ciągle bez względu, uśmiechają i nic ich nie dziwi w życiu, a tu nagle taka reakcja. Zupełny brak opanowania i kontroli. Przesada, do przesady, naprawdę. Takie to było nieestetyczne.

Urzędnik działu D.Ż.S. odsunął krzesło od biurka, podszedł do dużej zasłony, za którą stał antyczny patefon na korbkę. Na półce za patefonem odnalazł swoją ulubioną płytę. Zaczął kręcić korbką i nostalgia zaćmą przyśloniła mu oczy. Czarny krążek obracał się chybotliwie, trzeszczała igła, zabrzmiały słowa piosenki:

Powróćmy jak za dawnych lat  
W zaczarowany bajek świat...

Lekarz z urzędu podpisał krótkie oświadczenie:

„W związku z niefortunnym zbiegiem okoliczności obywatelka IO-Z, ubiegająca się o widzenie ze swoim wcześniej zmarłym bratem w reżultacie silnego ataku serca zmarła w obecności urzędnika z działu D.Ż.S. Prawdopodobną przyczyną zgonu była lektura sprawozdania Naczelnika o śmierci XYO brata IO-Z.

Notatka prywatna: Reanimacja nie powiodła się, ponieważ baterie w aparacie do reanimacji zwanym „aparatem do ożywiania pozornie umarłych”, przeciekały od dawna, czego nikt w porę nie zauważył. Rzadko ktośkolwiek odchodzi z naszego urzędu w taki sposób i stąd zrozumiałe, choć niewątpliwie karygodne zaniechanie.

Wynik autopsji:  
Pęknięte serce.

26 VI 2008

## Niedokończone podróże

Niedokończone podróże przez nieznanymi miastami. Migotliwe okolice, jak płaskie wirujące talerze, rozmazywane pędem. Drogi wijące metalowe węże poprzez pola intensywnie zielone, skoszone łąki, porzucone przy traktach ciężarówki bez kół. Mury ozdobione graffiti, warstwa nowego czasu na archaicznej warstwie. Arcydzieła zmuszałych tynków.

Za murami klatki mieszkań podwieszane prostokątami jaskrawych płomieni. Światliki w zapamiętałym letnim tańcu. Przy otwartych oknach, drzwiach na balkony, przyklejone korytarze i tarasy – dźwięczą dialogi o szczęściu, zaliczkach, testamentach i rzekach, w których dawniej pływało tyle karasi. Monologi spojrzeń w samotność, która już nie będzie miała końca.

Nagie cienie migoczą na ścianach. Osobno, razem, razem, osobno.

Przekochać lato, upał, księżycy i słońca, burze i zabłąkane, zadziwione deszcze, dojrzałe truskawki i zapach ściętej koniczyny. Obudzić się z pierwszym spadającym na czerwono liściem.

~~~~~

– W tej kopercie są pytania – kobieta z twarzą ukrytą w półcieniu, podaje stanowczym gestem kopertę. Gest wyklucza możliwość odmowy przyjęcia. Koperta jest szorstka, brudno-żółta, bez znaczka, pęka w szwach.

Pytania są od tego, który jest, niewidoczny, niezauważalny. Jak powietrze, którym się oddycha, lub dusi. I trzeba odpowiedzieć, szczerze, przed sobą, bez strachu. Nikt odpowiedzi nie przeczyta. Najpierw trzeba poznać pytania. Zdobyć się na odwagę rozdarcia koperty. Albo nie rozdzierać, zostawić na później, komuś. Nigdy nie otworzyć, nie poznać, odejść nieświeadomie. W ostatniej chwili żałować? Nie. Tak. Być może.

Kobieta znika.

~~~~~

– Cieszę się, że jesteś.

– Banał, banał. Ale mów, mów, to koi. Pozwala zapomnieć.

– O czym? Nie chcę zapomnieć. Tego jednego nie chcę. Nie ma mnie, gdy nie pamiętam. Bez pamięci nie znaczę.

– Dobrze, że jesteś.

– Już kiedyś mówiłeś. Ale mów, mów. Powtarzaj. Zapamiętam, uwierzę.

– Jeszcze nie wierzysz?

~~~~~

Ciężkie drzwi otworzyły się z ociąganiem, skrzypnięciem. Ciemność prowadziła do jaśniejszego granatu okna. Otwarte na oścież wpuszczało stukot kopyt. Dorożki z innego czasu, z terazniejszymi mini-barkami i mini-muzyką. Gondole zaprężone w śnieżne konie.

tak długo czekałem na Ciebie, że nie pamiętam, czy czas się przypadkiem nie skończył odpłynął na drugą stronę snu

tak długo szłam do Ciebie, że nie pamiętam, czy cokolwiek mijałam po drodze, czy ktoś mnie widział zauważył pragnienie

~~~~~

Stare rzeźbione łoże. Ciężkie, ciemne, gdańskie meble, chowające się w mroku pod ścianami, w pięciu kątach. Biała pustynia szeleszczących prześcieradeł, rozjaśniających wczesną noc.

– Wyglądałeś przez okno? Widziałeś dorożki?

- Tak. I słyhać je lepiej tu na górze. Jesteśmy w wierszu.
- Chcesz, zejdziemy na dół, jeszcze nigdy...
- Nic nie chcę. Bądź. Po prostu. Bezwstydnie. Chodź. Nauczę Cię Ciebie.

~~~~~

Niekończące się podróże przez niezajome miasta.  
Tajemnice, do których zgubiono klucz.  
Sekrety, których nikt nie otworzy poza...

# Elżbieta Borkowska

/el/

## Szkice jednodniowe

### Nie tak łatwo pójść do piekarni

Obudziły ją wrony. Krakanie zaczynało każdy świt. Nienawidziła tych małych figurek z rozdziawionymi dziobami. Całą noc padał deszcz. Miała nadzieję, że zapada wrony i ich krakanie. Nic z tego. Znowu to samo. Nieznośne dźwięki zmusiły ją do zamknięcia okna. Pomyślała, że któregoś dnia rozrzuci w trawie trutkę i pozbędzie się wronich harców raz na zawsze. Uśmiechnęła się szczerze do tej myśli i poczłapała do łazienki.

Lustro. Tyle razy patrząc w nie, wiodła długie rozmowy sama ze sobą. Wygłaszała mądre tyrady, wyciągała wnioski z monologów, a odbicie w tafli zgadzało się z nią i z aprobatą potakiwało głową. Dzisiaj zbuntowało się nawet ono. Twarz w lustrze wykrzywiła się w złośliwych uśmiestkach, po każdym słowie błąkała i ginęła w głębi. Postanowiła ukarać bezczelną gębę. Sięgnęła po nożyczki. Szybкими ruchami zaczęła ścinać włosy. Po kilku minutach wyglądała jak oskubana kura i wybuchem śmiechu powitała zdziwione odbicie w lustrze. W pokoju zaskrzypiały drzwi starej szafy. Od kiedy pamiętała, ta stara szafa skrzypiała podczas deszczu. Deski nabierały wilgoci i starucha wzdychała, jakby miała się rozlecieć. Zajrzała do środka. Uważnie przeglądała szeregi wieszaków i z obrzydzeniem wachała ubrania. Wszystkie pachniały wilgocią. Z tym też postanowiła coś zrobić. Zwinęła w wielki kłęb sukienki i zapakowała w niebieskie worki na śmieci. Fatałaszki z jedwabiu potraktowała szczególnie – wycięła w nich dziury, aby już nikt i nigdy ich nie włożył. Zatrzymała się chwilę nad błękitną bluzką, ale po chwili wahania i ją potraktowała w ten sam sposób.

Z energią zatrasnęła klapę śmierdzącego pojemnika, w którym wyładowały drogie szmatki i ich kolory. Dość! Nie ma falbanek, kwiatków, zwiewności, sennych koronek i tych babskich dupereli. Nie ma i od dzisiaj trzeba będzie obyć się bez! Są sprawy ważniejsze. Należy oszukać głosy i cienie skradające się po kątach, pod oknami, za płotem ogrodu. Może nie poznają, że ta ze strzępami włosów, w spranych dżinsach i powyciąganym podkoszulku, to właśnie ona. Jeśli się uda zmylić przesładowców – odzyska ciszę w głowie i spróbuje pójść do sklepu po chleb. Tak po prostu pójść. Bez podpowiedzi co myśleć, jak się uśmiechać i co zrobić z piszczącymi dźwiękami we łbie. Jeszcze jedno. Ani słowa o matce wiecznie zajętej tylko sobą. Żadnych opowieści o dzieciach płaczących w komórcie na węgiel i babce, która błaga księdza o pochówek męża wisielca w poświęconej ziemi, i nie pod płotem cmentarza. Żadnych jęków ojca umierającego na zrakovaciałą trzustkę, jego palców zawisłych nad szpitalną pościelą i smrodu, który nie

powinien towarzyszyć odejściu. Nie da się naciągnąć głosom na rozmowy, wspomnienia, kłótnie o prawdę, udowadnianie kłamstw i łatanie niepamięci ich wymysłami. Chce tylko po pójść po chleb, po świeżą kromkę, którą smaruje się masłem i wkłada do ust. Postanowiła nie oglądać się za siebie i zlekceważyć cienie. One przeszkadzają najbardziej. Potrafią krzyczeć i płakać, a ten najmniejszy wszczyną największy hałas. Ciągłe czegoś chce i nigdy nie wyciera zasmarkanego nosa. Dawniej pojawiała się jeszcze zjawą o jasnych włosach i przekonywała, że to nie cienie, ale synowie, i że ich płacz to nie podstęp lecz zagubienie. Jej też nie wierzyła. Nie mogła, bo kiedyś to jej ręce nie potrafiły zatkać uszu, gdy cienie jazgotem zagoniły w róg ogrodu. Nie pomogła, chociaż dotąd budziła nadzieję na ciszę. Dobrze się stało, że odeszła zabierając ze sobą słowa, słowa, słowa. Mogła też zabrać cienie, a zwłaszcza tego zasmarkanego z wiecznie załzawionymi oczami.

Trzeba więc po ten chleb. Jeszcze ziarno kanarkowi i sprawdzenie, czy kran znowu nie kapie. Potem powrót do lustra i próba ujarzmienia resztek włosów. Tu nagła radość, że w niczym nie przypomina siebie – chociażby z wczoraj. W niczym siebie. Zapatrzona w odbicie pomyślała o nim. Był gorszy od cieni. Znacznie groźniejszy, bo jako jedyny realnie cuchnął rzeczywistością i nie sposób było ani postaci, ani jego zapachu lekceważyć. Zjawiał się tylko wieczorami. Zaciągał chucią i miał wiecznie spocone ręce. Jeszcze raz popatrzyła w lustro i zaczęła piłować paznokcie. Ot, niespodzianka będzie tym razem. Wystarczy jeden zdecydowany ruch i szybkość. Słusznie. Chodzi o szybkość, więc będzie pierwsza. Potem nagły odwrót i trzask drzwiami. Zostanie z cieniami i będzie musiał słuchać jak drapią jego myśli. Jego – nie jej. Jeśli się nie uda, będzie znów leżała sztywno z oczami wbitymi w sufit, a głosy rozpętają w głowie piekło. Odwróciła się od lustra, a po chwili zgarbienia pleców – trzasnęła w nie ręką. Tak. Już nikt w nie nie spojrzy. Nie będzie o niczym myślał ani patrzył we własne oczy. Właśnie – oczy. Parę machnąć maskarą i rzęsy podwinęły się jak dawniej. Co z tego, że bez lustra – ten ruch miała opanowany do perfekcji. Spojrzała na zegar. Dobra godzina na zakup chleba. Teraz wyjść z domu. Chociaż raz wyjść bez trzasków w czaszce i bez lęku, że znów się nie uda. To tylko jeden bochenek. I masło. Tylko jeden bochenek.

20.07.09

### **Malarz pustych miejsc**

Pojawił się znikąd. Miejscowe opiniotwórcze odsiedziały tyłki na ławkach próbując ustalić skąd się wziął i właściwie, którego dnia to było. Chuda Teresa (ta w żałobie po mężu – co to prał po gębie, ale był, zanim nie zaliczył zawału) optowała, że przybył, gdy Jurek zwany Majorem wrębał się swoją wołgą w lipę koło apteki, a więc w śróde. Kulawa Genia z drugiego piętra obstawiała czwartek – twierdziła, że czwartek, bo właśnie wtedy zapomniała o tabletkach na menopauzę i straszne gorąco ją oblewało. No nie-

ważne. Pojawił się i zaczął być – tak jak neogotycka wieża nad mieściną albo smród ze starej oczyszczalni ścieków. Jego, tak jak tej przykrej woni, nie dało się zignorować, ale o tym potem albo i wcale.

A Marianek z rękami w kieszeni i w dziurawym kapeluszu na głowie, paradował po miejscowym ryneczku jak prawdziwe panisko, które zjechało na prowincję. Ani mu na myśl nie przyszło, że wywołał tyle pytań ławkowych i z uśmiechem szczerym jak łza dziewczicy, przemierzał uliczki. W fascynację wprawiało go to, że zbyt ni rozpęd zagaśniał w pole bujnej pszenicy lub równie dorodnych buraków. Po godzinie zbędnego rozpędzania się, uznał, że zostaje na chwilę, bo jeszcze nigdy nie miał tak blisko do wszystkiego, o czym pomyślał: sklep z pieczywem, monopolowy, kościół, a nawet dwa, i ze trzy knajpy otwarte do ostatniego klienta – jak zapewnił go wyraźnie z mordowany procentami obywatel. – Dobre miejsce dla takiego jak ja. Na chwilę – pomyślało się tak Mariankowi i dziarsko pomaszeroowało po skromny bagaż, który pozostawił na obdarłej stacyjce PKP.

Tak Marianek zaczął istnieć prowincjonalnie i epizodycznie. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wywoła tyle zamętu i szumu w senności dziury zwanej dumnie miastem. Miasto jest, gdy ma prawa miejskie, a ów grajdoł zapomniany przez Niebieskiego, szczycił się tym tytułem od wieków. Wina króla Kazimierza, ale pewnie jakoś inaczej wyobrażał sobie rozwój lokacji. Zostawmy marzenia królewskie i wróćmy do tego, co z nich zostało.

Miasteczko czterech ulic, z kiwającymi się pijaczkami na rogach, żyło jak we śnie. Sen, że kiedyś będzie inaczej. Inaczej to jak? Tu można puścić wodze wyobraźni albo zapytać chudej Tereski, bo ta potrafi pleść na każdy temat. Potrafi i robi to z szybkością karabinu maszynowego, a co dziwne nigdy się nie zaczyna – nawet jak wypływa z siebie bzdury. Zostawmy jednak Tereskę w spokoju, bo z pewnością jeszcze się pojawi jako niezbędny element opowieści.

Marianek. Teraz właściwe by było kilka słów o tej zjawie, która spadła na codzienność zadupia jak zagadka, którą koniecznie trzeba wyjaśnić, bo jakże tak pozwolić mu się pętać bez cienia informacji: skąd, po co i dlaczego.

Sam dla siebie był tajemnicą, ale szczególnie go to nie zajmowało i nie warto się temu dziwić, bo większość z nas nie wie, o co właściwie chodzi w błędzeniu po tygodniach, miesiącach i latach. Toteż i on nie zaprzętał sobie łba myślami, które wielu mądrzejszych od niego, sprowadziły na manowce niepotrzebnych dywagacji. A że nieprawda? Bo filozofia, teologia i takie tam inne? Chcesz to mędrkuj – Marianek nie rościł sobie praw do wygłaszania teorii, które niejednego zapędziły w księgi, bezsenne noce i skrobanie się po łysiejacej łepetynie. On wiedział, że jest inaczej. Życie jest tu i teraz, a tego nie da się ubrać w mądre maksymy i aureole – trzeba po prostu być i wystarczy. Jego być było proste jak borsuczny pędzel i rama obrazu. Rama nie może być krzywa, a pędzel łysiejący. Dlaczego?

A malowałeś kiedyś? Jeśli nie, to spróbuj, a nie będziesz miał kłopotu z właściwą odpowiedzią. Narrator zbyt ni marudzi, zamiast skupić się Marianku. Do rzeczy rozbestwiony opowiadacz.

Otóż wracając do przybyśza, czas wspomnieć, że ten po zjedzeniu suchej bułki z piekarni zacnego pana Frankiewicza (ten wie, że bułka ma chrupać pod zębami), po wypiciu cieniutkiej maślanki z marketowej półki, rozłożył w centrum ryneczku sztalugę i zaczął malować. Praca pochłonęła go jak zwykle. Nie dbał o ludziska zagląające przez ramię ani o to, że pod sztalugą zwinął się w kłębek kundel, który wyglądem przypominał skrzyżowanie hulajnogi z prosięciem.

Z minuty na minutę spod szybkich i zdecydowanych rąk wyłaniał się obraz. Synagoga wdzięczyła się na płótnie, tak jakby stała tu od zawsze, jakby stała naprawdę. Marianek zapatrzony w pusty róg rynku mrucał coś pod nosem, pykał fajeczkę, a obraz zaczynał żyć i pulsować kolorami. Jeszcze jedno ogromne okno ozdobione koronkowymi maswerkami, jeszcze naczółki zwieńczone strzelistymi wieżyczkami. Pędzel tańczył i wraz z nim rozśpiewało się powietrze dookoła Marianka. „Ani Maamin” brzmiało czysto i wyraźnie. Może warto jeszcze powiedzieć, że śpiew zaniepokoił malarza, ale poradził sobie z tym nieoczekiwanym efektem. Kochał nagłe i zaskakujące wrażenia. Takie historie już mu się zdarzały, gdy przywoływał do życia to, co umarło. A może tylko tak mówił?

Z ostatnim pociągnięciem pędzla śpiew ustał, a pusty róg nędznego placu zabolął przestrzenią i wypełnił się wiatrem, który roznosił foliowe woreczki. Tkwił tam tylko głupi Lesio, zbierający puszki po piwie i celnie rozdeptujący je z trzaskiem. Lesio jest ważny w miasteczku, bo każda przyzwolta dziura ma własnego specjalistę od recyklingu.

Wrócił do swojego zajęcia, gdy głosy zamilkły. Widziano go później jak często stawał pośrodku placyku i czekał. Pytany, na co czeka, odpowiadał: – Może będą śpiewać. Tak do stałych rytuałów dnia dodał tęsknotę za pieśnią, której nie rozumiał. Bywało, że czasami tańczył z rękami wzniesionymi ku niebu.

Późnym popołudniem Tereska ze swadą opowiadała babom ławeczkowym, że teraz już wie, skąd za miasteczkiem wziął się żydowski cmentarz. Genia rozcierając bolące kolano twierdziła, że skoro żydowski, to należy nazywać to miejsce – kirkut. Sąsiada chyba nie dosłyszała, bo właśnie zajęła ją kwestia, kto ze znajomych i mieszkańców mógł mieć żydowskie korzenie. Nawet nie zauważyła, że kulawa Genia, dość szybko jak na nią, pokuśtykała w stronę bloku.

W maleńkiej łazience długo przeglądała się w lustrze, a potem, na wszelki wypadek, schowała rodzinne pamiątki w pawlaczu. Wspinanie się na stołek kuchenny przypląciła kołatanem serca, a tego już nie mogła zrzucić na przekwitanie. Jedząc kromkę chleba, którą zapomniała posmarować, doszła do wniosku, że za dzisiejsze kłopoty z sercem odpowiada Marianek, Tereska i ten kirkut, z którym niepotrzebnie wyrwała się na ławce.

A Marianek? Widziano go jak w towarzystwie kundla, wsiadał do odrapanej ciężarówki. Droga krajowa – chyba na Wrocław.

## Co widziała Marianna

Przez chwilę będzie o małej dziewczynce. Jakież to słodko – infan-tylne. Każdego rozczula dziecko, ale nie daj się zwieść i słuchaj. Już jej narodziny nie przeszły bez echa. No cóż. Nie każdy rodzi się z dwoma zębami i przyprawia matkę, babkę, i liczne grono pociotków o grzebanie w genowej przeszłości familii. Wielka heca o dwa zęby w buzi maleń-stwa. Dziwowisko dla postronnych i męka rodzicielki, która po despe-rackich próbach karmienia piersią, wetknęła strzydze (opinia sąsiadki) butelkę w usta, i dała sobie spokój z naturalnymi metodami karmienia. Nie będziemy się zajmować kupkami, kolkami, przechodzeniem na zup-ki, soczki i takie tam. Z korzyścią dla jednodniowego szkicu skoczmy w czasie i powitamy Mariannę jako gotową do samodzielnego bytu. Taka kombinacja nie sprzyja narracji? Przecież nie jesteś głąbem i potrafisz za-pełnić pustkę narracyjną kolejnymi etapami wzrastania. Mam ci prawić o zdartych kolanach, bólu brzucha po zielonych jabłkach i wyczynach Marianny w szkołach? Daj się przekonać, że to był standard i te dwa zęby przy witaniu świata, nie świadczyły o niczym szczególnym. Były i wypa-dły, i co z tego, że to też wbrew naturze. Pogódź się z tym, tak jak z cha-osem narracji i nie wymagaj wiedzy medycznej, skrupulatności, i konse-kwencji czasowej, bo nie w tym rzecz. Nie o Mariannie opowieść, lecz o pewnym chyłącym się dniu w znajomej mieścinie.

Popatrz teraz na Mariannę. Idzie uliczką i kołysze biodrami. Nie potrafi inaczej. Różowe kłapeczki wystukują rytm, a ona nieświadoma tańca biod-er i falowania pęczniejącymi gronami, przemierza kolejne płyty chodni-ka. Mijając głupawego Lesia, przyjaźnie kiwa głową, a ten jeszcze bardziej rozdziawia gębę w uśmiechu. Marianna lubi Lesia. Często przygląda się jak tańczy na pustym placyku. Chuda Tereska twierdzi, że tam kiedyś stała synagoga i od odejścia malarza tylko Lesio słyszy pieśń. Tańczy, bo mu rozumu brakuje, bo przecież, gdyby ktoś śpiewał, to jej by to nie umknęło. Dziewczyna wierzy jednak Lesiowi, bo od dawna podejrzewa miejscową opiniotwórczą o rozbujany jęzor. Bawią ją te placykowe pląsy i wyrzucanie rąk ku niebu. Często siedząc na pobliskim murku, majta nogami, zajada jabłko lub czekoladę i patrzy na Lesia. Pogadać się z nim nie da. Nie żeby nie miał nic do powiedzenia, ale raczej z tej prostej przyczyny, że po prostu nic nie rozumie z jego radosnego bełkotu.

Marianna marzy o mieście. Ma być wielkie, rozpędzone i kolorowe. Ona w gustownym stroju stoi za ladą eleganckiej perfumerii i podaje boga-tym kobietom kolejne flakoniki. Panie są wyrafinowane w gustach i oczeki-waniach, a ona profesjonalna w każdym calu. Płytkie marzenie – pomyślisz. Może i racja, ale dziewczyna widziała siebie albo w tej roli, albo żadnej. Inna być może tkłaby sny o scenie, wybiegu dla modelek, ale ona tylko o perfumerii. Kiedyś próbowała opowiedzieć o tym Lesiowi, ale ten tylko szczyrzył poźółtkłe zęby i przekładał z ręki do ręki puszkę po piwie. Pozo-stawmy jednak fantazje o przyszłości wielkomięskiej i wracajmy do dnia, który właśnie kończył toczyć złotą kulę po niebie.

Kochała wieczorne spacerować. Zawsze tą samą ulicą, z widokiem tych samych kobiet parapetowych. Właśnie tego się bała najbardziej – za kilka lat parapet z pelargoniami i jakimś leniwym kotem, a do tego bolące łokcie, bo godzinne podpieranie brody nie może ująć bezkarnie. Przyspieszyła kroku i stukaniem obcasików zagłuszyła przykre myśli, które zaprzątnęły przez chwilę. Skinieniem głowy pozdrowiła panią Jadwigę podlewającą omdlałe po dniu upału kwiaty i po chwili zmieniła kierunek marszu. Duszny zmierzch postanowiła ożywić zmianą. Dzisiaj pójdzie gdzie indziej. Najlepiej przed siebie.

Chyba jeszcze pamiętasz, że *przed siebie* w tym miejscu zawsze prowadzi prosto w zagony i nie trzeba się zbytnio wysilać, by trafić dość szybko w zieloność, i wilgotność. Taka wędrówka też ma dobre strony. Można usiąść w rowie, zagryźć trawę w zębach i poczuć jej goryczkę. Są też tacy, którzy przewracają się na wznak i oglądają chmury, smugi światła, loty ptaków. Że takie nic i bez sensu? Więcej z tego przyjemności, niż z przypatrywania się sznurom samochodów i oblepiania płuc smrodem miasta. Marianna знаła radość wylegiwania się w trawie i poświęciła nawet sukienkę – tak pieczołowicie prasowaną przed wyjściem z domu. Rzuciła się w miękkość z szeroko rozłożonymi ramionami i zagapiła w zachód.

Moglibyśmy zostawić ją w tej błogości i pozwolić rozmyślać o sposobach wyrwania się z mieściny. Moglibyśmy, gdyby nie fakt, że na owo wylegiwanie się wybrała zacienione miejsce pod ogrodzeniem starego cmentarza. Nie, nie będzie żadnych trywialnych wymysłów o duchach, sercu w gardle i włosach stojących dęba ze strachu. Narrator nie przewidział takich wydarzeń, które być może przyszły ci na myśl. Nie przewidział jednak też tego, co usłyszała i ujrziała Marianna.

Najpierw jej uszu doszedł trzask i chwilę potem serdecznie:  
– Jasna cholera!

Dziewczyna podniosła się i na czworakach podkrađła bliżej ogrodzenia. Jej zdumienie można by długo opisywać, gdyby chciało się tracić czas na popisy słowotwórcze, więc po prostu powiem, co zobaczyła.

Między grobami krążyła chuda Tereska i raz po raz potykała się, a to o złamaną gałąź, a to o resztki nagrobka czy też jakąś inną przeszkodę. W końcu stanęła jak wryta, podniosła ręce do nieba i zastygła w bezruchu. Dziewczyna patrzyła na kobietę i czekała. Ta postawszy dłuższą chwilę, strzepnęła spódnice, do której ucapiły się kąkole, a poprawiwszy przekrzywioną apaszkę rzekła głośno i dobitnie:

– Nie śpiewacie. Wiedziałam, że już nie możecie.

Słońce zakończyło swoje widowisko. Marianna wracała do miasteczka z postanowieniem, że jutro pomoże Lesiowi rozgniatać puszki i nie będzie majtać nogami na murku, gdy on zacznie tańczyć.

22.07.09

## Jak to w czwartek cisza na wieży nastąpiła

Zegar na wieży białego kościoła wybił dwunastą. Kościoła nie można żadną siłą zaliczyć do wybitnych dzieł architektonicznych. Taka sobie budowla bez wyraźnych cech stylowych. Ciekawostką było to, iż przy wznoszeniu świątyni użyto materiału pochodzącego z ruin zamku pewnego zbója, który w piętnastym wieku niezłe dał się we znaki wrocławskim kupcom, a i okoliczni feudałowie ucierpieli, mając za sąsiada raubittera. Gdyby nie radykalne rozwiązanie sprawy przez pewnego księcia, rabuś – rycerz hasałby radośnie pomnażając dobytek swój i krewnych, bo sknerą nie był i dbał o liczny klan. Więc ten książę... No proszę, jak to łatwo zbczyć ze ścieżki narracji, rozpuścić radośnie jęzor, pleść trzy po trzy, zamiast wrócić do wieży, zegara i południa, które ten oznajmił dostojnie i głośno.

Ważne to głośnie wybijanie godziny, bo nawet głuchawy Franio przesiadujący na stołku w otwartej bramie kamienicy, wiedział, że czas podnieść się i pójść obrać ziemniaki na skromny obiad. Uznajmy, że Franio obiera już te swoje grule.

W tym samym czasie panie przekupy z warzywnego targu powoli zwiłają kramy. Pakując przywiedłe dary ziemi, klóć się zajadle, a sprawa jest zawiła, można by rzec, że nie da się jej ocenić tu i teraz. O co poszło babom? Otóż od zeszłego poniedziałku nie ustaliły, czy to Józinka z kamienicy przy banku jest zwykłą zdzirą, która wyrzuciła ślubnego z domu, czy raczej jej mąż słusznie zaliczył ulicę, bo już nie mogła patrzeć na zapijaczoną gębę i świadczyć usług małżeńskich. Kobiety pogrążone w zajadłej dyspacji, w ferworze jazgotu czerwieniły na twarzach, machały rękami, a bywało, że któraś siarczyście zaklęła – dla podkreślenia siły wypowiedzi. Osobną część analizy wydarzenia, z Józinką w roli głównej, poświęciły na omówienie jej nowego wizerunku.

– Toż droga pani. Teraz chłopaki noszą dłuższe włosy. I kto jej taką fryzurę wyszykował? Nasze fryzjery, pani moja, może nie artyści, ale żaden tak by kobiety nie urządził. I to ubranie jakieś takie ze śmietnika. A taka była dbała o stroje i wygląd – perorowała kupcowa od pomidorów i papryki.

– Jak się pani komu w głowie pomiesza, to nie tylko chłopca z domu wyrzuci, ale i zaczyna mieć pomysły dzikie. Pani... Jej matka też poplątana. Ponoć wiersze pisze i nazywa to zajęciem – dorzuciła żona Frania i czule pomyślała o swoim głuchawym mężu, który już na pewno zagląda do garnka i sprawdza czy kartofle doszły.

Odpuściwszy sobie problemy Józinki, nie ustaliwszy niczego, zabrały manatki i rozeszły się – każda w poukładane, proste, nieskomplikowane życie. Być może do przyszłego targu uda się jednej z nich dojść do tego, komu przestać odpowiadać na dzień dobry: Józince czy jej mężowi.

Do tego momentu dzień targowy przebiegał zgodnie z porządkiem. Kramiary zarobiwszy parę groszy, układały już poduszki na popołudniowe parapetowanie, a Franio ucinał sobie drzemkę na zydelku, bo zdążył wrócić na swój punkt obserwacyjny. Niewątpliwie pustką będzie ziała brama, gdy go tam zabraknie. Póki co – wszystko zgodnie z rytuałem.

Pora poobiednia wymiałała z ulic nawet bezpańskie psy, a co dopiero ludzi. Miejscowe dzieciaki też poddały się upałowi i pochowały rowery, rolki, piłki. Tak by trwano w lipcowym odrętwieniu, gdyby nie wydarzenie, które uczyniło wyłom w rytmie miasteczka i stało się powodem wielu insynuacji, sprzeczek, dociekań. Baby jarmarczne rozprawiły o tym jeszcze wiele dni, a każda miała swoją teorię – jedyną i słuszną (w ich mniemaniu).

Pierwszą osobą, która zarejestrowała brak bicia zegara na wieży, był Franio. Już wiemy, że nawet do jego chorych uszu docierał dźwięk czasomierza, a tu nic, po prostu nic. Nie było bicia na czwartą część godziny. Chłopina wystraszył się, że ze słuchem już totalna kłapa, ale postanowił poczekać następne piętnaście minut. I znowu wielkie nic – cisza jak makiem zasiał. Pobiegł nieszczęśnik do żonki. Ta, gdy wmusiła w niego szklanekę zimnej wody, wyrzała przez okno, z którego doskonale widać było wieżę kościelną i... Widok o mało nie wyrzucił baby na zewnątrz – tak się wychylała, aby stwierdzić niezbitcie, że zegar jest okaleczony. Tam, gdzie powinna być duża wskazówka, nie było niczego.

No i zaczęło się. Bieg po kościelnego, który jako jedyny miał klucze do wieży, galop z zadartą kiecką do sadu plebanii, gdzie zwykle odsypiał obiad proboszcz. Po drodze przekazywanie wieści każdej głowie, która wychylała się z okna. Jak się miała nie wychylać, skoro żona Frania przemierzyła ulice z krzykiem, że złodziej w mieście. Stara Anna pomyślała nawet, że znowu jej synalka, który odsiadywał wyrok za kradzieże rowerów spod szkoły, przedwcześnie wypuścili z aresztu. Gdy dotarło do niej, że chodzi o zegar, odetchnęła z ulgą. Jej syn nie kradł niczego, co nie służyło do jeżdżenia, a zresztą siedzi na jej szczęście i spokojność.

A co z zegarem? Kościelny przysięgał, że nikomu nie dawał kluczy, baby jazgotały, posterunkowy udawał, że szuka śladów, a księżoszek załamany przysiadł na murku i gapił się w biedniutki zegar z miną zagubionego chłopca. Wskazówki – tej dużej – nie ma, obciążnika napędzającego strzałki tarczy zegarowej – nie ma, a temu drugiemu ciężarkowi – dającemu energię do bicia godzin i kwadransów – też złodziej nie przepuścił. Takie zmartwienie, taki kłopot i koszty, a niedzielna taca marna. I jak teraz wygląda wieża z martwym zegarem?

Tyle o księdzu i lamentach nad stratą. Może trzeba jeszcze dodać, że nie mógł sobie w tej chwili darować, że w zeszlą sobotę poróżnił się z Janem zegarmistrzem. Zawsze kłóć się przy kartach, ale zwykle tamtemu przechodzi koło wtoraku, a dzisiaj już czwartek.

Jan, z lupą w oku, zczyścił mechanizm ręcznego zegarka pani aptekarzonej. Do warsztatu dochodził rwetes spod białego kościoła. Uśmiechnął się pod nosem i mruknął:

– A mówiłem, że jeszcze pożałujesz klecho. A kto to widział, żeby proboszcz kantował przy pokerku.

23.07.09

# Ferdynand Głodzik

/Fred/

## Pan na Łośniach

Poranna mgła podnosiła się nad łąkami zwiastując nieuchronnie zbliżającą się jesień. Ptaki wędrowne przygotowywały się do odlotu. Po obejściu dworskich zabudowań leniwie przechadzał się kot, wygrzewając swoje futerko w ostatnich promykach letniego słońca. Pan na Łośniach Hetman Polny Miarecki wyszedł na dziedziniec i długo wpatrywał się w majaczącą na horyzoncie ścianę lasu. Pod wpływem pierwszych jesiennych chłódów poczuł ostatnio w boku kłucie, pewnie ślady dawnych odniesionych ran w boju. Szarpnął nerwowo wąsa.

– Trzeba by przyłożyć niedźwiedziego sadła – mruknął pod nosem.

Dawno minęły czasy, gdy przemierzał wszere i wzdłuż rozległe rubieże Rzeczypospolitej. Sterany wiekiem osiadł osiadł na dobrach z królewskiego nadania za zasługi wojenne i prowadził spokojne, dostatnie życie. Po trudach wojaczki znajdował upodobanie w spokoju i ciszy leśnej.

Zdarzało się jednak, że ten zagubiony w leśnej gęstozie dwór był pełen gości. Bywali tu przejazdem dawni współtowarzysze wojaczki, a także nie omijali tego miejsca wędrowni grajkowie i dziady prośalne. Przed paroma tygodniami zatrzymał się u niego wracający z Italii wędrowny pielgrzym sprzedawca odpustów i relikwii Świszczypłito Siedmiobołeś z Bożej Woli.

Suto zakrapiany wieczór trwał prawie do świtu Biesiadowali przy obficie zastawionym stole, słuchając krotochwili Przechersusa Frednego, astrologicznych przepowiedni wróżki Halszki Mandolei i poetyckich strof Lubaszki Symonichy.

Kiedy zbliżało się południe, na drodze dał się słyszeć tętent koni.

Hetman Miarecki przetarł oczy. Do dworu zbliżał się pokaźny orszak. Na jego czele jechał Książę Śląski Lesko Ślizły.

Pan na Łośniach wycofał się do dworu, by wydać odpowiednie polecenia służbie.

## II

Książę Śląski Leszko Ślizły znany był z zamiłowania do wojaczki, polowań oraz dalekich podróży. Przemieszczał się z licznym dworem tak szybko, iż zdawało się, że nieomal unosi się w powietrze, by mknąć w przestworzach jak orzeł i znienacka pojawiać się w najmniej spodziewanych miejscach. Bywał dość częstym gościem Pana na Łośniach, zawsze gdy tylko droga mu wypadła w pobliżu Glanbergu Wielkopańskiego.

Również tym razem przybył z licznym dworem. Oprócz ryerczy zaciężnych, podróżowały z nim damy dworu: Lubaszka Symonicha, Danuśka ze Zbychowa, nadworna wróżka Halszka Mandolea, a także szeptucha Leda Kacfur Himerys ze wschodnich rubieży Rzeczypospolitej.

Hetman Polny Miarecki gościł właśnie u siebie od paru dni godnego germańskiego rycerza. Był nim Maryusz von Dziures ze swoim synowcem. Synowiec jego, walcząc o zdobycie pasa rycerskiego, został lekko drażniony w łokieć i chodził z zawiniętą ręką.

Konie odprowadzono do stajen, a goście zasiedli za stołem i rozpoczęła się uczta.

Przecherus Fredny nalewał gościom piwa, sam raczył się obficie i zagryzał napitek pajdą razowca ze smalcem.

Zacne rycerstwo, nie wyłączając Leszka Ślizłego, poglądało na niego nieco podejrzliwie. Wielu z nich pamiętało niedawną krotoczwilę Przecherusa, gdy upoiwszy swoich gości obficie winem, wczesnym rankiem zbudził ich utrudzonych i skacowanych głośnym krzykiem, że czas rozsyłać wici, a gdy rycerze ociężałe gramolili się z posłania, wyśpiewał im wraz z gromadą drumlistów ułożoną naprędce pieśń o śpiących rycerzach.

Wróżka Halszka Mandolea ciągnęła swoim zwyczajem poetycką litanie. Część gości słuchała uważnie, niektórzy skrycie ziewali lub drzemali. Hetman Miarecki, by ożywić nieco biesiadę zawołał:

– Hej Danuśka, Danuśka! Wyleż no na ławę i wesel nam serce tą samą pieśnią, którą w Galwicii śpiewałaś.

Wszyscy spojrzeli wyczekująco, jednak dobra chwila upłynęła, zanim Danuśka ze Zbychowa wspierana przez Halszkę Mandoleę zdołała wgramolić się na ławę i wydobyć ze swej lutni pierwsze tony.

– Słabuje nam coś Danuśka – zauważył Hetman Miarecki.

– W drodze dosiadła niedawno małego ujeżdżonego ogiera, który ją zrzucił z grzbietu – wyjaśnił Leszko Ślizły.

– Nie przepuści żadnej okazji, by zrobić coś głupiego – rzucił sentencjonalnie Przedcherus Fredny.

– Nie ona jedna – dodała pojednawczo Lubaszka Symonicha. – Zdało by się jakichś maści lub okładów.

– Mamy wśród nas szeptuchę, zajmującą się leczeniem – rzekł Leszko Ślizły.

– Jest wśród nas paru niedomagających – rzekł Hetman Miarecki, przypominając sobie o kłuciu w lewym boku. – Również synowiec naszego gościa odniósł rany w pojedynku.

– Pójdź tu szeptucho, zaradzić naszym chorobom – rzekł Księżę Leszko Ślizły.

Leda Kacfur Himerys wyprowadziła na środek izby Hetmana Miareckiego, Danuśkę ze Zbychowa i synowca germańskiego rycerza, po czym obstawiła je figurkami drewnianych aniołów „od wszelkiego złego”, przyozdabiając je bukietami kwiatów w słoikach po dżemie. Gdy wszystko było gotowe pocałowała żabę i zaczęła szeptać formuły odczyniania uroków.

– Jakże pięknie w tym naszym średniowieczu – rozmarzył się Przecherus Fredny.

Szeptucha rzuciła mu groźne spojrzenie i tupnęła nogą:

– Masz weryć!

– „Dobrze być panem, mieć fortuny dary,  
Dobrze być mężnym, wspaniałym, walecznym,  
Dobrze odbierać pochlebne ofiary,  
Dobrze żyć w miejscu wygodnym, bezpiecznym,  
Dobrze dumnemu nie znać w szczęściu miary,  
Dobrze zdrowemu zostać długowiecznym,  
Najlepiej średnią drogą chodzić wiernie,  
Niewiele pragnąć, a używać miernie.

Gdyby tak byli myśleli ojcowie,

Byłoby lepiej, nie mieliby wojny.

Ludzie są ludźmi; i filozofowie

Szpecą uczynki czasem stan dostojny.

Chcąc się mieć lepiej, tracim często zdrowie,

Przykrzy się szczęście, nudzi stan spokojny.” \* – wypowiedział wierszem swoją myśl Hetman Miarecki.

Gdy obrzęd zamawiania chorób dobiegł końca, goście powrócili do przerwanych rozmów.

– Podobno Lobus Homnibus z Glancberga Wielkopańskiego ogromne poczynił spustoszenie w Niekomodzie, gdzie wielu wędrownych wierszokletów i gędziarzy gromadziło swoje wiersze i pieśni – rzekł Leszko Ślizły.

– Powołał nawet w tym celu SBA (Samoistne Biuro Antygrafomańskie) i ogłosił się jego prefektem – dopowiedział Przecherus Fredny.

– Podobno został wybrany do tej funkcji – zauważyła Halszka Mandolea.

– Owszem, jednogłośnie – rzekł Przecherus – jednym swoim głosem przy pozostałych wstrzymujących.

– Przedziwne – zauważył Hetman Miarecki.

– Jakże dalej postąpił? – spytała dociekliwie Halszka Mandolea.

– Lobus Homnibus odesłał do „locum secretum” wszystkich tych, co się wstrzymali, aby co rychlej załatwili pilną potrzebę, a sam objął w tym czasie prefekturę – odrzekł Przecherus.

Wniesiono kolejne potrawy a Danuśka ze Zbychowa wraz z Halszką Mandoleą poczęły na nowo zabawiać gości śpiewem i recytacją.

Do późnej nocy trwały śpiewy, tańce i beztroska biesiada, po czym utrudzeni goście legli na spoczynek.

Dzień wstał na dobre, gdy wczorajsi biesiadnicy posileni śniadaniem opuścili gościnne progi i żegnani przez Hetmana Miareckiego udali się w dalszą drogę.

\* (Ignacy Krasicki – „Monachomachia” – rękopis – nie publikowany początek trzeciej pieśni)

# Kamil Kwidziński

/gamin/

## Rozpięcia i rozpiętości: Witold Gombrowicz

*„Te zatem są zasadnicze, kapitalne i filozoficzne racje, które mnie skłoniły do budowania dzieła na fundamencie poszczególnych części – ujmując dzieło jako część dzieła – i traktując człowieka jako związek części, podczas gdy całą ludzkość ujmuję jako mieszaninę części i kawałków. Ale gdyby ktoś zrobił mi taki zarzut: że ta cząstkowa koncepcja nie stanowi, Bogiem a prawdą, żadnej koncepcji, a tylko bzdurę, kpinę, nabieranie gości, i że ja, zamiast poddawać się surowym prawdom i kanonom sztuki, próbuję wykpić im się ową kpiną – odpowiedziałbym, że tak, że właśnie, że takie, a nie inne, są moje zamiary. I – na Boga – nie waham się przyznać – ja pragnę uchylić tyleż waszej sztuce, panowie, której nie mogę znieść, ile wam samym...ponieważ i was nie mogę znieść z waszymi koncepcjami, z waszą artystyczną postawą i całym waszym światkiem artystycznym.”*

Witold Gombrowicz

### Część pierwsza

– Ach, cóż to! Jesteś zazdrosna? To kwestia postawy przecież, jej – chociażby – spoglądanie – przedkłada wszelki ciężar doświadczeń ponad chwilę.

– Myślę, że to kwestia barw raczej – szepcze do ucha, wędrując zastrzonym paznokciem po węzłach gardła. – Jej piersi to burza, pochmurny i tryskający lament, słyszysz? Pyta, zaciekle błądzi białym kamykiem po rzece kręgosłupa, jak gdybyśmy sami byli tym dźwiękiem, tym uchem, palcem wynoszącym gesty, językiem te gesty podkreślającym. Jej sutki ronią kolejne krople, jest może dziewiąta rano, a jej miłość stała się skrawkiem ręcznika. Przesuwa się ciężkimi pośladkami po froterowej taflii. Miłość (po raz drugi to słowo, owszem, blisko siebie, nie będę sobie tego zarzucał, lecz wam mogę wybaczyć zużycie (wybaczam wam, idźmy dalej, to dialog wciąż, przypomina, nie żadna prywatna nostalgia, lecz nikła, dodatkowo wyczelowana sprośność duszy, chęć przenikania moich myśli do rzeczy z założenia zmiennych)) stała się więc splotem niewygody, z którego, do końca trwania wszystkich mniej i bardziej oczywistych kosmiczności, będzie wyciągała przydługie niteczki (i tu! I tu wystaje!).

– Tak myślisz? – przyjrzał się na tę jedną sekundę rozgryzającym delikatnie pustkę po ostatnim słowie wargom. By ponownie wrócić do...

*Prawdę mówiąc, od lat nie potrafili skupić całej swej uwagi na jakimkolwiek płótnie. Nie mieli do zastanej pory dość w sobie zadowolenia,*

*by oddawać smugom i przeróżnym kaskadom kolorów należne im tryby. Raczej ku grozie, kurwa!, pleśń i siniaki.*

**On myśli:** Jak dwa łańcuchy doniczkowych łożysk. Dwa skrzące się na wietrze sznury ognii o różnych kształtach. Stąpamy po brukowej kostce, upojeni winem, chociaż ja raczej mniej winem, a więcej istnieniem – nie uderzeniem buta, a stopą rozpychającą ścianki skóry.

Upojeni, stąpamy, noc przydziela nam kolejne imiona.

*Teraz, w końcu, nareszcie potrafili...*

– A gdyby tak odrobinę głośniejsze, co? – mruknęła odchodząc, napinając łydki, wymachując czarną torebką, falując cieleśnie w czerwonej sukience. Tak, warto zapamiętać, wtedy właśnie burknęła czule, że nie słyszy za wiele. Czy już wtedy zaczęliśmy odbywać praktykę wszystkich rozbrzmień i przeszłości, jakie miały nas czekać? Co pan na to?

– Co?

– Kiedy do mnie dzwonisz – zapowietrzyła się ze wściekłości – to wyjdź do jakiejś łazienki albo coś!

– Co?

– U ciebie wszystko dobrze? Jak podróż? Całą noc telepię się jak szalona między ekspresem do kawy, oknem i łazienką. Nigdy więcej, słyszysz? Przysięgam.

– Co?

– Nigdy więcej, bo stracę rozum.

– Ehe.

Przysunęła w tym momencie ucho jeszcze bliżej słuchawki. Cisza wzdęła się niczym brzuch martwej ryby, a powietrze zrobiło się mechaniczne, stalowe. Wysunęła język, zwilżyła wargi. Słyszy bez przerwy jego płytki oddech, chyba płakał. Do dzisiejszego dnia pamięta, jak w wieku pięciu, sześciu lat w jego lewe ramię wbił się pręt budowlany (5mm ocynk). Wstydział się płakać przy niej, a oddychał w taki sam sposób. Usta miał suche, źrenice iskrzyły się pod zmrużoną powieką, ręce zaciskał na kolanach – lewą słabiej. Z lewej krew spływała dziesiątkami ciemnych strumyków. Czy mogłabym zwilżyć twoje wargi? Jestem przecież twoja, nierodzinną, starszą o tyle, że płacę bez wstydu, dojrzalszą o tyle, że wszystko potrafię wytłumaczyć, nawet gdy rozchodzę się, rozpląwam z bólu i udręczenia. Będę czekać. Więc?

– Co?

## Część druga

– Zapomnij już o tej kobiecie. Te cienie na wodzie nic nie znaczą. Jej czarna pierś wcale nie jest wypięta, wcale nie walczy o spełnienie.

– Dobrze – podaje rękę, łapie jej paluszki i zmierza wzrokiem ku kolejnemu zacisznemu wgłębieniu, gdzie zaci koneserzy czyszczą okulary, zakładają okulary, niektórzy śmielej: charczą z podziwem, masturbują się w ukryciu, pocierają swoje nadgarstki. Tak, tam właśnie zaciąga ciało osadzone na końcach jej kruchych palców. Czy obraz otworzy ich na jeszcze śmielsze wyznania? Czy płótno będzie jadalnianym stołem, pośredniczącym w ugodzie i odkrywaniu pragnień?

– Niewiarygodnie spięte – patrzy na płótno i kręci głową. Rzeczywiście, zostali teraz rzuceni na głęboką wodę. Dotąd mieli przed sobą uładzone sprawy, które mogli rozgrzebywać w podniecie i wiecznym zarzucaniu wszystkiego. W tym momencie stanęli przed abstrakcją. Przed układem niepodważalnym zmierzającym do zadawania drogi i nieszczęścia.

– Co ona robi przy tym biurku? – a jej pytanie ocieka niewinnością, jak gdyby spoglądała z ciekawością na mordercę, którego zbrodni nie została jeszcze zdefiniowana przez prawo czy moralność. Do pewnego momentu jest twórcą piękna, a w świetle jego skalpela można dostrzec wszystkie barwy nadchodzącego prawa. Jest więc groza, lecz wszystko, póki co, unosi się w sferach dostępności. Jej pytanie brzmi niewinnie, ponieważ sama pozostaje częścią niewyjaśnionej jeszcze zbrodni.

– Wydaje mi się, że analizuje wieczność. Nawleka kolory na najdrobniejszy organizm w nadziei, że ujrzy może skrawek różowej błonki kosmosu.

*Żywo pamiętała wieczór, kiedy jej ciało legło odbezpieczone, a on, poruszając się niepewnie, w rytm wstydu i głupich założeń, zbierał krew w jednym miejscu. „Ktoś napoczyła moje ciało”, krztusiła się jednostajnie, do środka, napinając mięśnie. Stopami zapierała się o podłogę, myślami – o kruchą pustkę nazywaną oczekiwaniem.*

### Przypis:

Bardzo możliwe, że siedzą teraz wtuleni w siebie ostrożnie, by się wzajemnie nie naruszyć; najpewniej ich chude i pomarszczone pupy postują już niedługo mrocznym kwestiom ostatecznej grawitacji. Czy ona niesie jemu herbatę? Nie mogą zaprzeczyć. Być może właśnie na tym jej teraz najmocniej zależy – donieść do rąk pana Krugera kawałek ciepła.

- Emmo, nasze dzieci. Nasze dzieci są w domu? Położyłaś je do snu?
- Nasze dzieci nie żyją, kochany.
- Ach, a miałem cichą nadzieję, że może choć część rzeczywistości okaże się snem. Wiele by to ułatwiło.
- Wiele?
- No, może trochę mniej niż wiele.
- Tak, właśnie tak.

**Ona myśli:** Niczym dwa obumierające pnącza – poniżej jego suchych kolan wybijają ostatnie brązowe płamy. Nie tańczymy na grubym dywanie, z moich ramion nie zsuwa się żaden szlafrok, a kot wystający zza żółtej szyby wydaje się być jedynym imieniem, jakie noc przynosi nam na pożegnanie. Dwa stare pierniki. Na stoliku szklanka stęchłego mleka. Śmierć jeszcze nigdy nie wydawała się łagodniejsza.

– Zobacz powyżej – nie może się powstrzymać, wstrzymuje oddech i wskazuje palcem fragment sekwencji. Jednak ona usilnie prze ku następnej ramie. Spogląda na niego rozbawiona, zaprasza gestem. On wpatruje się w głąb korytarza. Czerwony dywan miesza mu się w oczach z czernią ścian. Rzędy obrazów usiłują rozciągać się w przyjazną nieskończoność. Powraca wzrokiem do płótna, na którym łaskawa Remedios wypuszcza spod pędzla swojej duszy kolejną parę skrzydeł i tubkę ptasiego tułowia, w którym ciasno osadzone serce szaleńczo tłoczy świeżą woń życia, a wątroba coraz mocniej naciska na cienką membranę brzucha.

– Mamy mnóstwo czasu – uśmiecha się, zaciskając dłoń na jej chudych palcach.

Paul Gauguin, „Cóż to! Jesteś zazdrosna?“, 1892 r.  
Remedios Varo, „Tworzenie ptaków“, 1957 r.

## Zygmunt Marek Piechocki

**Śnieżnie, 11 czerwca 2010.**

Wiesz Miła, byłem dzisiaj u swojego brata Juliusza. W jego malarskiej pracowni.

Oglądaliśmy malowane śmiało szpachlą pejzaże z końca ostatniej zimy, która była o tyle za długa.

I słońca nie było, i wszyscy znajomi mówili o jego braku. I jak to działa na psychikę człowieka. Negatywnie.

Jeszcze w czerwcu za chmurami się chowało. Do przedwczoraj.

A teraz upał i myśli lepią się, i słowa. Rozmawiamy o obrazach i trapiących Mistrza chorobach.

A tu śnieg sypie i domy w zadymkach, i dymy z kominów siwe. Drzewa nagie. Jakiś ptak.

Wybieram taki bardziej zasypany, że kolorów dachów nie widać ani też rozpoznać marek samochodów nie można. I jakaś na nim cisza namalowana pośnieżna. Wiesz, po takiej zadymce,

która wiruje płatkami. Z daleka słychać stukot kół pociągu. To taki dodatek do tej ciszy.

Pociągu nie ma na obrazie. Tylko kawałek torów po jego prawej stronie mówi o podróżach.

I to będzie okładka mojej przyszłej książki – „Pocztą hipotetyczną”.

Listy niewysłane. Jak ten, który piszę. Słowa rozprószone na czterdziestu dziewięciu kartkach

bez spisu treści na końcu.

Marek